

**ROBERT E. HOWARD**  
**LORD DUNSANY**  
**BARBARZYŃCA I MARZYCIEL**

---



**FANTASY**

**ROBERT E. HOWARD**  
**LORD DUNSANY**

**BARBARZYŃCA I**  
**MARZYCIEL**  
**DWA ŚWIATY FANTASY**

**PRZEŁOŻYLI: ZBIGNIEW A. KRÓLICKI I PAWEŁ KRUK**

**ROBERT E. HOWARD**  
**BARBARZYŃCA**  
**SAGA O CONANIE**

*List R. E. Howarda do P. S. Millera*

Lock Box 313  
Cross Plains, Texas  
10 marca 1936 r.

*Drogi Panie Miller*

*Czuję się doprawdy zaszczycony faktem, że Pan i dr Clark do tego stopnia zainteresowaliście się Conanem, że opracowaliście w zarysie historię jego kariery i nakreśliście mapę jego świata. I jedno i drugie jest zadziwiająco dokładne, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę, z jak mało precyzyjnymi danymi mieliście Panowie do czynienia. Mam tu gdzieś oryginalną mapę, którą nakreśliłem, gdy zaczynałem pisać o Conanie. Zobaczę, czy uda mi się ją znaleźć i przesać Panom, byście mogli się z nią zapoznać. Zawiera Ona jedynie kraje na zachód od Vilayet i na północ od Kusz. Nigdy nie próbowałem narysować mapy królestw południowych i wschodnich, choć dość precyzyjnie wyobrażałem sobie ich topografię. Po prostu czułem, że mogę sobie pozwolić na dość dużą dowolność, bowiem mieszkańcy zachodniej Hyborii grzeszą niewiedzą na temat ludów i krajów na południu i na wschodzie, w równym niemal stopniu jak ludzie w średniowiecznej Europie na temat Afryki i Azji. Gdy piszę o narodach zachodniej Hyborii, czuję się skrzepowany znanymi i niezmiennymi granicami i obszarami, gdy jednak kreuję resztę świata, mam wrażenie, że mogę dać większą swobodę mojej wyobraźni. Innymi słowy, gdy już raz przyjąłem pewną koncepcję geografii i etnologii, czuję się zobowiązany do jej przestrzegania, by uniknąć niekonsekwencji. Moje wyobrażenia wschodu i południa nie są ani tak wyraźnie określone, ani tak arbitralne.*

*Jeśli chodzi o Kusz, to jest to jedno z czarnych królestw położonych na południe od Stygii. Jest ono najbardziej wysunięte na północ i od niego pochodzi nazwa całego południowego wybrzeża. Tak więc, gdy Hybornianin mówi o Kusz, ma on najczęściej na myśli nie konkretne królestwo, jedno z wielu, ale całe Czarne Wybrzeże. Podobnie nazywa on Kuszytą każdego czarnoskórego, bez względu*

*na to, czy jest to Keszan, Darfar, Puntan, czy też istotnie Kuszyta. Jest to oczywiste, gdyż Kuszycki byli pierwszymi czarnoskórymi ludźmi, z którymi zetknęli się Hybornianie za pośrednictwem piratów z Barachan, którzy najeżdżali to wybrzeże i sprzedawali Kuszytów jako niewolników.*

*Prawdę mówiąc, nie jestem w stanie przewidzieć dalszych losów Conana. Pisząc te opowieści mam zawsze wrażenie, że właściwie ich nie wymyślam, lecz zapisuję, przygody Conana, w miarę jak on mi je opowiada. Dlatego też są tak rwane i nie utrzymują porządku chronologicznego. Łowca przygód zazwyczaj opowiada o swoich wyczynach w dość przypadkowy sposób, rzadko przestrzegając jakiegoś z góry określonego planu, lecz relacjonuje wydarzenia odległe od siebie w czasie i przestrzeni tak, jak je sobie przypomina.*

*Szkic Panów bardzo jest zbliżony do mojej koncepcji losów Conana. Różnice są niewielkie. Jak Panowie słusznie sądzą, Conan miał około siedemnastu lat, gdy przedstawiono go publiczności w „Tower of Elephant” („Wieża Słonia”). Choć jeszcze niezupełnie dorosły, był dojrzalszy od przeciętnego, cywilizowanego młodzieńca w jego wieku. Urodził się na polu walki, podczas bitwy, jaką stoczyło jego plemię z napastniczą hordą Vanirów. Kraina, do posiadania której pretendował i po której wędrował jego klan, leżała na północny zachód od Cymmerii. Conan jednak, choć był typowym Cymmernianinem, był mieszanej krwi. Jego dziad należał do południowego plemienia. Uciekł on od swoich z powodu zemsty rodowej i po długich wędrówkach ostatecznie znalazł schronienie u ludzi z północy. W młodości, przed swoją ucieczką, brał udział w wielu najazdach na hyboreańskie ludy i zapewne właśnie opowieści dziadka o tych bardziej miękkich i zniewieściałych krajach na południu pobudziły w Conanie, który słuchał ich będąc dzieckiem, pragnienie ujrzenia tych ziem. Wiele jest spraw związanych z życiem Conana, co do których sam nie mam całkowitej pewności. Nie wiem na przykład, kiedy po raz pierwszy ujrzał cywilizowanych ludzi. Mogło to być w Vanarium lub też mógł odwiedzić przedtem jakieś nadgraniczne miasto. W Vanarium był on już wspaniałym mężczyzną, choć liczył zaledwie piętnaście lat. Miał sześć stóp wzrostu i ważył 180 funtów, choć wiele mu jeszcze brakowało do*

*jego pełnej, męskiej postury.*

*Istnieje mniej więcej roczna luka pomiędzy pobytem w Vanarium a przybyciem Conana do miasta złodziei Zamory. W tym to czasie powrócił na północne ziemie swego plemienia i odbył swą pierwszą podróż poza granice Cymmerii. Udał się, choć zabrzmiało to może dziwnie, na północ, a nie na południe. Nie wiem dokładnie czemu ani też w jaki sposób, ale spędził kilka miesięcy w plemieniu Aesir, walcząc z Vanirami i Hyperborejami. Wtedy to właśnie narodziła się w nim nienawiść do tych ostatnich, która trwała przez całe jego życie, później zaś miała wpływ na politykę, prowadzoną przezeń, gdy był już królem Aquilonii. Schwytyany przez Hyperborejów, uciekł na południe i przybył do Zamory, w samą porę, by pojawić się w opowiadaniu.*

*Nie jestem pewien, czy przygoda opowiedziana w „Rogues in the House” („Hultaje w domu”) istotnie zdarzyła się w Zamorze. Fakt, że istnieją tu zwalczające się frakcje polityczne raczej zdaje się temu przeczyć, gdyż Zamora była rządzona despotycznie i żadne odmienne poglądy nie były tu tolerowane.*

*Jestem raczej zdania, że działo się to w jednym z leżących na zachód od Zamory małych państw–miast, do którego Conan zawędrował po opuszczeniu miasta złodziei. Zaraz potem powrócił do Cymmerii i wiadomo, że od czasu do czasu powracał na swe rodzinne ziemie. Chronologia jego przygód jest mniej więcej taka, jaką Panowie nakreślili, poza tym szczegółem, że w istocie obejmuje ona nieco mniejszy wycinek czasu. Conan miał około czterdziestu lat, gdy zdobył koronę Aquilonii i mniej więcej czterdzieści cztery, czterdzieści pięć lat podczas „The Hour of the Dragon” („Godzina smoka”). W owym czasie nie miał męskiego potomka, bowiem nigdy nie zadbał o to, by formalnie uczynić jakąś kobietę swoją żoną — królową. Liczni zaś synowie z konkubin nie byli uznawani za spadkobierców tronu.*

*Panował, jak sądzę, w Aquilonii przez wiele lat, w owych burzliwych i niespokojnych czasach, gdy hyboreańska cywilizacja osiągnęła punkt swego najwspanialszego rozwoju, każdy zaś król miał imperialne ambicje. Początkowo prowadził walki obronne, sądzę jednak, że później został w celach samoobrony zmuszony do*

*prowadzenia wojen napastniczych. Czy jednak udało mu się utworzyć światowe imperium, czy też zginął podczas tej próby, nie wiem.*

*Dużo podróżował, i to nie tylko przed wstąpieniem na tron, ale i po koronacji. Podróżował po Khitai i Hyrkanii, jak również do mniej znanych regionów na północ od Hyrkanii i południe od Khitaju. Odwiedził nawet nie nazwany kontynent na zachodniej półkuli i żeglował wśród sąsiadujących z nim wysp. Ile spośród tych wędrówek ukaże się w druku, trudno mi przewidzieć. Bardzo mnie zainteresowały uwagi Panów na temat znalezisk na półwyspie Yamal — po raz pierwszy o nich słyszałem. Niewątpliwie Conan bezpośrednio znał albo ludzi, którzy tworzyli opisywaną kulturę, albo ich przodków.*

*Mam nadzieję, że zainteresuje Panów „Era Hyboriańska”. Załączam kopię oryginalnej mapy. Tak, Napoli dobrze sobie dał radę z Conanem, choć czasami wydaje się, iż nadal jego rysom zbyt wiele latyńskich cech, niezgodnych z moimi koncepcjami. Jednak nie sądzę, by był to powód do robienia szumu.*

*Mam nadzieję, że załączone dane stanowią wystarczającą odpowiedź napytania Panów. Będę wielce rad, jeśli Panowie zechcą podyskutować o jakimkolwiek innym okresie, albo poruszyć ich szczegóły związane z losami Conana lub też hyboriańska historią i geografią. Dziękuję raz jeszcze za okazane zainteresowanie i załączam najlepsze życzenia dla Pana i dr. Clarka.*

*Pozdrawiam serdecznie*

*Robert E. Howard*

*PS. Nie wspomniał Pan, czy chce Pan, abym zwrócił mapę i chronologię, pozwalam więc je sobie zatrzymać, by przekazać niektórym moim przyjaciółom. Jeżeli chciałby Pan, bym je odesłał, proszę mnie powiadomić.*

**DOLINA ZAGINIONYCH KOBIEC**  
**THE VALLEY OF LOST WOMEN**

*Bęąc z Bèlit, Conan zdobył sobie przydomek Amra — Lew, którym od tej pory zawsze go obdarzano. Bèlit była jego pierwszą wielką miłością. Po jej śmierci Conan na kilka lat porzuca morze. Podąża w głąb czarnych królestw i przyłącza się do pierwszego plemienia oferującego mu schronienie — do wojowniczych Bamulasów. W ciągu kilku miesięcy, sprytem i orężem, wywalcza sobie tytuł wodza plemienia, które pod jego przywództwem szybko rośnie w siłę.*



## 1.

Bębny i ogromne rogi ze słoniowej kości grzmiały wprost ogłuszająco, lecz ich łoskot wydawał się Liwii tylko cichym pomrukiem, głuchym i odległym. Leżała na glinianej podłodze wielkiej chaty, półprzytomna i bliska utraty zmysłów z przerażenia. Rozgrywające się na zewnątrz wydarzenia były niemal poza jej świadomością. Oszołomiony i roztrzęsiony umysł z nieuchronną pewnością wracał do okropnego wspomnienia; widoku nagiego, drgającego ciała brata i krwi spływającej po jego dygoczących nogach. Ta biała postać z bezlitosną wyrazistością zdawała się wyłaniać z koszmarnej płataniny czarnych kształtów i cieni. Powietrze zdawało się wciąż pulsować przeraźliwymi krzykami bólu, przeplatany obrzydliwymi wybuchami rubasznego śmiechu.

Liwia całkowicie utraciła poczucie istnienia, pogrążając się w otchłani bezgranicznego cierpienia — stała się uosobieniem i kwintesencją rozpacz. Leżała bez ruchu, podczas gdy na zewnątrz grzmiały bębny, ryczały rogi, chrapliwe głosy intonowały okropne pieśni, bosc stopy uderzały o ubitą ziemię, a dłonie wtórowały im cichym klaskaniem.

W końcu jednak powoli zaczęła odzyskiwać świadomość. Najpierw poczuła niejasne zdziwienie faktem, że wciąż jeszcze pozostawała nietknięta. Przyjęła ten cud bez wdzięczności: to było zupełnie bez znaczenia. Z trudem uklękła i rozejrzała się wokół. W nogach czuła dziwne mrowienie, jakby sygnał budzących się do życia nerwów. Bosc stopy niepewnie dotknęły klepiska. Dziewczyna gwałtownie obciągnęła rąbek kusej koszuli, która stanowiła jej jedyne odzienie. Jak przez mgłę przypominała sobie, że płakała ze wstydu i strachu, gdy czyjeś niecierpliwe ręce brutalnie zdarły z niej suknię. Wydawało się jej, że było to dawno, dawno temu i dziwiła się, że taka drobna przykrość mogła wzbudzić w niej żal. Odkryła, że zniewagi i upokorzenia są rzeczą względną, jak wszystko.

Drzwi chaty otwarły się i weszła doń tubylica kobieta — zwinne, smukłe stworzenie o gibkim ciele błyszczącym jak polerowany heban — odziana tylko w skrawek jedwabiu okręcony wokół bujnych bioder. W białkach jej oczu odbijał się blask płonących na

zewnątrz ognisk. Przyniosła bambusową tacę z niewyszukanym pożywieniem: parujące mięswo, pieczone bulwy jamu i kukurydza oraz dzban z kutego złota napełniony winem yarati.

Postawiła tacę na polepie, ale Liwia nie zwróciła na nią uwagi; siedziała wpatrując się tępo w przeciwległą ścianę, zawieszoną matami z bambusowych pędów. Młoda kobieta uśmiechnęła się błyskając białymi zębami, po czym syknąwszy coś złośliwie i uczyniwszy nieprzyzwoity gest, o wiele bardziej ordynarny niż słowa, odwróciła się i wymaszerowała z chaty, ruchami bioder wyrażając drwiącą pogardę.

Jednak ani słowa, ani gesty nie dotarły do świadomości Liwii, która wciąż nie zwracała uwagi na otaczającą ją rzeczywistość. Jej myśli uparcie krążyły wokół okropnych scen, które stawały przed oczyma z taką żywością, że świat realny zdawał się jedynie nierzeczywistą pantomimą duchów i cieni. Machinalnie zjadła i wypła to co jej przyniesiono, nie czując smaku potraw.

Po chwili podniosła się i niczym w transie przemierzyła chatę, by zerknąć przez szparę między bambusami. Nagła zmiana w brzmieniu bębnow i rogów wyrwała ją z apatii, każąc szukać przyczyny zjawiska.

Początkowo nie mogła pojąć sensu rozgrywających się przed jej oczami wydarzeń; wszystko było splecione i mroczne, postacie bez przerwy poruszały się, zbijały w gromady, wiły i kręciły, jak czarne bryły wyciosane z nocy na krwawoczerwonym tle, przygasającym i rozbłyskającym na nowo. Później zrozumiała, że patrzy na tłum mężczyzn i kobiet tłoczących się wokół ognisk. Czerwone płomienie lśniły na ich srebrnych i kościanych ozdobach, białe pióropusze falowały na tle ciemnego nieba. Czarne sylwetki nagich postaci wydawały się być wycięte z mroku i obmalowane purpurą.

Na stołku z kości słoniowej, otoczony swiłą gigantycznych wojowników w pióropuszach i przepaskach z lamparcich skór, siedział tłusty karzeł; odrażający stwór przypominający żabę, który zdawał się wypełznąć z cuchnącej stęchlizną, gnijącej dżungli lub grząskich bagien. Pulchne dłonie zaplótł na wydatnym brzuchu. Jego kark wyglądał jak jednolity wałek tłuszczu wypychający na przód niekształtną głowę, a oczy płoneły w czarnej twarzy niczym węgle w

osmalonym pniaku. Ich ruchliwość przeczyła bezwładności obrzydliwego ciała. Widząc tę odrażającą postać Liwia drgnęła nagle, jakby gwałtownie wracając do życia. Odrętwiałe ciało zmieniło się w kłębek rozdygotanych nerwów. Rozpacz ustąpiła miejsca nienawiści tak przejmującej, że aż bolesnej.

Dziewczyna zeszytniała, jak gdyby jej ciało zamieniło się w ołów. Czuła nienawiść przepływającą niewidoczną falą w powietrzu razem ze spojrzeniem, tak że wydawało się, iż obiekt ku któremu było skierowane to uczucie lada chwila spadnie martwy ze stołka.

Jednak jeśli nawet Bajujh, król Bakalahów, odczuwał z tego powodu jakąś psychiczną nieprzyjemność, to nie dał tego po sobie poznać. Nadal wpychał w żabią gębę pełne garście kukurydzy, czerpanej z naczynia podsuwanego mu przez klęczącą kobietę, bez zmruczenia spoglądając na szeroką aleję, którą utworzyli jego poddani rozstępując się na boki.

Liwia niejasno podejrzewała, że właśnie tędy ma nadejść jakaś ważna osobistość. Świadczył o tym narastający zgiełk rogów, bębnów i piszczałek. Tak też się stało.

Aleją maszerowała kolumna wojowników; las falujących pióropuszy i błyszczących włóczni przesunął się nad pstrokatym tłumem w kierunku wodza. Na czele czarnoskórych wojowników kroczył człowiek, na widok którego Liwie przeszył dreszcz. Jej serce zamarło na chwilę, po czym zaczęło bić tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Człowiek ów wyraźnie odróżniał się od czarnego tłumy. Wprawdzie tak jak jego ludzie odziany był tylko w przepaskę z lamparciej skóry i przepyszny pióropusz, lecz ciało jego miało białą karnację.

Szedł w kierunku siedzącego króla w sposób nie świadczący o tym, by przybywał jako poddany czy lennik oddający hołd. Gdy stanął przed Bajujhem, tłum nagle zamilkł. Liwia doskonale wyczuwała gęstniejącą atmosferę, choć istoty obserwowanych wydarzeń nie pojmowała. Bajujh, jakby zahipnotyzowany spojrzeniem przybysza, podźwignął swoje obrzydliwe cielsko i stanął, groteskowo kiwając głową.

Napięcie wyraźnie zelzało. Zgromadzeni wieśniacy wydali

ogłuszający ryk, a w odpowiedzi wojownicy białego człowieka potrząsnęli włóczniami i gromkim okrzykiem powitali króla Bajujha. Liwia rozumiała, że przybyły musiał być kimś ważnym, skoro król Bakalahów witał go stojąc. W takich przypadkach poważanie kogoś oznaczało uznanie dla jego oręża, bowiem wśród tych dzikich ludów jedynie siła budziła szacunek.

Liwia stała z twarzą przyciśniętą do ściany, nie odrywając oczu od przybysza. Jego wojownicy wtopili się w tłum Bakalahów, tańcząc, ucztując, żłowiąc piwsko. On zaś, wespół z kilkoma wodzami, zasiadł na macie obok Bajujha i jego świty, częstując się tym, co przed nimi ustawiono. Liwia widziała jak sięga do mis z tłustym mięsiwem i wlewa w siebie ogromne ilości trunku, jak pije z tego samego naczynia, z którego poprzednio pił Bajujh. Zauważyła, że darzono go szacunkiem należnym królowi — ponieważ nie było stołka, Bajujh zrezygnował ze swojego i również usiadł na macie obok gościa. Gdy przyniesiono nowy dzban wina, król Bakalahów ledwie skosztował go, wręczając naczynie nieznajomemu. Władza! Cały ten ceremoniał wskazywał, że biały człowiek miał władzę, siłę i prestiż! Liwia drżała z emocji, a w jej umyśle z wolna zaczął się rodzić plan działania.

Intensywnie przyglądała się nieznajomemu, starając się zapamiętać każdy szczegół jego wyglądu. Był wysoki — niewielu czarnych dorównywało mu wzrostem i wagą, poruszał się lekko i zwinnie, z kocią gracją. W jego niebieskich oczach paliły się groźne płomyki niczym żar skryty za lodową taflą. Na nogach miał skórzane sandały, a u boku prosty miecz. Wyglądał obco i nieprzystępnie. Liwia nigdy nie widziała kogoś takiego jak on i nie próbowała określić z jakiego kraju pochodził. Wystarczało jej, że miał białą skórę.

Mijały godziny. Zgiełk przycichł z wolna, gdyż znużeni pijatyką tubylcy poczęli zapadać w ciężki sen. Bajujh podniósł się chwiejnie i unióś ręce, co było gestem poddania się w zawodach obżarstwa i opilstwa. Zatoczył się i upadłby niechybnie, lecz stojący przy nim wojownicy krzepko chwycili go pod pachy i zanieśli do chaty. W chwilę później nieznajomy wstał również i nie zdradzając żadnych objawów zamroczenia alkoholem, udał się na spoczynek. Gdy

zniknął we wnętrzu domostwa, Liwia spostrzegła jak tuzin wojowników z włóczniami w dłoniach otoczył jego kwaterę. Najwyraźniej przybysz nie dowierzał zbyt przyjaźni Bajujha.

Dziewczyna uważnym spojrzeniem ogarnęła najbliższe otoczenie, które sprawiało wrażenie pobojowiska: przejścia pomiędzy chatami usłane były ciałami pijanych. Liwia wiedziała, że jedynymi mężczyznami czuwającymi w wiosce są teraz oszczepnicy strzegący spokoju nieznanego przybysza, choć niektórzy z nich mieli spore trudności z utrzymaniem właściwej postawy.

Serce waliło jej jak młot, gdy podkładała się do drzwi swojego więzienia. Bezszelestnie wyślizgnęła się na zewnątrz obok chrapiącego strażnika. Jak duch przemknęła przez plac, kierując się w stronę tylnej ściany chaty przybysza. Ostatnie metry przebyła na czworakach. Stojący tam na straży wojownik, spał skulony na ziemi, opuściwszy ozdobioną pióropuszem głowę na kolana. Dziewczyna powoli przysunęła się do ściany. W takiej chacie więziono ją przedtem, a wąska szczelina w bambusowych prętach, zasłonięta od wewnątrz zwisającą matą, przypominała o nieudanej próbie ucieczki. Liwia znalazła ten otwór, obróciła się bokiem i odsunawszy matę, zaczęła się wciskać do środka.

Wpadający z zewnątrz blask ognisk słabo oświetlał wnętrze. Dziewczyna odchyliła matę i w tej samej chwili usłyszała stłumione przekleństwo, poczuła czyjaś dłoń mocno chwytającą ją za włosy, wciągającą do środka i szarpnięciem stawiającą na nogi.

Dygocząc ze strachu, oszołomiona gwałtownością wydarzeń Liwia wzięła się w garść i odgarnawszy włosy z czoła spojrzała w górę. Zobaczyła pochylającego się nad nią białego mężczyznę, na którego poznaczonej bliznami twarzy malowało się zdumienie. Nieznajomy trzymał w ręku obnażony miecz, a jego oczy jarzyły się złowrogim płomieniem. Nie potrafiła osądzić czy było to tylko zdumienie, czy może podejrzliwość lub gniew. Przemówił w języku, którego nie rozumiała; dźwięki nie przypominały ani gardłowej mowy czarnoskórych, ani żadnego z języków cywilizowanych narodów.

— Och, proszę! — błagała. — Nie tak głośno. Usłyszą...

— Kim jesteś? — spytał po ophirsku z barbarzyńskim akcentem.

— Na Croma, nigdy bym się nie spodziewał, że w tym piekielnym kraju spotkam białą dziewczynę!

— Mam na imię Liwia — odparła. — Jestem więźniem Bajujha. Och, proszę, wysłuchaj mnie! Nie mogę tu długo zostać. Muszę wrócić do chaty zanim zauważą, że mnie nie ma. Mój brat... — urwała szlochając, po czym zaczęła od nowa. — Pochodzę z rodu Chelkus, uczonych i szlachciców ophirskich. Moim bratem był Theteles. Król Stygii dał mu glejt, z którym miał się udać do Kheshatty, miasta czarodziej, aby uczyć się ich sztuki. Ja miałam mu towarzyszyć. Był chłopcem, młodszym ode mnie... — głos jej się załamał i na chwilę umilkła.

Nieznajomy nie odezwał się słowem, mierząc dziewczynę płomiennym spojrzeniem. Z jego groźnie zmarszczonej twarzy niczego nie mogła wyczytać. Czuli, że ma przed sobą człowieka o gwałtownej, nieokiełznanej naturze, co przepajało ją lękiem i niepewnością.

— Czarni Kushici najechali Kheshattę — ciągnęła pospiesznie. — Właśnie dojeżdżaliśmy do miasta wraz z karawaną wielbłądów. Nasi opiekunowie uciekli, a Kushici uprowadzili nas. Nie uczynili nam krzywdy. Powiedzieli, że będą rokować ze Stygijczykami i przejmą za nas okup. Jednak jeden z ich wodzów wiedziony chciwością pewnej nocy wykradł nas z obozu i razem ze swoimi ludźmi umknął daleko na południe, pod samą granicę Kush. Tam zostaliśmy zaatakowani przez bandę rabusiów bakalahańskich. Tylko nas oszczędzono. Thetelesa i mnie zawleczono później do jaskini tej bestii... — zatkała rozpaczliwie. — Dziś rano brata zamęczono i rozsiekano na moich oczach...

Żal ścisnął jej gardło i zmałił wzrok.

— ... jego ciało rzucili szakalom. Nie wiem jak długo leżałam nieprzytomna... Podniosła oczy ku groźnie zmarszczonej twarzy obcego. Nagle ogarnęła ją szalona wściekłość; zaczęła bębnić piąstkami w jego masywną pierś, co nie wzbudziło w nim żadnej reakcji.

— Jak możesz tak stać, ty głupcze? — syczała wściekle. — Czyż jesteś tylko zwierzęciem, jak oni? Ach, Mitro, kiedyś sądziłam, że ludzie są dobrzy. Teraz wiem, że każdy ma swoją cenę. Ty... co ty

wiesz o honorze, o litości czy współczuciu! Jesteś takim samym barbarzyńcą jak tamci! Tylko twoja skóra jest biała — duszę masz czarną jak oni. Nie obchodzi cię to, że te bestie okrutnie zamęczyły człowieka i chcą mnie uczynić niewolnicą!

Cofnęła się.

— Dobrze! Zapłacę ci — rzuciła, zdzierając koszulę z piersi. — Czyż nie jestem ładna? Czyż nie jestem bardziej godna pożądania niż tubylcze dziewczki? Czy nie jestem godną nagrodą za przelaną krew? Czy moje dziewictwo nie jest warte śmierci tego psa, Bajujha? Zabij go! Niech zobaczą jak jego przeklęty łeb toczy się po zakrwawionej ziemi! Zabij go! Zabij! Umilkła, wstrząsana burzą uczuć. Zaciśnęła pięści.

— Później możesz mnie wziąć i robić co zechcesz. Będę twoją niewolnicą! Milczał chwilę, stojąc niczym gigantyczny posąg prymitywnej siły, trzymając w dłoni złowrogo lśniący miecz.

— Mówisz jakbyś mogła sama decydować o swoim losie — rzekł — i jakby dar twego ciała miał moc wstrząsania królestwami. Dlaczego miałbym zabijać Bajujha, żeby cię posiadać? W tej kramie kobiety są tanie jak banany, a ich zgoda czy jej brak niewiele znaczą. Zbyt wysoko się cenisz. Gdybym cię pragnął nie musiałbym walczyć z Bajujhem. On wolałby cię oddać niż walczyć.

Liwia jęknęła. Nagle opuściły ją resztki sił i świat zawirował jej przed oczyma. Zatoczyła się i upadła na glinianą polepę, jak kukielka której ucięto sznurki. Szorstkie słowa nieznanego uświadomiły jej całkowitą bezsilność, odebrały nadzieję i pogrążyły w rozpacz. Człowiek nieświadomie trzyma się ocen i poglądów, do których jest przyzwyczajony, nawet w zupełnie zmienionych warunkach i sytuacjach. Mimo wszystko nieszczęść jakich doświadczyła, Liwia wciąż podświadomie uważała, że jej zgoda jest istotnym czynnikiem w grze, którą zamierzała podjąć. Obezwładniło ją uświadomienie sobie faktu, że jest całkowicie bezsilna. W tej grze nie mogła posługiwać się mężczyznami jak pionkami; sama była bezradnym pionkiem.

— Widzę teraz jak absurdalne było moje przeświadczenie, że ktoś w tym zakątku świata może postępować według reguł i obyczajów przyjętych na drugim krańcu świata — wyszeptła, niemal nie zdając

sobie sprawy z tego co mówi; po prostu głośno wyraziła swoje myśli. Przybita ostatnim kaprysem losu osunęła się, lecz żelazne palce barbarzyńcy zamknęły się na jej ramieniu i znów postawiły na nogi.

— Nazwałeś mnie barbarzyńcą — rzekł szorstko — i miałeś rację, Cromowi dzięki. Gdyby opiekowali się tobą tacy jak ja, a nie cywilizowani słabeusze, nie byłabyś dziś niewolnicą tego wieprza. Jestem Conan, Cymmerianin — żyję z tego co zdobędę mieczem. Jednak nie jestem jeszcze takim psem, żeby zostawić kobietę w łapach dzikusów, a chociaż twoi rodacy zwań mnie rabusiem, nigdy nie posiadałem kobiety wbrew jej woli. Różne są obyczaje w różnych krajach, ale jeśli człowiek jest wystarczająco silny, może wszędzie dopiąć swego!

Nikt nie nazwał mnie słabeuszem. Nawet gdybyś była stara i brzydka jak oswojony sęp diabła, zabrałbym cię Bajujhowi ze względu na kolor twojej skóry. Jednak jesteś młoda i piękna, a ja napatrzyłem się już wystarczająco na tubylcze dziewczki. Od ich widoku zbiera mi się na mdłości. Zrobię to czego żądasz, ponieważ podzielał niektóre z twoich uczuć. Wracaj do swojej chaty. Bajujh jest zbyt pijany by dziś do ciebie przyjść i zadbam o to, aby jutro też był zajęty. Jutrzejszej nocy ogrzejesz łożo Conana, nie Bajujha.

— Jak chcesz tego dokonać? — dziewczyną wstrząsały mieszane uczucia. — Masz jeszcze innych wojowników?

— Wystarczą ci — mruknął. — To Bamulasi, jeden w drugiego, a umiejętność wojowania wysłali z mlekiem matki. Przybyłem tu na prośbę Bajujha. Chce, żebym przyłączył się do ataku na Jihiji. Dziś wieczór ucztowaliśmy. Jutro odbędzie się rada. Kiedy z nim skończę, będzie się naradzał w piekle.

— Złamiesz przymierze? — zapytała.

— W tym kraju przymierze zawiera się po to, żeby je łamać — odparł ponuro. — On chce złamać przymierze z Jihiji. A kiedy już splądrowalibyśmy ich miasto, załatwiłby mnie przy pierwszej sposobności. To, co gdzie indziej byłoby najpodlejszą zdradą, tu uważane jest za dowód mądrości. Nie wywalczyłem sobie pozycji wodza Bamulasów nie nauczywszy się pierwiej tej zasady. A teraz wracaj do swojej chaty i śpij wiedząc, że to dla mnie masz zachować swoją urodę!



## 2.

Liwia przywarła do szczeliny w bambusowej ścianie i patrzyła, dygocząc z emocji. Wieśniacy wstali późno. Zmęczenie nocnym pijaństwem dało im się mocno we znaki: przez cały dzień przygotowywali następną ucztę. Ten czas Conan Cymmerianin spędził w chacie wodza. Liwia nie miała pojęcia co się dzieje. Z trudem ukrywała podniecenie przed jedyną osobą, która wchodziła do jej więzienia — wyzywająco młodą kobietą, przynoszącą jedzenie i picie. Ta jednak była jeszcze zbyt oszołomiona po całonocnej hulance, aby zauważyć jakąś zmianę w zachowaniu dziewczyny. Gdy zapadła noc, rozpalono ogniska. Wodzowie opuścili chatę króla, aby zasiąść na otwartej przestrzeni i przeprowadzić ceremonialną radę wojenną. Tym razem nie żłopano piwa. Liwia zauważyła, że Bamulasi nieznacznie przysuwają się bliżej kręgu siedzących dowódców. Widziała Bajujha i siedzącego naprzeciw niego Conana, żartującego z roslým Ają, wojennym wodzem Bakalahów.

Cymmerianin ogryzał ogromny udziec wołu. Liwia dostrzegła szybkie spojrzenie, jakim obrzucił swoich wojowników, którzy wyczekująco spoglądali na niego. Conan wstał i nie przestając się uśmiechać udał, że sięga do stojącego obok kotła z mięsiwem, po czym odwrócił się błyskawicznie i ciężką kością zadał Aji straszliwy cios w głowę. Wojownik padł z rozwaloną czaszką. W tej samej chwili przeraźliwy wrzask wstrząsnął dżunglą — to Bamulasi ruszyli do walki niczym żądne krwi tygrysy.

Kotły z jedzeniem wywracały się parząc siedzące przy nich kobiety, bambusowe ściany chat ugiwały się pod uderzeniami walących o nie ciał, wrzaski agonii niosły się daleko w noc, a nad tym zgiełkiem górowały bojowe okrzyki szalejących Bamulasów i raz po raz błyskały oblane purpurową poświatą ostrza ich włócznie.

Zapanowało powszechne zamieszanie. Niespodziewany atak zupełnie zaskoczył nieszczęsnych mieszkańców wioski. Myśl o jakimkolwiek zagrożeniu ze strony gości nawet nie przemknęła przez głowę Bakalahów. Większość wojowników pozostawiła broń w chatach, a wielu było już ponownie pijanych. Zabicie Aji było sygnałem, na który czekali Bamulasi; już pierwsze uderzenie

położyło pokotem setkę wojowników — zaczęła się prawdziwa masakra.

Liwia nie była w stanie odejść od szczeliny; blada jak ściana, odrzuciła w tył złote loki i ścisnęła rękami skronie. Odrętwiała ze zgrozy patrzyła na rzeź zaszklonymi oczami. Wrzaski bólu i wściekłości były dla jej udręczonych nerwów jak fizyczne ciosy; zamazane, wyjące sylwetki to przybliżały się do jej chaty, to znów oddalały. Przerażająco wyraźnie widziała włócznie przeszywające rozpaczliwie umykających ludzi, tryskającą krew, pałki unoszące się i opadające ze straszliwą siłą na głowy ofiar. Rozrzucone nogami uciekających głównie ognisk, sypały skrami; strzechy chat poczerniały, strzelając płomieniami. Poprzez zgiełk przedarł się przeraźliwy wrzask płonących żywcem ludzi. Mdląca woń spalonego mięsa rozeszła się w powietrzu przesyconym zaduchem potu i krwi.

Napięte nerwy Liwii nie wytrzymały. Z jej gardła wydobył się przenikliwy krzyk udręki, który zginął w odgłosach płomieni i wrzaskach mordowanych. Dziewczyna przycisnęła pięści do skroni. Bliska utraty zmysłów, daremnie usiłowała wytłumaczyć sobie, że to wrogowie giną tak straszną śmiercią, że sama zamierzała do tego doprowadzić i że ta rzeź, to zapłata za zło wyrządzone jej bratu. Krzyk zmienił się w histeryczny wybuch szalonego śmiechu. Bezgraniczne przerażenie ścisnęło ją za gardło.

Zapomniała o litości dla ofiar umierających pod ciosami zbroczonych krwią włócznie. Czuła tylko potworny, paniczny lęk... Ujrzała Conana.

Jego biała postać wyróżniała się wśród kłębowiska czarnych ciał. Liwia zobaczyła błysk miecza i padających wokół ludzi. Tłum walczących przetoczył się bliżej ogniska i dziewczyna dostrzegła tłustą, przysadzistą postać. Conan przedarł się przez walczących i na moment zniknął jej z oczu pośród czarnych sylwetek. Powietrze przeszył cienki, rozpaczliwy pisk. Ciżba walczących nie pozwoliła dostrzec szczegółów, lecz Liwia ujrzała, jak tłusty karzeł zatacza się brocząc krwią. Potem tłum znów zgęstniał i stalowe ostrze błysnęło niczym błyskawica na nocnym niebie.

Dał się słyszeć donośny okrzyk triumfu, przerażający swą dziką radością. Gigantyczna postać przedarła się przez tłum. Conan kroczył

ku chacie, w kierunku Liwii. W ręce niósł dar, który płomienie palących się chat oświetliły czerwonym blaskiem — głowę króla Bajujha. Z daleka widać było wywrócone białka oczu, obwisłą w idiotycznym uśmiechu szczękę i gęsty deszcz szkarłatnych kropel padających na ziemię.

Liwia cofnęła się z jękiem zgrozy. Conan dotrzymał słowa; teraz przybywał po zapłatę... Chwyci ją okrwawionymi palcami, zmiażdży wargi ustami jeszcze dyszącymi żądzą mordy... Na myśl o tym dziewczynę ogarnęło szaleństwo. Z wrzaskiem przebiegła przez chatę i uderzyła ciałem o tylne drzwi. Wywalila je z trzaskiem i wypadła na otwartą przestrzeń niczym biały duch przelatujący przez królestwo czarnych cieni i czerwonego płomienia.

Instynktownie skierowała się do zagrody, w której trzymano konie. Czarnoskóry wojownik właśnie wyjmował belki oddzielające zagrodę od głównej bomy. Z okrzykiem zdumienia wyciągnął rękę i chwycił za kołnierz koszuli Liwii. Dziewczyna wydarła mu się rozpaczliwym szarpnięciem, zostawiając szatę w jego rękach. W tejże chwili parskające, przerażone konie przebiegły obok, wdeptując wojownika w ziemię. Chude, żylaste konie kushickie, oszalałe od widoku ognia i zapachu krwi.

Liwia sięgnęła na oślep i chwyciła powiewającą grzywę. Szarpnięcie oderwało ją od ziemi; znów dotknęła jej palcami stóp, odbiła się, podciągnęła i wgramoliła na grzbiet galopującego wierzchowca. Oszalałe stado przeleciało przez wioskę; małe podkowy skrzesaly deszcz iskier z główki rozrzuconego ogniska. Zaskoczeni tubylcy przez moment widzieli nagą, białą dziewczynę na grzbiecie pędzącego jak wiatr rumaka. Gęste, złote włosy płynęły za nią długą falą. Wierzchowiec pogalopował przez plac, przeskoczył przez bomę i zniknął w mroku nocy.

### 3.

Liwia nie próbowała kierować wierzchowcem, nie czuła też specjalnej potrzeby. Łuna pożaru i wrzaski mordowanych pozostały w tyle, wiatr rozwiewał jej włosy i pieścił nagie ciało. Niejasno zdawała sobie sprawę, że musi się trzymać powiewającej grzywy i galopować, galopować, aż na koniec świata, jak najdalej od bólu, rozpaczy i przerażenia.

Niez mordowany rumak pędził przed siebie, gdy nagle — wbiegłszy na szczyt oblanego światłem gwiazd pagórka — potknął się i zrzucił dziewczynę.

Spadła na miękką murawę i przez chwilę leżała półprzytomna, słuchając jak koń oddala się wolnym klusem. Gdy chwiejnie stanęła na nogi, zdziwiła ją panująca wokół cisza. Ta cisza była wprost namacalna, a po ogłuszającym łomocie bębnow i rogów, który doprowadzał do szaleństwa, wydawała się czymś łagodnym i miękkim jak aksamit. Liwia podniosła wzrok ku wielkim, białym gwiazdom gęsto rozsypanym na czarnym niebie. Nie było księżyca i tylko one oświetlały ziemię swym złudnym blaskiem, budząc ostre plamy cienia. Liwia stała na pokrytym murawą wzniesieniu, którego łagodne stoki spływały miękko ku szerokiej dolinie. W oddali dostrzegła zwartą, ciemną Unię drzew — skraj lasu.

Tutaj była tylko noc i martwa cisza, a słaby wietrzyk zdawał się spływać z gwiazd.

Wszystko wydawało się pogrążone we śnie. Ciepła pieszczota wiatru uświadomiła dziewczynie jej nagość; drgnęła niespokojnie, zakrywając się rękami. Poczowała otaczającą ją pustkę i własną samotność. Była sama. Stała na szczycie pagórka, wokół nie było nikogo — nic prócz nocy i szepczącego wiatru.

Nagle poczuła głębokie zadowolenie. Już nic jej nie groziło; nikt nie zmiądzży jej w brutalnym uścisku. Spojrzała uważnie i zobaczyła dno doliny. Falowały tam wysokie paprocie, a wśród nich majaczyły, porzrucane tu i tam, blade punkty. Wydawało się jej, że to wielkie białe kwiaty. Ta myśl nasunęła jej niewyraźne wspomnienie; przypomniała sobie, że czarni ze strachem opowiadali o jakiejś dolinie, w której niegdyś schroniły się przed najeźdźcami kobiety

dziwnej rasy, mające brązową skórę. Podobno zamieszkiwały te ziemie przed nadejściem praprzodków Bakalahów. Tam, jak głosiła legenda, zamieniły się w białe kwiaty: w ten sposób dawni bogowie pomogli im umknąć przed prześladowcami.

Żaden tubylec nie ośmieliłby się wejść do tej doliny. Jednak Liwia nie wahała się. Zejdzie po trawiastym stoku, który dla jej delikatnych stóp był jak aksamitny dywan; zamieszka wśród tych kołyszących się, białych kwiatów i nigdy żaden mężczyzna nie zdoła jej pochwycić. Conan powiedział, że zawiera sojusz tylko po to, aby je łamać, więc ona złamie przymierze, które z nim zawarła. Uda się do Doliny Zaginionych Kobiet, zatraci się w ciszy i samotności... Pogrążona w tych myślach schodziła po łagodnym zboczu, coraz niżej i niżej, na dno doliny.

Stoki otaczających dolinę wzgórz były tak łagodne, że nawet kiedy znalazła się na dole, nie miała wrażenia, że jest odcięta od świata. Wokół falowało morze cienia, a wielkie białe kwiaty kołysały się i zdawały czule do niej szeptać. Liwia ruszyła przed siebie rozchylając rękami paprocie, słuchając szemrzącego wśród liści wiatru i bulgotu niewidocznego strumyka. Wszystko to sprawiało jej niemal dzieciinną przyjemność. Kroczyła jak we śnie, jak gdyby znalazła się w jakimś nierzeczywistym świecie. Szła pochłonięta myślą, że tu jest wolna od brutalności mężczyzn. Płakała, ale były to łzy radości. Wyciągnęła się na miękkiej murawie i chwyciła rękami żdzbla trawy, jakby chciała całą dolinę przycisnąć do piersi i nigdy nie wypuścić.

Zerwała kilka białych płatków i wplotła je we włosy niczym diadem. Ich zapach był jak wszystko w dolinie: delikatny, upajający.

W końcu wyszła na polankę pośrodku doliny i ujrzała tam wielki głaz, przypominający wyciosany ludzkimi rękami ołtarz, ozdobiony zielonymi pędami paproci i kwieciami. Liwia stanęła przed nim, czując czyjaś obecność. Odwróciła się i zobaczyła wyłaniające się z cienia postacie. To były kobiety; smukłe, o brązowej karnacji, z kwiatami wplecionymi w czarne jak noc włosy. Bez słowa otoczyły kręgiem dziewczynę. Zobaczywszy ich oczy Liwia poczuła przypływ nowego przerażenia. Ich oczy były jasne i świetliste — lecz nie miały w sobie nic ludzkiego. Wprawdzie te stworzenia miały ludzką

postać, ale ich dusze uległy jakimś okropnym przemianom, odzwierciedlającym się w tych płonących źrenicach. Liwia czuła obezwładniający lęk. Żmija podniosła swój złowrogi łeb w nowoodkrytym raju.

Nie była w stanie uciekać. Gibkie, brązowoskóre istoty otoczyły ją ciasnym pierścieniem. Jedna, ładniejsza od innych, podeszła lekko do drżącej dziewczyny i objęła ją smukłymi ramionami. Jej oddech był przesycony tym samym zapachem, jaki sączył z falujących w blasku gwiazd białych kwiatów. Jej wargi dotknęły warg Liwii, wyciskając na nich długi, straszliwy pocałunek. Dziewczyna poczuła, że krew ścina się jej w żyłach i drętwieją kończyny. Niczym posąg z marmuru trwała w objęciach czarnowłosej, niezdolna do wypowiedzenia choć słowa czy zrobienia najmniejszego ruchu.

Delikatne ręce podniosły ją i położyły na kamiennym ołtarzu, wśród wonnego kwiecia. Brązowoskóre kobiety chwyciły się za ręce i poczęły pisać wokół w dziwnym, ponurym rytmie. Nigdy ludzkie oczy nie oglądały takiego tańca, nie widziało go słońce ni księżyc, jedynie blade gwiazdy jarzące się teraz intensywniejszą poświatą, jakby w odpowiedzi na magiczny zew.

W powietrzu rozchodził się cichy śpiew; szmer głosów przypominający szelest falujących pod rozgwieżdżonym niebem kwiatów. Liwia nie utraciła przytomności, a jednak nie była w stanie zrobić żadnego ruchu. Nie miała powodu wątpić w swoje zdrowe zmysły, nie próbowała też zastanawiać się nad swoją sytuacją; po prostu była tu i te istoty tańczące wokół niej też były rzeczywistością, jakkolwiek koszmarną. Leżała bezradnie wpatrując się w usiane gwiazdami niebo, z którego, jak instynktownie wyczuwała, miało coś przybyć po nią, tak jak niegdyś przybyło do tych brązowoskórych kobiet by uczynić je takimi niesamowitymi, pozbawionymi dusz istotami, jakimi były teraz.

Najpierw wysoko, wśród gwiazd zobaczyła czarną plamę, która powiększając się, niebawem osiągnęła wielkość nietoperza. Nie koniec na tym — plamka rosła nadal, lecz jej kształt już się nie zmieniał. Tak określony zawisł nad doliną i zaczął opadać ku ziemi niczym kamień; jego cień padł na leżącą na ołtarzu Liwie. Śpiew nabrał mocy, zmieniając się w cichy pean nadludzkiej radości,

wznoszony na powitanie bóstwa przybywającego po swoją ofiarę, świeżą i piękną, jak kwiat zroszony ranną rosą.

Stwór zawisł tuż nad przerażoną dziewczyną. Olbrzymie skrzydła potwora, niekształtne ciało i mroczne rysy nie przypominały żadnego żyjącego na ziemi stworzenia. Liwii wydawało się, że spogląda na ucieleśnienie grozy, uosobienie kosmicznego zła zrodzonego w otchłaniach nocy, przewyższającego najdziksze rojenia szaleńca.

Mobilizując wszystkie siły, nabrała tchu w piersi i wrzasnęła okropnie. Odpowiedział jej głuchy, złowrogi pomruk. Nagle usłyszała tupot bosych stóp i wszystko wokół zawirowało jak wzburzona woda; białe kwiaty stuliły płatki, a brązowoskóre kobiety zniknęły w oka mgnieniu. Ogromny, czarny cień wciąż unosił się nad Liwią, lecz już pędziła ku niej inna, wysoka postać w białym pióropuszu na głowie.

— Conan! — wykrzyknęła.

Barbarzyńca jednym susem wskoczył na ołtarz i długie, srebrzyście lśniące ostrze ze świstem przecięło powietrze. Wielkie, czarne skrzydła łopotały bezgłośnie. Zdrętwiała z przerażenia Liwia ujrzała, jak czarny cień spowija stojącego nad nią Cymmerianina. Conan dyszał ciężko, jego stopy tratowały łodygi białych kwiatów. W ciszy słyhać było tylko jego głośny oddech i świst spadającego ostrza. Coś potrząsało nim jak kot potrząsa myszą, krew prysnęła na trawę mieszając się z białymi płatkami, które usłały ziemię niczym dywan.

Wreszcie patrząca na te okropne zmagania dziewczyna dostrzegła jak czarnoskrzydły stwór gwałtownie zakotłosał się w powietrzu, raptownym łopotem skrzydeł oderwał od przeciwnika i wzbił w górę, znikając wśród gwiazd. Zwycięzca stał chwiejnie na szeroko rozstawionych nogach i groźnie potrząsając mieczem, patrzył w ślad za potworem; zadziwiony jego odwrotem, lecz w każdej chwili gotowy podjąć dalszą walkę.

Po chwili Conan zszedł z ołtarza. Dyszał ciężko i broczył krwią. Jego potężna, błyszcząca od potu pierś unosiła się i opadała z wysiłkiem, a barki i ramiona spływały krwią. Dotknął Liwii i dziewczyna natychmiast zerwała się na równe nogi, zeskakując z ołtarza. Można by sądzić, że Cymmerianin przeciął niewidoczne

pęta.

Conan oparł się o kamień, patrząc na kulącą się ze strachu dziewczynę.

— Moi ludzie widzieli jak uciekłaś z wioski — rzekł. — Ruszyłem za tobą jak mogłem najprędzej i wkrótce znalazłem twój ślad, chociaż tropienie przy świetle pochodni nie jest łatwe.

Dotarłem do miejsca gdzie koń cię zrzucił i chociaż skończyły mi się pochodnie i nie mogłem dostrzec śladów twoich stóp na murawie, byłem pewny, że zesłałaś do doliny. Moi wojownicy nie chcieli iść ze mną, więc poszedłem sam. Co to za piekielne miejsce! I co to za potwór?

— To bóstwo — szepnęła. — Bóstwo spoza otchłani czasu i przestrzeni, o którym mówią czarni...

— Demon Ciemności — mruknął Cymmerianin. — Och, teraz rozumiem. Za otaczającym nasz świat pasem światła, jest ich więcej niż pcheł. Słyszałem jak mówili o tym zamorańscy mędrcy. Czasem te stwory pojawiają się w naszym świecie, ale wtedy muszą przybrać jakąś materialną postać. Mając dobry miecz w ręku człowiek może stawić czoła kłom i pazurom każdego potwora, ziemskiego czy piekielnego. Chodź, moi ludzie czekają na skraju doliny.

Zmarszczywszy brwi Cymmerianin spoglądał na kulącą się u jego stóp dziewczynę, niezdolną poruszyć się czy wyksztusić choć słowo. W końcu Liwia wyszeptwała:

— Uciekłam przed tobą. Chciałam cię oszukać. Nie zamierzałam dotrzymać obietnicy: miałam być twoją niewolnicą, a chciałam ci uciec. Możesz mnie ukarać...

Conan otarł pot z czoła i włożył miecz do pochwy.

— Wstań — mruknął. — To nie była uczciwa umowa. Nie żałuję tego psa Bajujha, a ty nie jesteś dziewczką, którą się kupuje. W różnych krajach różne są obyczaje, ale człowiek nie powinien być wieprzem, obojętnie gdzie się znajduje. Kiedy to sobie przemyślałem, stwierdziłem, że gdybym cię trzymał za słowo, to tak samo, jakbym cię zniewolił. Ponadto nie jesteś na tyle silna, aby żyć w tym kraju. Twoje miejsce jest w mieście, wśród książek i cywilizowanych ludzi. Szybko zginęłabyś, gdybyś miała zostać u mego boku. A z martwej kobiety nie ma żadnego pożytku. Zabiorę



cię do stygijskiej granicy. Stygijczycy odeślą cię do domu, do Ophiru.

Liwia spojrzała na niego tak, jakby nie była pewna czy dobrze go słyszy.

— Do domu? — powtórzyła machinalnie. — Do domu? Do Ophiru? Do rodziców? Do miasta, ludzi, ksiązek...?

Nagle łzy popłynęły jej z oczu i padła Conanowi do nóg.

— Na Croma, nie rób tego — mruknął barbarzyńca. — Myślałby kto, że robię ci przysługę, wyrzucając cię z tego kraju. Czyż nie wyjaśniłem ci, że nie jesteś odpowiednią kobietą dla wodza Bamulasów?

## CZARNY KOLOS BLACK COLOSSUS

*Widocznie zainteresowanie Rufli Conanem wygasło z chwilą gdy skończyły mu się lupy zagarnięte w Asgalunie; a może zamienił ją na dobrego konia nim zaciągnął się pod rozkazy Amatryka z Nemedii, kondotiera na służbie królowej — — regentki Jasmeli, władającej małym, pogranicznym królestwem Khoraji?*

*Cymmerianin szybko awansuje do rangi kapitana. Brat Jasmeli, król Khoraji jest więziony w Ophirze, a hordy nomadów pod wodzą tajemniczego czarownika, Natohka, zagrażają granicom królestwa.*

„Oto noc władzy, kiedy Los kroczy przez korytarze świata jak kolos, który właśnie wstał z wiekowego, granitowego tronu...”

(E. Hoffman Price, „Dziewczyna z Samarkandy”)

## 1.

Pośród tajemniczych ruin Kutchemesu zalegała odwieczna cisza, ale królował tam Strach. Strach, który ścisnął za gardło złodzieja Shevatasa, sprawiając, że szybko i głośno wciągał oddech przez zaciśnięte zęby.

Stał wśród ruin, jak drobny okruch życia wobec kolosalnych pomników zniszczenia i rozkładu. Nawet samotny sęp nie zakłócał czarną plamką swej obecności nieskalanego błękitu nieba, rozpalonego gorącym słońcem. Wokół wznosiły się ponure pozostałości dawno minionych wieków; olbrzymie kolumny wznoszące w górę swe strzaskane wierzchołki, kruszące ściany chylące się do upadku, wielkie bloki cyklopowych murów i potrzaskane posągi, których okropne rysy na pół zatarły niezliczone dni piaskowych burz i porywistych wiatrów. Aż po krańce horyzontu ani śladu życia, tylko zapierający dech w piersi bezmiar pustyni, przepołowiony falującą Unią koryta od dawna wyschniętej rzeki. Pośród tego bezkresu białe kły ruin, filary sterczące niczym maszty zatopionych statków i górująca nad tym wszystkim kopuła, przed którą stał trzęsący się Shevatas.

Podstawę tej kopuły stanowił gigantyczny piedestał z marmuru, wznoszący się na tarasowatym stoku nad brzegiem wyschniętej rzeki. Szerokie stopnie prowadziły do wielkich, spiżowych wrót w gładkiej ścianie budowli, przypominającej połówkę odwróconego jajka. Ściany kopuły były z kości słoniowej, błyszczącej tak, jakby przed chwilą wypolerowały ją nieznane ręce. Tak samo świeciła złota czasza wierzchołka i złote, półmetrowe hieroglify umieszczone na kopule inskrypcji. Żaden człowiek nie potrafił odczytać tego pisma, ale Shevatas wzdrygnął się na widok dziwnych znaków. Wywodził się z bardzo starej rasy, której mity przekazywały pamięć o rzeczach, o jakich nie miały pojęcia inne ludy.

Shevatas był żyłasty i zwinny, jak przystało na mistrza zamorańskich złodziei. Małą, okrągłą głowę miał dokładnie wygoloną, a jedynym jego odzieniem była przepaska ze szkarłatnego jedwabiu. Jak każdy Zamoranin, miał ciemną skórę i bystre, czarne oczy osadzone w wąskiej twarzy o orlich rysach. Jego długie smukłe

palce potrafiły poruszać się z szybkością i delikatnością motyli skrzydeł. U pasa zawiesił krótki i wąski miecz o wysadzonej klejnotami rękojeści. Shevatas z nadzwyczajną troskliwością obchodził się z tym orężem, tkwiącym w ozdobnej, skórzanej pochwie. Wydawało się, że stara się by miecz nie dotykał jego biodra. I nie bez powodu.

Shevatas był złodziejem nad złodziejami; jego imię wymawiano z szacunkiem w spelunkach Maul i mrocznych, podziemnych labiryntach świątyń Bela. Był człowiekiem, którego imię miało przetrwać w pieśniach i legendach.

A jednak stojąc przed olbrzymią kopułą Kutchemesu trząsł się ze strachu.

Nawet zupełny głupiec zauważyłby, że ta budowla ma w sobie coś nienaturalnego; przez trzy tysiące lat smagały ją wichry i paliło słońce, a jednak lśniła równie jasnym złotym i srebrnym blaskiem jak w dniu, w którym ręce nieznanymi budowniczymi wzniosły ją na brzegu bezimiennej rzeki.

Wrażenie to pogłębiała atmosfera niepokoju i grozy panująca wśród ruin. Rozciągająca się wokół pustynia była tajemniczym bezmiarem nieprzebranych obszarów ciągnących się na południowy — wschód od Shemu. Shevatas wiedział, że kilka dni jazdy na grzbiecie wielbłąda pozwoliłoby mu dotrzeć do brzegów wielkiej rzeki Styx, w miejscu gdzie skręcała pod kątem prostym z dotychczasowego kierunku i ruszała na zachód, aby w końcu wpaść do odległego morza. W miejscu, w którym skręcała, zaczynały się ziemie Stygii, ponurej południowej krainy, której, miasta wznosiły się na brzegach rzeki wśród otaczającej je pustym.

Shevatas wiedział też, że na wschodzie pustynia przechodziła w step ciągnący się aż do hyrkańskiego królestwa Turanu, rosnącego w siłę państwa na brzegu wielkiego, wewnętrznego morza. O tydzień jazdy na północ pustynia kończyła się pasmem jałowych wzgórz, za którymi leżały żyzne wyżyny Koth — najdalej na południe wysunięte ziemie królestwa hyboriańskiego. Na zachodzie piaski przechodziły w zielone łąki Shemu, ciągnące się aż do oceanu.

Shevatas wiedział o tym wszystkim, nie zdając sobie nawet sprawy, że wie — tak jak człowiek znający ulice swojego miasta.

Wiele podróżował, uprawiając swoją profesję w różnych krajach. Teraz jednak wahał się i drżał ze strachu, stojąc u progu największej tajemnicy i największego bogactwa.

W tej kopule z kości słoniowej spoczywały zwłoki Thugry Khotana, czarnoksiężnika, który władał Kutchemesem przed trzema tysiącami lat, kiedy królestwa Stygii i Acheronu rozpościerały się daleko na północ od wielkiej rzeki, aż za łąki i wyżyny Shemu. Później Hyborianie runęli potężną falą z kolebki swej rasy — dalekiej pomocy. Była to gigantyczna migracja, trwająca całe wieki. Za panowania Thugry Khotana, ostatniego czarnoksiężnika Kutchemesu, ci szarocy, brązowowłosi barbarzyńcy w skórach i łuskowych pancerzach, nadciągnęli ze swych siedzib, aby żelaznymi mieczami wyrąbać podwaliny królestwa Koth. Niczym wzbierająca fala przetoczyli się przez Kutchemes, siejąc śmierć i zniszczenie. Królestwo Acheronu przestało istnieć.

Kiedy ich miecze zbierały krwawe żniwo wśród łuczników Thugry Khotana, on sam wypił dziwny, trujący napój, a zamaskowani kapłani zamknęli jego ciało w grobowcu, jaki sobie wybudował. Jego wyznawcy zostali wycięci w pień, lecz barbarzyńcy nie zdołali wyłamać wrót grobowca, ani naruszyć jego murów taranami czy ogniem. Odjechali, zostawiając za sobą ruiny miasta, a potężny Thugra Khotan spał spokojnie w swoim błyszczącym sarkofagu, podczas gdy czas kruszył marmurowe kolumny, a nawadniająca te ziemie rzeka wsiąkła w piasek i wyschła.

Wielu złodziei próbowało zdobyć skarby, które — jak głosiła legenda — leżały stertami wokół spleśniałych kości władcy Kutchemesu. Wielu z nich zginęło u wrót grobowca, a wielu innych, dręczonych koszmarnymi snami, umarło z pianą szaleństwa na ustach. Dlatego też Shevatas drżał stojąc przed grobowcem, a drzenie to potęgowała myśl o żmiji, która ponoć strzegła kości czarnoksiężnika. Wszystkie legendy o Thugrze Khotanie osnute były mgłą tajemnicy i grozy. Z miejsca, w którym stał, widział ruiny olbrzymiej sali, gdzie niegdyś setki zakutych w łańcuchy więźniów kłękały podczas festynów, aby król — kapłan mógł im ściąć głowy, ku czci Seta, stygijskiego boga — węża. Gdzieś w pobliżu znajdowała się przepaść, mroczna i straszna, w którą strącano

wrzeszczące ofiary na żer ohydnemu potworowi, wyłaniającemu się z jeszcze głębszych czeluści. Legendy opisywały Thugrę Khotana jako istotę obdarzoną nadnaturalną mocą. Jego kult przetrwał jeszcze w szczątkowej postaci, jako zwyczaj zaopatrywania zmarłych w monety z podobizną czarnoksiężnika. Była to zapłata za przewóz przez Wielką Rzekę Ciemności, której Styx był ledwie materialnym cieniem. Shevatas widział podobiznę maga na monetach ukradzionych nieboszczykowi i twarz tę miał wyrytą w pamięci.

Wreszcie odsunął od siebie obawy i podszedł do spiżowych wrót, których gładka powierzchnia była pozbawiona jakichkolwiek rygli czy uchwyków. Jednak złodziej nie na darmo uprawiał tajemne praktyki, słuchał szepków wyznawców Skelosa i czytał opracione w żelazo, zakazane księgi Ślepego Vathelosa.

Kłęcząc przed portalem, dotknął zręcznymi palcami progu. Delikatnymi opuszkami znalazł ukryte występy, zbyt małe by niepowołane oczy mogły je dostrzec, a mniej czułe palce wyczuć. Nacisnął je ostrożnie i w odpowiedniej kolejności, mrużąc przy tym trochę zapomniane zaklęcia. Nacisnąwszy ostatni występ, raptownie zerwał się na nogi i uderzył otwartą dłońią w sam środek wrót.

Bez zgrzytu sprężyn czy zawiasów, płyta drzwi cofnęła się w głąb ściany. Shevatas gwałtownie wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Ujrzał krótki, wąski korytarz. Drzwi cofnęły się tak, że znalazły się na drugim jego końcu. Podłoga, sufit i ściany podobnego do tunelu przejścia były z kości słoniowej. Z bocznego otworu wyłonił się bezgłośnie pełznący stwór: sześciometrowa żmija o cielsku pokrytym opalizującymi łuskami. Podniosła łeb i spojrzała na intruza jarzącymi się ślepiami.

Złodziej nie tracił czasu na rozważania, z jakich przepastnych głębi przybył ten ohydny stwór. Ostrożnie wyjął z pochwy miecz, którego ostrze ociekało zielonym płynem, takim samym jaki spływał ze zakrzywionych kłów gada. W rzeczy samej, oręż zatruto żmijowym jadem, którego zdobycie w rojących się od dzikich bestii bagnach Zingary mogłoby być tematem osobnej opowieści.

Stąpając czujnie na czubkach palców, z lekko ugiętymi kolanami, Shevatas był w każdej chwili gotów do ucieczki lub uniku. Musiał wykazać niebywałą zręczność, aby uniknąć błyskawicznego ciosu

niosących śmierć kłów. Mimo wspaniałego refleksu i zręczności, tylko przypadek uratował Zamoranina. Błyskawiczny atak węża udaremnił plan złodzieja, który zamierzał uskoczyć w bok i odciąć mieczem wyprężony łeb. Zaledwie zdążył dobyć miecza i zasłonić się nim, gad runął nań jak burza. Shevatas mimowolnie zamknął oczy i krzyknął ze strachu. Potworna siła wyrwała mu broń z ręki: usłyszał straszliwy syk i loskot.

Otworzywszy oczy, zdumiony tym, że jeszcze żyje, Shevatas zobaczył skręcającego się i zwijającego na podłodze potwora, z paszczą przebitą mieczem. Ślepy przypadek sprawił, że gad nadział się na nastawione ostrze. W chwilę później błyszczące, słabo opalizujące sploty przestały się wić i zaczęły drżeć konwulsyjnie — trucizna na ostrzu podziałała.

Ostrożnie przestąpiwszy przez skręcone cielsko, złodziej pchnął wrota, które tym razem odsunęły się w bok, odsłaniając wnętrze kopuły. Shevatas wydał mimowolny okrzyk. Zamiast nieprzeniknionych ciemności ujrzał przestrzeń oblaną szkarłatnym światłem, pulsującym i migoczącym w rytmie trudnym do zniesienia dla ludzkich oczu. Ten blask dobywał się z olbrzymiego, czerwonego klejnotu, osadzonego wysoko pod łukowatym sklepieniem.

Chociaż Zamoranin przywykł do widoku nagromadzonych bogactw, rozdziawił jednak usta ze zdumienia, widząc stopy niedbale rzuconych klejnotów: sterty diamentów, szafirów, rubinów, turkusów, opali i szmaragdów; zwały jaspisu, agatu i lapis-lazuli; piramidy złotych sztab; stożki srebra; wysadzane klejnotami miecze w złotych pochwach, złote hełmy zwieńczone pióropuszcami z końskiego włosia, pancerze ze srebrnych łusek, zbroje noszone przez królów — wojowników sprzed trzech tysięcy lat, puchary wyrzeźbione ze szlachetnych kamieni, pozłacane czaszki z kamieniami księżycowymi w oczodołach i naszyjniki z ludzkich zębów. Podłogę pokrywała kilkucalowa warstwa złotego pyłu, który świecił i skrzył się w szkarłatnej poświacie. — Złodziej znalazł się w czarodziejskiej krainie niebywałego bogactwa, deptając nogami gwiazdy złotych rozbłysków. Nie odrywał przy tym oczu od wznoszącego się pośród tych wspaniałości kryształowego podium, na którym powinny leżeć spleśniałe kości maga, zmieniające się w

proch w miarę upływu wieków. Shevatas patrzył i z wolna krew odpływała mu ze śniadej twarzy, zdając się zastygać w żyłach. Dreszcz przebiegł mu po plecach, a wargi poruszyły się w bezgłośnym okrzyku. W końcu zdołał wydobyć z gardła przeraźliwy wrzask, który odbił się głuchym echem od sklepienia grobowca. Później wśród tajemniczych ruin Kutchemesu znów zaległa odwieczna cisza.



## 2.

Wśród mieszkańców hyboreańskich miast i zielonych równin krążyły dziwne plotki. Wieść podróżowała z karawanami, z długimi szeregami brnących przez piaski wielbłądów prowadzonych przez chudych, sokolookich mężczyzn w białych kaftanach. Przekazywali ją sobie pasterze, mieszkańcy namiotów i niskich, kamiennych domów w miastach, których królowie o kędzierzawych i kruczoczarnych brodach oddawali cześć dziwnym, opasłobrzuchym bóstwom. Słowo przeleciało przez pasma wzgórz, gdzie posepni naczelnicy pobierali myto od podróżujących wędrowców. Dotarło do urodzajnych wyżyn, gdzie okazałe grody wznosiły się nad brzegami błękitnych jezior i rzek; rozeszło się szerokimi, białymi drogami pełnymi oślich zaprzęgów, stad ryczącego bydła, kupców zdążających w interesach, rycerzy, łuczników i kapłanów. Plotki z pustyni leżącej daleko na południe od wyżyn Koth, na wschód od mrocznej Stygii.

Wśród nomadów pojawił się nowy prorok.

Mówiono o wojnie plemiennej, o sębach gromadzących się na południu i o straszliwym przywódcy, który wiedzie do zwycięstwa szybko rosnące w siłę pustynne hordy. Zawsze zagrażający swym sąsiadom Stygijczycy najwidoczniej nie mieli z tym nic wspólnego, ponieważ zbierali wojska przy swojej wschodniej granicy, a ich kapłani odprawiali czary, mające zniwelować uroki rzucane przez tajemniczego czarownika z pustyni, zwanego Natohk — Zamaskowany, jako że nigdy nie odsłaniał swej twarzy.

Jednak fala najeźdźców nieustannie parła na pomoc. Czarnobrodzi królowie zginęli przed ołtarzami swych opasłobrzuchych bożków, a ulice ich kamiennych miast spływały krwią. Mówiono, że Natohk i jego zwolennicy zamierzają zdobyć wyżyny Koth.

Najazdy Nomadów nie były czymś niezwykłym, ale ostatnie wydarzenia zapowiadały coś więcej niż zuchwały napad. Plotka głosiła, że Natohk podporządkował sobie trzydzieści pustynnych szczepów i piętnaście miast. Mówiono też, że przyłączył się do niego zbuntowany stygijski książę. To ostatnie nadawało sprawie aspekt prawdziwej wojny.

Jak zwykle, większość hyboriańskich nacji ignorowała narastające zagrożenie. Jednak w Khoraji, państewku powstałym na ziemiach wydartych Shemitom przez kothyjskich awanturników, nie lekceważono niebezpieczeństwa. Leżący na południowy — wschód od Koth kraj, przyjąłby na siebie główne uderzenie ewentualnej inwazji. Jego młody król był więźniem podstępnego władcy Ophiru, który wahał się między uwolnieniem go po otrzymaniu olbrzymiego okupu, a wydaniem w ręce wroga — skąpego króla Koth, który nie obiecywał złota, ale kusił zawarciem korzystnego traktatu. Tymczasem rządy w zagrożonym królestwie sprawowała młoda księżniczka Jasmela, siostra króla.

Miała w sobie dumę spadkobierczyni królewskiej dynastii, a jej piękność opiewali minstrele całego zachodniego świata. Lecz tej nocy duma opadła z niej jak znoszony płaszcz.

W komnacie o kopulastym sklepieniu z lapis-lazuli, marmurowej posadzce usłanej cennymi futrami i ścianach bogato zdobionych złotymi fryzami, stało szerokie łóżce, wokół którego na jedwabnych otomanach spało dziesięć dworek, młodych szlachcianek z bogatych rodów. Tylko królowa Jasmela nie wypoczywała na swoim łóżce. Leżała naga na marmurowej posadzce, niczym najnędnieszka ze służebnic, załamując ręce i potrząsając głową, tak że fala czarnych jak krucze skrzydła włosów spływała jej na białe ramiona. Leżała i skręcała się z przerażenia, które ścinało jej krew w żyłach i zasnęło mgłą piękne oczy, powodując, że włosy na głowie stanęły jej dęba, a na skórze pojawiła się gęsia skórka.

Nad nią, w najciemniejszym kącie marmurowej komnaty, krył się ogromny, bezkształtny cień. Nie było to jakieś żywe stworzenie z krwi i kości, lecz czarna plama, mglisty opar, potworny inkub, który mógł być płodem zamroczonego snem umysłu, gdyby nie dwa jarzące się żółtawo punkty błyszczących w mroku ślepi.

Co więcej, zjawą była obdarzona głosem — cichym, nieludzkim sykiem, bardziej przypominającym dźwięk wydawany przez żmiję niż dobywający się z ludzkich ust. Ten widok i odgłos wprawiły Jasmelę w paniczne przerażenie, tak potworne, że skręcała się i wila niczym chłostana batem, jakby poprzez ten fizyczny wysiłek chciała wyrzucić ze świadomości fakt ich istnienia.

— Jesteś mi przeznaczoną, księżniczko — mówił ze straszliwym triumfem głos. — Znalazłem cię i zapragnąłem nim jeszcze przebudziłem się z długiego snu, w jakim trzymało mnie prastare zaklęcie, dzięki któremu uszedłem wrogom. Jestem duszą Natohka! Przyjrzyj mi się dobrze, księżniczko! Wkrótce ujrzysz mnie w cielesnej postaci... i pokochasz!

Upiorny szept przeszedł w lubieżny chichot. Jasmela jęknęła i oszalała z przerażenia zaczęła bębnić piąstkami o marmurową posadzkę.

— Teraz śpię w pałacu Akbitanu — ciągnął głos. — Tam spoczywa moje ciało. Lecz to tylko pusta skorupa, z której na krótką chwilę uleciał duch. Gdybyś mogła spojrzeć z okien mojego pałacu, zrozumiałabyś daremność wszelkiego oporu. Oblana światłem księżycy pustynia jest niczym ogród, w którym kwitną róże ognisk tysięcy wojowników. Jak lawina, która nabiera siły i pędu, spadną na ziemię mych odwiecznych wrogów. Z czaszek ich królów zrobię sobie puchary, a ich dzieci i kobiety będą niewolnikami moich niewolników. Przez długie lata snu moja moc wzrosła... Ty będziesz moją królową, księżniczko! Nauczę cię starożytnej, zapomnianej sztuki rozkoszy. Będziemy...

Słuchając potoku obrzydliwych sprośności płynących z mrocznego kąta komnaty, Jasmela wiła się i skręcała jakby to uderzenia bata przecinały jej delikatne, nagie ciało.

— Pamiętaj! — szepnęła zjawa. — Nie upłynie wiele dni, a przyjdę po ciebie! Przyciskając twarz do podłogi i zatykając uszy rękami Jasmela nie była pewna, lecz zdawało jej się, że słyszy jakiś dziwny dźwięk, jak gdyby łopot skrzydeł nietoperza. Później, spojrzawszy lękliwie w górę, zobaczyła jedynie księżyc, który świecił w okno i srebrnym ostrzem swych promieni przeszywał miejsce, gdzie przed chwilą czaił się stwór. Cała drżąc, księżniczka wstała i dowlokła się do satynowego pośłania, na które osunęła się szlochając spazmatycznie. Dworki spały, lecz jedna obudziła się, ziewnęła, przeciągnęła smukłe ramiona i zamrugnęła oczami. W jednej chwili znalazła się przy pośłaniu płaczącej Jasmeli i objęła ramionami jej wiotką kibić.

— Czy to był...? — wyjąkała, szeroko otwierając przestraszone

oczy. Jasmela przywarła do niej konwulsyjnie. ,

— Och, Vateeso, znów miałam ten sen! Widziałam... widziałam to! Mówiło do mnie! Powiedziało mi swoje imię... Natohk! To Natohk! To nie był zły sen — unosiło się to nade mną, a dziewczęta spały jak zabite. Och, co mam robić?

Vateesa w zadumie obracała ciężką, złotą bransoletę na smukłym przegubie.

— O pani — rzekła — to oczywiste, że żadna ludzka siła nie może ci pomóc, a amulet, który dali ci kapłani Isztar jest bezużyteczny. Powinnaś zasięgnąć rady zapomnianej wyroczni Mitry.

Jasmela wzdrygnęła się, zapominając o niedawnym przerażeniu. Wczorajsi bogowie byli teraz demonami. Kothyjczycy już dawno przestali oddawać cześć Mitrze, zapomniawszy o tym najbardziej popularnym wśród narodów hyboriańskich bogu. Jasmela mętnie wyobrażała sobie, że skoro jego kult jest tak stary, to i sam bóg musi być straszny. Wyznawcy Isztar obawiali się swojej bogini, tak samo jak większości innych bogów kothyjskich. Kultura i religia Koth uległa wpływom shemickim i stygijskim. Proste wierzenia Hyborian w znacznym stopniu zostały zastąpione przez wyrafinowane, despotyczne i lubujące się w przepychu religie wschodu.

— Czy Mitra mi pomoże? — spytała niespokojnie Jasmela, chwytając Vateesę za rękę. — Od tak dawna oddajemy cześć Isztar...

— Na pewno pomoże! — odparła Vateesa, która była córką opbirejskiego kapłana, szukającego w Khoraji schronienia przed wrogami politycznymi. — Idź do świątyni, księżniczko! Ja pójdę z tobą.

— Zrobię tak! — Jasmela wstała, ale sprzeciwiła się, gdy dworka chciała ją ubrać. — Nie wypada, abym szła do świątyni odziana w jedwabie. Pójdę nago, na kolanach. Tak przystoi błagalnikom, inaczej Mitra uzna, że brak mi pokory.

— Nonsens! — Vateesa nie żywiła zbytniego szacunku dla obyczajów związanych z kultem Isztar, którą uważała za fałszywe bóstwo. — Mitra chce, aby ludzie stali przed nim wyprostowani, a nie pełzali na brzuchach jak robaki i przelewali krew zwierząt na

jego ołtarzach.

Tak skarcona Jasmela pozwoliła nałożyć sobie jedwabną koszulę bez rękawów, na którą naciągnęła luźną tunikę, przepasaną szeroką, atłasową szarfą. Na drobne stopki nałożyła satynowe cizemki, a Vateesa kilkoma zręcznymi ruchami różowych paluszków ułożyła jej czarne, falujące włosy. Później księżniczka poszła za dworką, która odsunęła na bok gruby, przetykany złotem gobelin i złote rygle ukrytych za nim drzwi. Przejście prowadziło do wąskiego, krętego korytarza, którym szybko przeszły do następnych drzwi i szerokiej sieni. Stał tam strażnik w pozłacanym hełmie, srebrnym napierśniku i nabijanych złotymi guzami nagolennikach. Na ramieniu trzymał ciężki topór o długim trzonku.

Jasmela gestem powstrzymała jego okrzyk zdumienia. Wartownik zaprezentował broń i nieruchomo, niczym posąg z brązu, stanął obok drzwi. Dziewczyny przeszły przez sień, której mroczne kąty daremnie próbowały rozjaśnić tkwiące w żelaznych kagańcach pochodnie. Zeszły po schodach. Jasmela z drzeniem spoglądała na cienie czające się po kątach. Trzy piętra niżej zatrzymały się przy wejściu do wąskiego korytarzyka, którego łukowaty strop był wysadzany klejnotami, podłogę stanowiły kryształowe płyty, a ściany zdobił złoty fryz.

Trzymając się za ręce poszły tym korytarzykiem i niebawem stanęły przed szerokim, pozłacanym portalem.

Vateesa pchnęła drzwi, które otworzyły się ukazując wejście do kaplicy dawno zapomnianej przez wszystkich, prócz nielicznych wyznawców Mitry i królewskich gości przybywających na dwór Khoraji, z myślą o których ją zachowano. Jasmela nigdy przedtem tam nie była, mimo że urodziła się w pałacu. Skromna i pozbawiona ozdób w porównaniu z pełnymi przepychu świątyniami Isztar, kaplica była urządzona z prostotą i godnością charakterystyczną dla kultu Mitry.

Sufit był wysoki, ale nie łukowato sklepiiony i tak samo jak ściany i podłoga, zrobiony ze zwykłego białego marmuru. Tylko cienki, złoty fryz zdobił ściany. Za ołtarzem z czystego, zielonego nefrytu, nie splamionego krwią ofiar, wznosił się piedestał, na którym znajdował się posąg wyobrażający boga. Jasmela bojaźliwie

spojrzała na potężne bary, jasną twarz o szeroko otwartych oczach, patriarchalną brodę i gęste kędziory przytrzymywane na skroniach przez wąską obręcz. Księżniczka nie zdawała sobie sprawy, że spogląda na dzieło sztuki w jej najczystszej postaci — artystyczny wyrób niezwykle subtelnej rasy, nie ograniczonej pętami konwencjonalnego symbolizmu.

Osunęła się na kolana, a później plackiem padła na podłogę, niepomna przestróg Vateesy, która na wszelki wypadek poszła w jej ślady. Na niej widok bóstwa również wywarł duże wrażenie. Dworka nie mogła się powstrzymać, by nie szepnąć księżniczce do ucha:

— To tylko symbol boga. Nikt nie wie jak Mitra wygląda naprawdę. Ten posąg przedstawia go w wyidealizowanej ludzkiej postaci, tak bliskiej doskonałości, jak człowiek może sobie wyobrazić. On nie żyje w tym zimnym kamieniu, tak jak to twierdzą kapłani Isztar o swojej bogini. Mitra jest wszędzie — nad nami i wokół nas, i śpi wiecznym snem między gwiazdami, ale widzi nas i słyszy. Zawołaj go.

— Co mam powiedzieć? — szepnęła zdrtwiała ze strachu Jasmela.

— Mitra zna twoje myśli zanim je sobie uświadomisz — zaczęła Vateesa i urwała.

Obie dziewczyny drgnęły gwałtownie słysząc głęboki, spokojny głos. Niskie, podobne do bicia dzwonu dźwięki równie dobrze mogły się wydobywać z ust posągu, co z każdego innego miejsca kaplicy. Po raz drugi tej nocy Jasmela zadrżała słysząc przemawiający do niej, bezcielesny głos, ale tym razem nie uczyniła tego ze strachu czy odrazy.

— Nic nie mów, córko — mówił głos, niczym melodyjny pomruk fal bijących rytmicznie o złote plaże. — Wiem po co przysłaś. Tylko w jeden sposób możesz ocalić swoje królestwo, a czyniąc to uratować cały świat od klów żmiji, która wypełzła z odwiecznych ciemności. Wyjdź dziś samotnie na ulice miasta i złóż los królestwa w ręce pierwszego człowieka jakiego napotkasz.

Głos umilkł i obie dziewczyny spojrzały po sobie. Później podniosły się i poszły z powrotem, nic nie mówiąc dopóki nie znalazły się w komnacie Jasmeli. Księżniczka wyrzała przez

zakratowane złotymi prętami okno. Na niebie wisiał blady księżyc. Było już dobrze po północy. W ogrodach i pałacach Khoraji umilkły odgłosy zabaw. Miasto leżało pogrążone we śnie i tylko pochodnie migotały w ogrodach, na ulicach i w oknach uszpionych domostw — zdawały się być lustrzanym odbiciem gwiazd.

— Cóż zatem zrobisz, pani? — spytała roztrzęsiona Vateesa.

— Daj mi mój płaszcz — odparła Jasmela.

— Sama na ulicach, o tej godzinie! — wykrzyknęła dworka.

— Mitra przemówił — odparła księżniczka. — Mógł to być głos boga, albo ukrytego gdzieś kapłana. Nieważne. Pójdę.

Owinąwszy się obszernym jedwabnym płaszczem i założywszy aksamitny fez, z którego spływał przejrzysty welon, przeszła szybko przez korytarze i dotarła do wrót z brązu, gdzie uzbrojeni w oszczepy strażnicy ze zdumieniem przyjęli jej pojawienie się. To skrzydło pałacu przylegało bezpośrednio do ulicy; z trzech pozostałych stron budowlę otaczały wspaniałe ogrody okolone wysokim murem. Jasmela wyszła na ulicę oświetloną blaskiem regularnie umieszczonych pochodni.

Zawahała się, lecz zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi, zanim zdążyła opuścić ją odwaga. Zadrżała lekko, widząc cichą i pustą ulicę. Jako córka arystokratycznego rodu nigdy jeszcze nie wyszła bez asysty poza mury pałacu. Zebrawszy całą odwagę, szybko ruszyła ulicą. Jej obute w satynowe ciżmy stopy cicho stąpały po trotuarze, ale nawet ten słaby dźwięk powodował, że serce podeszło jej do gardła. Zdawało jej się, że kroki rozbrzmiewają echem w wymarłym mieście, budząc obszarpane, szczurzookie postacie, kryjące się w brudnych norach ciemnych zaułków. Każdy cień wydawał się zaczajonym mordercą, każda brama kryła przemykające chyłkiem stwory ciemności.

Nagle księżniczka drgnęła gwałtownie. Przed nią, na upiornie pustej ulicy, pojawiła się jakaś postać. Jasmela natychmiast schowała się w gęstym cieniu, który teraz zdawał się niebiańskim azylem. Serce waliło jej jak młot. Nadchodzący człowiek nie skradał się jak złodziej czy wystraszony przechodzień. Kroczył ciemną ulicą niczym ktoś, kto nie ma potrzeby czy chęci ukrywać swoją obecność. Szedł swobodnie i zuchwale. Kiedy mijał kaganiec z pochodnią, Jasmela

mogła mu się przyjrzeć dokładniej: wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna w krótkiej kolczudze najemnika. Księżniczka opanowała roztrzęsione nerwy i wyskoczyła z cienia, szczelnie zakutana w obszerną opancę.

— Ha! — krzyknął nieznajomy, błyskawicznie dobywając miecza. Widząc, że ma przed sobą tylko bezbronną kobietę zatrzymał się w pół kroku, szybkim spojrzeniem omiółt ulicę, nie zdejmując dłoni z długiej rękojeści miecza wystającego spod niedbale narzuconego na ramiona, szkarłatnego płaszcza. Światło pochodni odbijało się słabo od polerowanej stali hełmu i nagolenników. Niebieskie oczy nieznajomego jarzyły się ponurym blaskiem. Już na pierwszy rzut oka Jasmela stwierdziła, że mężczyzna nie jest Kothyczykiem. Kiedy przemówił zrozumiała, że nie jest Hyborianinem. Nosił strój kapitana najemników, a w tych oddziałach można było znaleźć żołnierzy z wielu krajów, zarówno barbarzyńskich, jak i cywilizowanych. Posępne rysy zdradzały barbarzyńskie pochodzenie. Oczy cywilizowanego człowieka, choćby najbardziej dzikiego i gwałtownego, nie płonęłyby tak intensywnym blaskiem. Jego oddech był przesycony zapachem wina, ale nieznajomy nie chwiał się, ani nie jąkał.

— Wyrzucili cię na ulicę? — spytał po kothyjsku z barbarzyńskim akcentem, wyciągając rękę do dziewczyny. Jego palce zamknęły się lekko na jej smukłym ramieniu. Księżniczka czuła, że bez trudu mógłby zacisnąć je mocniej, łamiąc kości.

— Właśnie zamknęli ostatnią winiarnię... Przekleństwo Isztar niech spadnie na głowy tych tchórzliwych reformatorów, którzy to wymyślili! „Lepiej żeby ludzie spali niż się upijali” — mówią. Zapewne po to, aby mogli lepiej pracować i walczyć za swych panów! Opasłobrzuche eunuchy, nic więcej. Kiedy walczyłem jako najemnik w Korynthii, przez całą noc piliśmy i zabawialiśmy się z dziewczkami, a w dzień biliśmy się — i krew płynęła wtedy strumieniami... A co z tobą, dziewczyno? Zdejm tę przeklętą maskę...

Zwinnym ruchem księżniczka wymknęła się z jego rąk, nie chcąc go przestraszyć. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa na jakie się naraża będąc sam na sam z pijanym barbarzyńcą. Jeśli ujawni kim



jest, nieznajomy może ją wyśmiać i odejść. Nie miała też pewności czy nie poderżnie jej gardła. Barbarzyńcy robili różne dziwne i niezrozumiałe rzeczy. Stłumiła narastający lęk.

— Nie tu — zaśmiała się. — Chodź ze mną...

— Dokąd? — spytał niecierpliwie. W jego oczach pojawiła się podejrzliwość. — Chcesz mnie zwabić do jakiejś zbójckiej meliny?

— Nie, przysięgam, że nie!

Jasmela z trudem uchyliła się, unikając ręki sięgającej do woalu.

— Niech cię diabli, dziewczko! — warknął zdegustowany. — Jesteś gorsza od tych hyrkańskich kobiet z ich przekłętymi zawojami. No, niech choć zobaczę jaką masz figurę!

Zanim zdołała temu zapobiec zerwał z niej płaszcz i głośno zaklął przez zaciśnięte zęby. Stał nieruchomo, trzymając w ręku opończę dziewczyny, jakby widok bogatych szat otrzeźwił go nagle. W jego oczach pojawił się ponury błysk.

— Kim jesteś, do diabła? — mruknął. — Nie jesteś ulicznicą, chyba że twój alfons obrabował królewski seraj aby cię odziać.

— To nieważne — Jasmela odważyła się położyć białą dłoń na obleczonej w kolczugę ramieniu. — Chodź ze mną.

Zastanowił się, po czym wzruszył potężnymi ramionami. Zrozumiała, że uznał ją za bogatą szlachciankę szukającą przygód. Pozwolił jej z powrotem nałożyć płaszcz i poszedł za nią. Idąc obok, obserwowała go kątem oka. Kolczuga nie skrywała grubych węzłów mięśni nieznajomego, a każdy jego krok zdradzał kocią zwinność i pierwotną, nieposkromioną siłę. W porównaniu z dobrodusznymi dworzanami, do towarzystwa których była przyzwyczajona, wydawał się obcy jak nieprzebyta dżungla. Jasmela obawiała się go i w duchu mówiła sobie, że gardzi jego brutalną siłą, lecz mimo to czuła jakiś dziwny, niepokojący pociąg do tego barbarzyńcy. Jakby jego widok potracał jakąś ukrytą strunę jej kobiecej duszy. Wciąż czuła dotyk jego ręki na swym ramieniu i to wspomnienie powodowało dziwne drżenie. Wielu mężczyzn klękało przed Jasmela, lecz ten nie klękał przed nikim. Miała wrażenie, że prowadzi nieoswojonego tygrysa; była przerażona i zafascynowana własnym strachem.

Stanąła przed drzwiami pałacu i pchnęła je lekko. Uważnie obserwując towarzysza, nie znalazła na jego twarzy śladu niepokoju.

— Pałac, tak? — mruknął. — A więc jesteś dworką?

Jasmela stwierdziła, że poczuła dziwną zazdrość na myśl o tym, że któraś z jej dworek mogła kiedyś wprowadzać tędy takiego wojownika. Strażnicy udali, że nic nie widzą, kiedy księżniczka przechodziła obok nich z obcym mężczyzną. Barbarzyńca zerkał na nich czujnie, niczym wilk zbliżający się do obcego stada. Jasmela powiodła go wąskim korytarzem do swojej komnaty. Nieznajomy stanął w niemym podziwie patrząc na wspaniałe gobeliny, dopóki nie dostrzegł kryształowego dzban z winem, stojącego na hebanowym stoliku. Z westchnieniem ulgi podniósł go do ust, gdy z sąsiedniego pokoju przybiegła zdyszana Vateesa.

— Och, księżniczko...!

— Księżniczko!

Kryształowy dzban roztrzaskał się na podłodze. Błyskawicznym ruchem, zbyt szybkim aby pochwycić go okiem, żołnierz zerwał woal Jasmeli. Oskoczył z cichym przekleństwem, a w jego rękę błysnęło szerokie ostrze z błękitnej stali. Oczy barbarzyńcy roziskrzyły się jak ślepią schwytanego w pułapkę tygrysa. Była to chwila pełna napięcia, niczym cisza przed burzą. Oniemiała z przerażenia Vateesa osunęła się na podłogę, ale Jasmela dzielnie stawiała czoła barbarzyńcy. Wiedziała, że jej życie wisi na włosku; oszalały z wściekłości, podejrzliwy wojownik mógł w każdej chwili pozbawić ją życia, a jednak doznała dziwnej ulgi, widząc jego błyskawiczną reakcję.

— Nie obawiaj się — rzekła. — Jestem księżniczką, ale nie masz powodu do obaw.

— Po co mnie tu przyprowadziłaś? — warknął, wodząc po komnacie roziskrzonym spojrzeniem. — O co tu chodzi?

— Nic ci nie grozi — odparła. — Przywiodłam cię tutaj, ponieważ możesz mi pomóc. Zasięgnęłam rady bogów... wyroczni Mitry, i on kazał mi wyjść na ulicę i poprosić o pomoc pierwszego napotkanego człowieka.

To było coś, co potrafił zrozumieć. Barbarzyńcy też mają swoje wyrocznie. Opuścił miecz, chociaż nie schował go do pochwy.

— No, jeśli jesteś rzeczywiście Jasmelą, to naprawdę potrzebujesz pomocy — mruknął. — Twoje królestwo to galimatias. Tylko jak ja

mam ci pomóc? Oczywiście, jeżeli trzeba komuś poderżnąć gardło...

— Siadaj — nakazała. — Vateeso, przynieś mu wina.

Uśledzał jej, lecz zauważyła, że siadł plecami do ściany, tak aby widzieć całą komnatę. Obnażony miecz położył na kolanach. Księżniczka spoglądała jak zahipnotyzowana na to szerokie ostrze, w którym zdawały się odbijać zamglone sceny walk i rzezi. Wątpiła, czy byłaby w stanie podnieść ten oręż. Wiedziała, że barbarzyńca nie tylko bez trudu podniesie go jedną ręką, ale też może machać nim jak lekką trzcinką. Widziała te szerokie bary i potężnie umięśnione ramiona. Z dziwnym dreszczem wyobraziła sobie, że te silne palce mogłyby chwycić ją za włosy i...

Barbarzyńca uspokoił się gdy księżniczka usiadła naprzeciw niego, na dywanie. Zdjął z głowy hełm i położywszy go na stole, odrzucił w tył kaptur kolczugi, pozwalając opaść na plecy ciężkim fałdom. Teraz dostrzegła jego podobieństwo do hyboriańskiej rasy. Smągła, poznaczona bliznami twarz zdradzała skłonność do melancholii i choć nie było na niej śladów występku czy zła, to płonące, niebieskie oczy nadawały jego rysom posepny wyraz. Niskie, szerokie czoło okalała kruczoczarna, gęsta grzywa prosto przyciętych włosów.

— Kim jesteś? — spytała nagle księżniczka.

— Conan, kapitan najemnej piechoty — odparł, opróżniając jednym haustem puchar i napełniając go ponownie. — Urodziłem się w Cymmerii.

Ta nazwa niewiele jej mówiła. Słabo zdawała sobie sprawę, że to dzika, ponura i górzysta kraina leżąca daleko na północy, za najdalej wysuniętymi przyczółkami hyboriańskiej cywilizacji, zamieszкана przez posepnych, gwałtownych ludzi. Jeszcze nigdy nie widziała żadnego z nich.

Podpierając brodę smukłymi dłońmi, spojrzała uważnie na cudzoziemca ciemnymi oczami, które usidliły wiele męskich serc.

— Conanie z Cymmerii — rzekła — powiedziałeś, że potrzebuję pomocy. Dlaczego?

— No — odparł — to łatwo zauważyć. Oto twój brat — król, siedzi w ophirskim więzieniu; oto Koth spiskujące by podbić twój kraj; oto tajemniczy czarownik siejący w Shemie śmierć i

zniszczenie; co gorsza, coraz więcej twoich żołnierzy dezertuje. ‘

Jasmela nie odpowiedziała od razu. Tak bezpośrednie postawienie sprawy, bez ubierania jej w piękne słówka, było dla niej czymś nowym.

— A dlaczego moi żołnierze dezertują? — spytała.

— Jedni dają się przekupić Kothyjczykom — odrzekł, z upodobaniem pociągając z puchara. — Inni sądzą, że Khoraja jako niepodległe państwo jest skazana na zagładę. Wielu przstraszyło się pogłosek o zbliżaniu się tego psa Natohka.

— Czy najemnicy pozostaną mi wierni? — zapytała z niepokojem.

— Tak długo, jak długo będziesz płacić — odparł uczciwie. — Twoja polityka nic nas nie obchodzi. Możesz ufać Amalrykowi, naszemu generałowi, ale reszta to zwykli żołnierze, którzy lubią pieniądze. Ludzie mówią, że jeśli zapłacisz okup jakiego żąda Ophir, to nie będziesz miała z czego płacić żołdu. W takim wypadku możemy przejść na służbę króla Koth, chociaż osobiście nie przepadam za tym starym sknerą. Może splądrujemy stolicę. Podczas wojny domowej zawsze znajdzie się jakiś łup.

— Czemu nie przejdziecie do Natohka? — dopytywała się.

— A czym on mógłby nam zapłacić? — parsknął Conan. — Opasłobrzuchymi bożkami ze spiżu, które zagarnął w shemickich miasteczkach? O ile chodzi o walkę z Natohkiem, to możesz nam ufać.

— Czy twoi towarzysze pójdą za tobą? — spytała niespodzianie księżniczka.

— Co masz na myśli?

— Myślę zrobić cię dowódcą wszystkich wojsk Khoraji! — odparła z namysłem.

Cymmerianin znieruchomiał z pucharem przytkniętym do rozciągniętych w szerokim uśmiechu ust. W jego oczach błysnęły dziwne ogniki.

— Dowódcą? Na Croma! Tylko co powiedzą twoi wyperfumowani notable?

— Usłuchają! — Jasmela klasnęła w dłonie przywołując niewolnika, który wszedł gnąc się w ukłonach. — Natychmiast

sprowadź mi księcia Thespidesa, doradcę Taurusa, lorda Amalryka i agę Shuprasa.

— Wierzę Mitrze — powiedziała, mierząc spojrzeniem Cymmerianina, który łapczywie pochłaniał mięsiwo postawione przed nim przez dygoczącą Vateesę. — Byłeś na wielu wojnach?

— Urodziłem się na polu bitwy — odrzekł, odgryzając solidny kęs białymi zębami. — Pierwszymi dźwiękami, jakie usłyszałem były wrzaski mordowanych i szcęk mieczów. Walczyłem w górach i na równinach, w lasach i na piaskach pustyni...

— Ale czy potrafisz poprowadzić armie i kierować bitwą?

— No, mogę spróbować — odparł z niezmaconym spokojem. — To prawie tak samo jak walka na miecze, tyle że na większą skalę. Przełamać gardę, a później rąbać i ciąć! Albo on, albo ty!

Niewolnik wrócił, zapowiadając przybycie ludzi, po których go wysłano i Jasmela przeszła do sąsiedniej komnaty, zaciągając za sobą aksamitną zasłonę. Notable ukłękli, wyraźnie zdziwieni wezwaniem o tak późnej porze.

— Wezwałam was, żeby oznajmić wam swoją decyzję — rzekła księżniczka. — Królestwo jest zagrożone...

— Racja, moja pani — odezwał się książę Thespides, wysoki mężczyzna o trefionych i pachnących lokach. Jedną białą dłonią gładził wypielęgowany wąs, a w drugiej trzymał aksamitny kapelusz z karmazynowym piórem przypiętym złotą zapinką. Nosił satynowe ciżmy o sterczących noskach i kubrak z szamerowanego złotem aksamitu. Zachowywał się nieco afektownie, ale pod jedwabnymi szatami kryły się stalowe mięśnie.

— Dobrze, że zgadzasz się zaproponować Ophirowi większy okup za uwolnienie twego brata, pani — rzekł.

— Całkowicie się z tym nie zgadzam — przerwał mu Taurus, starszy wiekiem doradca w lamowanej gronostajami todze i z twarzą poznaczoną bruzdami trosk, jakich nie brakło mu podczas długich lat służby na dworze. — Zaproponowaliśmy im tyle, że po zapłaceniu okupu królestwo będzie zupełnie ogołocone. Jeśli teraz proponujemy więcej, to tylko jeszcze bardziej rozpalimy chciwość Ophiru. Moja księżniczko, powtarzam to, co mówiłem wcześniej: Ophir nic nie uczyni dopóki nie dojdzie do konfrontacji z hordą

Natohka. Jeśli przegramy, wyda króla Khossusa Kothyjczykom; jeżeli zwyciężymy, bez wątpienia uwolni go po uzyskaniu okupu.

— A tymczasem — przerwał Amalryk — codziennie dezerterują żołnierze królewskich wojsk, a najemnicy niecierpliwą się, nie wiedząc dlaczego zwlekamy z wymarszem.

Dowódca najemników był Nemedianinem, potężnie zbudowanym mężczyzną o lwiej grzywie żółtych włosów.

— Jeżeli mamy coś zrobić, musimy się spieszyć...

— Jutro pomaszerujemy na południe — odparła Jasmela. — A oto człowiek, który poprowadzi nasze wojska!

Szarpięciem odsunęła aksamitną zasłonę i dramatycznym gestem wskazała Cymmerianina. Chyba nie był to najszczęśliwszy moment na dokonanie prezentacji. Wygodnie rozparty w fotelu Conan trzymał nogi na hebanowym stole, pochłonięty ogryzaniem sporego, trzymanego oburącz wołowego udźca. Zerknął obojętnie na oniemiałych dworaków i z nieukrywaniem zapalem obżerał się dalej.

— Chronń nas Mitro! — wybuchnął Amalryk. — To Conan Barbarzyńca, najgorszy z moich zbójów. Dawno bym go powiesił, gdyby nie był najlepszym żołnierzem jaki kiedykolwiek nosił kolczugę...

— Wasza Wysokość raczy żartować! — krzyknął Thespides, a jego arystokratyczna twarz pociemniała z gniewu. — Ten człowiek to dzikus beż kultury i wykształcenia! To hańba dla szlachcica służyć pod jego komendą! Ja...

— Książę — rzekła Jasmela — nosisz moją rękawiczkę na piersi. Oddaj mi ją i idź.

— Iść? — wykrzyknął ze zdumieniem. — Dokąd?

— Do Koth lub do diabła! — odparła. — Jeżeli nie chcesz mi służyć tak jak chcę, nie będziesz mi służył wcale.

— Księżniczko, źle mnie zrozumiałaś — odparł z ukłonem, głęboko dotknięty. — Nie opuszczę cię. Dla ciebie, pani, jestem gotów nawet oddać mój miecz na rozkazy tego dzikusa.

— A ty, mój lordzie?

Amalryk zaklął pod nosem, po czym uśmiechnął się. Jako prawdziwy poszukiwacz szczęścia nie dziwił się żadnym kaprysom fortuny, nawet najdziwniejszym.

— Będę służył pod jego komendą. Zawsze to mówię: żyć krótko, ale wesoło, a z Conanem Podrzynaczem Gardel jako dowódcą, i jedno, i drugie mamy zapewnione. Mitro! Jeżeli ten łobuz kiedykolwiek dowodził czymś większym od kompanii, to zjem własną zbroję!

— A ty, ago? — księżniczka zwróciła się do Shugrasa.

Ten z rezygnacją wzruszył ramionami. Był typowym przedstawicielem ludu żyjącego przy południowej granicy Koth — wysokim i chudym, o orlej twarzy, której rysy były ostrzejsze od twarzy żyjących na pustyni pobratymców.

— Wola Isztar, księżniczko — rzekł z wrodzonym fatalizmem.

— Zaczekajcie — poleciła im Jasmela, znikając za kotarą i kłaśnięciem przywołując niewolników. Thespides ze złością miętosił swoje nakrycie głowy, Taurus mrucał coś cicho pod nosem, a Amalryk przechadzał się tam i z powrotem, szarpiąc żółtą brodę i szczerząc zęby jak wygłodniały lew.

Niewolnicy przynieśli zbroję i zdjawszy stalową kolczugę Conan założył hełm, kołnierz, napierśnik, naramienniki i całą resztę. Kiedy Jasmela znów odsunęła kotarę oczom zebranych ukazała się zakuta w stal postać. Podniesiona przyłbica odślaniała smagłą twarz ocienioną czubem pawich piór. Barbarzyńca wyglądał w tym stroju naprawdę imponująco, co nawet Thespides musiał niechętnie przyznać. Niedokończony żart zamarł na ustach Amalryka.

— Na Mitrę — rzekł wreszcie. — Nigdy nie spodziewałem się ujrzeć cię w pełnej zbroi, Conanie, ale nie masz się czego wstydzić! Klnę się na moje kości, że widziałem królów, którzy nosili swoje szaty z mniejszą godnością!

Conan milczał. Jakaś niewyraźna myśl przyszła mu do głowy, jakby jakieś niejasne przeczucie. Po latach często przypominał sobie słowa Amalryka, kiedy marzenie stało się już rzeczywistością.

### 3.

Wczesnym rankiem ulice Khoraji zaroily się od ludzi, którzy przyszedli popatrzeć na wojska wymaszerowujące przez południową bramę. Wreszcie armia wyruszała w pole. Jechali rycerze w bogato zdobionych, błyszczących zbrojach z falującymi pióropuszcami wieńczącymi oksydowane hełmy. Ich przystrojone w jedwabie, lakierowaną skórę i złotą uprząż rumaki kroczyły dumnie, niosąc swych panów. Promienie rannego słońca lśniły na ostrzach lanc wznoszących się niczym las nad kolumnami jeźdźców, a ich proporczyki powiewały wesoło na wietrze. Każdy rycerz niósł dar damy swego serca: rękawiczkę, szarfę lub różę przyczepioną do hełmu lub pasa. Był to kwiat rycerstwa Khoraji, pięciuset mężów dowodzonych przez księcia Thespidesa, który, jak mówiono, ubiegał się o rękę księżniczki Jasmeli.

Za nimi ciągnęła lekka jazda, składająca się z typowych górali, chudych mężczyzn o ostrych rysach. Na głowach nosili żelazne hełmy, a spod powiewnych kaftanów błyskały im stalowe kolczugi. Jechali na smukłych, górskich konikach, a ich główną bronią były straszliwe shemickie łuki, z których można wypuścić strzałę na pięćset kroków. Tych jeźdźców było prawie pięć tysięcy, a dowodził nimi ponury Shupras.

Dalej maszerowali oszczepnicy, nieliczni, jak w każdym państwie hyboriańskim, ponieważ tylko służbę w kawalerii uważano za zaszczytną. Oszczepnicy, podobnie jak rycerze, byli potomkami starych, kothyjskich rodów — zrujnowani młodzieńcy bez grosza, których nie stać było na kupno zbroi i konia. Ten oddział liczył pięciuset ludzi.

Pochód zamykali najemnicy: tysiąc jeźdźców i dwa tysiące oszczepników. Olbrzymie konie wydawały się równie dzikie jak ich jeźdźcy; kroczyły majestatycznie, bez płasów czy podskoków. Jeźdźcy — zawodowi zabójcy, weterani wielu wojen — roztaczali wokół siebie ponurą atmosferę śmierci i grozy. Ich tarcze były pozbawione ozdób, a długie lance nie miały proporców. Od stóp do głów okrywały ich stalowe kolczugi; głowy chroniły stalowe hełmy. Każdy miał zawieszony na łąku siodła topór lub maczugę i długi,



prosty miecz u pasa. Oszczepnicy byli uzbrojeni podobnie, tylko zamiast lanc mieli krótkie piki.

Najemnicy stanowili mieszaninę różnych narodowości. Rośli Hyperborejczycy, chudzi i grubokościści, o gwałtownym temperamencie i ciężkiej wymowie; jasnowłosi Gundermani ze wzgórz na pomocnym zachodzie; chełpliwi renegaci z Korynthii; smagli Zamoranie, zdrażliwi i czarnowłosi, Aquilończycy z dalekiego zachodu. Jednak oprócz Zingarańczyków, wszyscy byli Hyborianami.

Na samym końcu kroczył bogato przybrany wielbłąd poprowadzony przez rycerza na wielkim ogierze i eskortowany przez oddział doborowych wojowników. W umocowanym na grzbiecie palankinie niósł smukłą, odzianą w jedwabie postać, na widok której oddani królewskiej rodzinie mieszkańcy miasta podrzucili w powietrze nakrycia głowy i wzniesli gromki okrzyk.

Conan Cymmerianin, czując się dość nieswojo w pełnej zbroi, z dezaprobatą spojrzął na palankin i rzekł do jadącego obok Amalryka, który wyglądał naprawdę imponująco w połacanej kolczudze, złotym napierśniku i hełmie ozdobionym grzywą z końskiego włosa.

— Księżniczka jedzie z nami. Jest zwinna, ale zbyt delikatna do wojaczki. Będzie musiała pozbyć się tych powiewnych szat.

Amalryk podkręcił wąsa, aby ukryć uśmiech. Najwidoczniej Conan spodziewał się, że Jasmela zamierza przypasać miecz i wziąć udział w prawdziwej bitwie, tak jak to często praktykują kobiety barbarzyńców.

— Niewiasty hyboriańskie nie walczą tak jak kobiety Cymmerian — rzekł. — Jasmela jedzie z nami, aby obserwować bitwę. Ponadto — dodał, poprawiając się w siodle i zniżając głos — między nami mówiąc, wydaje mi się, że księżniczka boi się zostać w mieście. Obawia się czegoś...

— Buntu? Może trzeba było przed wymarszem powiesić kilku krzykaczy...

— Nie. Jedna z jej dworek mówiła... plotła, że coś zjawiało się nocą w pałacu i doprowadzało Jasmelę niemal do utraty zmysłów. Niewątpliwie to jakieś diabelskie sztuczki Natohka. Conanie, nie walczymy tylko ze zwyczajnym przeciwnikiem.

— No — mruknął barbarzyńca — lepiej wyjść przeciwnikowi na spotkanie niż czekać.

Spojrzał na długi rząd jeźdźców i wozów, zebrał wodze w obleczonej w stal dłoni i machinalnie rzucił zwyczajowe powiedzenie najemników:

— Zguba czy łup, kamraci — marsz!

Brama Khoraji zamknęła się za długimi kolumnami wojsk, a na blankach pojawiły się głowy ciekawskich. Mieszkańcy miasta dobrze wiedzieli, że od maszerującej armii zależy ich los. Jeżeli oddziały poniosą klęskę, karty przyszłej historii Khoraji zostaną zapisane krwią. Hordy nadciągające z południa nie wiedziały co to litość.

Wojska maszerowały przez cały dzień, przez trawiaste łąki przecinane wąskimi rzeczkami, stopniowo wznoszące się ku górze. Przed nimi ciągnęło się pasmo niskich wzgórz, nieprzerwaną linią sięgających ze wschodu na zachód. Tej nocy rozbili obóz na północnych stokach. Dzikoocy górale o haczykowatych nosach tuzinami przybywali by siadać przy ogniskach i powtarzać wieści nadchodzące z głębi pustyni. W tych opowiadaniach imię Natohka przewijało się niczym żmija pełzająca wśród poszycia. Na jego żądanie demony powietrza sprowadzały gromy, wichry i burze, a bestie podziemi wstrząsały rykiem ziemią. On zsyłał z nieba ogień pożerający bramy warownych miast i spalający ludzi. Jego wojownicy byli liczniejsi niż ziarna piasku, a wspierało ich pięć tysięcy zbrojnych Stygijczyków w wojennych rydwanach, dowodzonych przez zbuntowanego księcia Kutamuna.

Conan przysłuchiwał się temu obojętnie. Wojna była jego rzemiosłem, a życie nieustającą walką lub serią walk. Od urodzenia śmierć była jego nieodłącznym kompanem. Kroczyła niestrudzenie u jego boku, zaglądała mu przez ramię przy stole do gry, jej kościste palce podawały mu puchary z winem. Stała przy nim jak zakapturzony i potworny cień, kiedy kładł się spać. Nie zważał na jej obecność, tak samo jak król nie zauważa obecności podczaszego. Pewnego dnia poczuje chwyt jej kościstych palców na gardle. To wszystko. Jednak na razie żyje jeszcze. Inni byli bardziej podatni na lęk. Obchodząc linię wart Conan zatrzymał się, gdy wyrosła przed nim drobna, owinięta w luźną opończę postać.

— Księżniczko! Powinnaś być w swoim namiocie!

— Nie mogłam zasnąć — w jej czarnych oczach pojawił się lęk.

— Boję się, Conanie.

— Czyżbyś obawiała się kogoś z nas? — spytał, chwytając za miecz.

— Nie — odparła z drżeniem. — Conanie, czy ty się niczego nie lękasz?

— Hm — zastanowił się. — Owszem, boję się przekleństwa bogów. Jasmela znowu zadrżała.

— Chyba na mnie spadła taka klątwa. Upodobała mnie sobie koszmarna zjawa. Noc w noc pojawia się przy moim łożu, szepcząc do ucha okropne rzeczy. Chce, abym królowała u jej boku. Boję się zasnąć... Boję się, że znów przyjdzie do mego namiotu, tak samo jak przychodziła do mojej komnaty w pałacu. Conanie, jesteś taki dzielny... zostań przy mnie! Boję się!

Na chwilę przestała być księżniczką, a stała się tylko wystraszoną dziewczyną. Jej duma zniknęła bez śladu pod wpływem okropnego strachu, który kazał jej szukać oparcia u tego, kto wydawał się najsilniejszy. Brutalna siła barbarzyńcy, przedtem odpychająca, teraz pociągała ją.

W odpowiedzi Cymmerianin zdjął swój szkarłatny płaszcz i owinał nim dziewczynę. Zrobił to gwałtownym ruchem, jakby obce mu były jakiegokolwiek delikatne uczucia. Żelazna dłoń na moment spoczęła na ramieniu Jasmeli, która znów zadrżała — tym razem nie ze strachu. Dotknięcie jego palców wywoływało jakiś dziwny dreszcz, jakby w ten sposób barbarzyńca przekazał jej odrobinę swej niespożytej siły i witalności.

— Połóż się tutaj — rzekł, wskazując wolne od kamieni miejsce przy ognisku. Conan zdawał się nie widzieć nic zdrożnego w tym, że księżniczka ma leżeć na gołej ziemi, owinięta w żołnierski płaszcz. Ona usłuchała go. Usadowił się w pobliżu, kładąc na kolanach obnażony miecz. Jego stalowa zbroja lśniła w blasku ogniska, przez co Cymmerianin wyglądał jak granitowy posąg uosabiający pierwotną siłę: nie statyczną, lecz znieruchomiałą na moment w oczekiwaniu na sygnał do natarcia. W migotliwym świetle jego twarz zdawała się być wykuta z czarnego granitu, twardszego niż stal. W

tych zastygłych rysach tylko jasno płonące oczy żyły własnym życiem. Cymmerianin nie tylko mieszkał w dziczy; był jej częścią, stanowiąc jedność z niepokromionymi siłami natury. W jego żyłach płynęła wilcza krew, pamięć zachowywała wspomnienie północnych pustkowi, a serce pulsowało pieśnią obozowych ognisk.

Pogrążona w myślach i marzeniach Jasmela niepostrzeżenie zapadła w sen, w cudownym poczuciu bezpieczeństwa. Nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego, ale była pewna, że tej nocy płomienooki cień nie pojawi się przy jej posłaniu.

Obudził ją cichy pomruk ściszonych głosów. Otworzywszy oczy zobaczyła, że ognisko już dogasa. Nadchodził świt. Conan wciąż siedział na pobliskim głazie — dostrzegła metaliczny błysk długiego ostrza. Obok barbarzyńcy przykucnął jakiś człowiek. W słabym świetle dogasającego ogniska zasnana księżniczka ujrzała haczykowaty nos, czarne paciorki błyszczących oczu i biały turban. Mężczyzna mówił szybko po shemicku, tak że z trudem mogła go zrozumieć.

— Niech Bel pokręci mi palce! Mówię prawdę! Na Derketo, Conanie, jestem księciem łgarzy, ale nie kłamię przed starym druhem. Przysięgam na pamięć dni, które spędziliśmy razem jako złodzieje w Zamorze, zanim jeszcze założyłeś kolczugę! Widziałem Natohka! Razem z innymi klęczałem przed nim, gdy wznosił modły do Seta. Jednak nie wetknąłem nosa w piach, tak jak inni. Jestem złodziejem z Shumiru i wzrok mam lepszy niż kuna. Spojrzałem uważnie i widziałem, jak w pewnej chwili wiatr szarpnął jego zawój. Na moment ukazała się jego twarz i zobaczyłem... zobaczyłem... Na Bela, Conanie, mówię ci — widziałem! Krew zastygła mi w żyłach i włosy na głowie stanęły dęba. Ten widok zgnął mnie jak rozżarzone żelazo. Nie zasnąłbym spokoju gdybym się nie upewnił. Udałem się więc do Kutchemesu. Drzwi kopuły ze słoniowej kości stały otworem, a w korytarzu leżała ogromna żmija przebita mieczem. W środku znalazłem zwłoki mężczyzny, tak skurczone i powykręcane, że z początku nie mogłem go poznać... ale to był Shevatas, złodziej. Jedyne złodziej na świecie, którego uważałem za lepszego ode mnie. Skarb był nietknięty, wokół trupa leżały sterty kosztowności. Nic więcej.

— Nie było kości...? — zaczął Conan.

— Nie było niczego! — przerwał mu gwałtownie Shemita. — Niczego! Tylko ten jeden trup!

Zapadło głębokie milczenie. Zupełnie już rozbudzona Jasmela dygotała z przerażenia.

— Skąd przybył Natohk? — usłyszała przenikliwy szept Shemity. — Z pustyni. Przybył nocą, gdy ciemności okryły świat, a między gwiazdami pędziły czarne obłoki gnane wiatrem, którego wycie mieszało się z zawodzeniem upiorów pustkowia. Tej nocy wampiry krążyły po świecie, wiedźmy jeździły nago na miotłach, a w mroku rozchodziło się wycie wilkołaków. Przyjechał na czarnym wielbłądzie, pędząc jak wichra, a otaczała go niebieskawa poświata, a ślady wielbłądzich kopyt płonęły na piasku niczym ogień. Kiedy zsiadł przy świątyni Seta w oazie Aphaka, jego wierzchowiec skoczył w noc i zniknął. Rozmawiałem z ludźmi, którzy przysięgali, że zaraz rozwinął olbrzymie skrzydła i pomknął między chmury, zostawiając za sobą ognisty ślad. Nikt więcej nie widział tego potwora, ale do namiotu Natohka co noc zakrada się jakiś czarny, bezkształtny stwór i długo bełkocze w ciemnościach. Mówię ci, Conanie, że Natohk to... Czeka, pokażę ci co zobaczyłem tego dnia pod Shushanem, kiedy wiatr odchylił mu zawój!

W ręce Shemity coś żółto błysnęło i obaj mężczyźni nachylili się, żeby lepiej widzieć. Jasmela usłyszała jeszcze zduszony okrzyk Cymmerianina i nagle wszystko zawirowało jej przed oczyma. Po raz pierwszy w życiu zemdląca.

#### 4.

Rozjaśniające się od wschodu niebo dopiero zapowiadało nadchodzący świt, gdy armia podjęła marsz. Kilku górali przygalopowało do obozu na słaniających się koniach, przynosząc wieść, że pustynne hordy obozują przy studni Altaku. Oddziały khorajskie ruszyły spieszenie przez wzgórza, zostawiając w tyle tabory. Jasmela jechała z żołnierzami — w jej oczach czaił się lęk. Istotnie wzrósł on od chwili, gdy ujrzała monetę, którą Shemita pokazywał Conanowi — jeden z sekretnie wytapianych symboli zwyrodniałego kultu Zugit, ukazujący twarz człowieka martwego od trzech tysięcy lat.

Droga wiała się między poszarpanymi turniami i stromymi ścianami wąskich dolin. Od czasu do czasu napotykali wioski — chatynki z kamieni pozlepianych błotem. Górale przyłączali się tłumnie do maszerujących wojsk, dzięki czemu zanim armia przeszła przez wzgórza, jej szeregi wzrosły o prawie trzy tysiące łuczników.

W końcu wydostali się na równinę, skąd roztaczał się zapierający dech w piersi widok. Na południu wzgórze urywały się nagle, tworząc wyraźną barierę między kothyjskimi wyżynami a pustynią na południu. Ciągłe się niemal nieprzerwaną linią wzniesienia, zamykały wyżynę szerokim łukiem. Były nagie i puste. Zamieszkiwał je jedynie klan Zaheemi, którego obowiązkiem było strzec podążających tędy podróżnych. Za wzgórzami rozpościerała się rozprężona pustynia. Daleko za horyzontem znajdowała się oaza Altaku, gdzie koczowała horda Natohka.

Żołnierze khorajscy znaleźli się na Przełęczy Shamla. Tędy płynął strumień towarów z pomocy na południe, tędy też ciągnęły armie Koth, Khoraji, Shemu, Turanu i Stygii. W miejscu tym długiemu łańcuchowi wzgórz brakowało jednego ogniwa. Z prawej i lewej strony w pustynię wybiegały rzędy niskich pagórków, których pomocne ściany tworzyły poszarpane urwiska. Tylko jeden wzgórek miał łagodne zbocza — tamtędy wiodła droga. Wyglądem przypominało to wielką dłoń wyciągniętą ku pustyni; dwa rozchylone palce tworzyły zwiężającą się dolinę, w której znajdowała się studnia otoczona kręgiem kamiennych wież zamieszkałych przez

Zaheemisów. Tam Conan zatrzymał się i zeskoczył z konia. Zdążył już zamienić ciężką zbroję na kolczugę, w której czuł się znacznie bardziej swojsko.

Thespides ściągnął wodze.

— Czemu się zatrzymałeś? — zapytał.

— Tu na nich zaczekamy — odparł Cymmerianin.

— Bardziej po rycersku byłoby potykać się w szczerym polu — warknął książę.

— Mają zbyt wielką przewagę liczebną — odparł barbarzyńca — a ponadto nie ma tam wody. Rozbijemy obóz na wyżynie i...

— Ja i moi rycerze będziemy obozować w dolinie — uciął ze złością Thespides. — Jesteśmy przednią strażą armii i nie obawiamy się nędznego, pustynnego robactwa.

Conan wzruszył ramionami — rozgniewany szlachcic odjechał. Amalryk przerwał na chwilę wydawanie rozkazów i spojrzał w ślad za zjeżdżającym po zbocz oddziałem.

— Głupcy! Wkrótce skończy im się woda w bukłakach i będą musieli znów wjechać na górę, żeby napoić wierzchowce.

— Niech robią co chcą — odrzekł Conan. — Trudno im pogodzić się z myślą, że jestem dowódcą armii. Powiedz swoim psubratom, żeby zdjęli zbroje i odpoczęli. Długo maszerowaliśmy. Trzeba napoić konie i nakarmić ludzi.

Nie było potrzeby wysłać zwiadowców. Z góry wszystko było widać jak na dłoni. Rozpościerająca się przed nimi pustynia była pozbawiona jakichkolwiek śladów życia. Daleko na horyzoncie przesuwwały się szybko gęste kłęby nisko wiszących chmur. Monotonię tego widoku zakłócał jedynie wznoszący się o kilka mil dalej las ruin — pozostałości jakiejś stygijskiej świątyni. Conan kazał łucznikom zejść z koni i zająć pozycje na górującej nad doliną grani, podczas gdy najemnicy i oszczepnicy khorajscy rozlokowali się przy studni. Za nimi, w miejscu gdzie droga wychodziła na płaskowyż, rozbito namiot Jasmeli.

Nie dostrzegając nigdzie wroga, żołnierze poczuli się rażniej. Zdjęli lekkie hełmy, odrzucili na plecy kaptury kolczug i rozluźnili pasy. Wojownicy zabrali się za ogryzanie wołowych kości i opróżnianie dzbanów z piwskim. W powietrzu zaczęły przelatywać

rubaszne żarty. Na stokach rozłożyli się wygodnie górale, gryząc daktyle i oliwki. Amalryk podszedł do głazu, na którym odpoczywał Cymmerianin.

— Conanie, czy słyszałeś co wojownicy mówią o Natohku? Mówią... Na Mitrę, to zbyt nieprawdopodobne, aby to powtórzyć. Co o tym sądzisz?

— Nasiona mogą spoczywać w ziemi całe wieki i nie gniją — odparł barbarzyńca — ale Natohk z pewnością jest człowiekiem...

— Nie jestem tego pewny — mruknął Amalryk. — W każdym razie rozstawiłeś swoje oddziały jak doświadczony generał. Demony Natohka nie zaskoczą nas. Mitro, co to za mgła?

— Z początku myślałem, że to chmury — rzekł barbarzyńca. — Spójrz, jak szybko się zbliża!

Gęsty tuman mgły przesunął się na pomoc niczym wielki, falujący ocean zakrywający pustynię przed oczyma patrzących. Niebawem opar wchłonął ruiny stygijskiej świątyni i toczył się dalej. Wojsko khorajskie spoglądało na to ze zdumieniem. Zjawisko było niezwykle — nienaturalne i niewytłumaczalne.

— Nie ma sensu wysyłać zwiadowców — rzekł z niechęcią Amalryk. — Niczego nie zobaczą. Mgła rozpościera się od grani do grani. Niedługo zakryje całą przełęcz i wzgórze...

Conan, który ze wzrastającym niepokojem przyglądał się nadciągającym oparom, schylił się nagle i przyłożył ucho do ziemi. Klnąc, wyprostował się i krzyknął:

— To konie i rydwany! Ziemia dudni pod tysiącami kopyt! Hej tam! — zagrzniał, podrywając leżących. — Do broni, leniwa bando! Stań w szyku!

Żołnierze pospiesznie zwarli szeregi, nakładając hełmy i podnosząc tarcze. Mgła rozeszła się nagle. Nie opadła i nie rozwiła się jak zwykle — po prostu zniknęła niczym zdmuchnięty płomień. W jednej chwili całą pustynię zakrywały gęste kłęby, piętrzące się i nieprzeniknione, w drugiej na bezchmurnym niebie świeciło oślepiające słońce, ukazując pustynię już nie nagą, lecz zatłoczoną tysiącami wojowników i setkami rydwanów. Bojowy okrzyk wstrząsnął górami.

W pierwszej chwili zdumionym żołnierzom wydawało się, że



patrzą na falujące, skrzące się morze spiżu i złota, w którym stalowe ostrza lśnią jak gwiazdy na bezchmurnym niebie.

Mgła rozeszła się odsłaniając nadciągające wojska Natohka.

Na przedzie jechał długi szereg rydwanów, ciągniętych przez olbrzymie, dzikie konie stygijskie, których łby przystrojone były pióropuszcami. Półnaczy woźnice z trudem panowali nad rżącymi i parszczącymi bestiami. Jadący w rydwanach wojownicy byli muskularni i wysocy. W rękach dzierżyli ciężkie łuki. Nie była to jakaś zbieranina, lecz doborowe oddziały wojowników nawykłych do łowów i wojen, potrafiących jedną strzałą położyć lwa.

Za nimi rozlewał się pstrokaty tłum jeźdźców na półdzikich koniach. To wojownicy z Kush, największego z czarnych królestw leżących za sawannami, na południe od Stygii. Czarni jak heban, zwinni i smukli, jechali na oklep bez siodła i uzd. Dalej ciągnęli, tysiące za tysiącami, waleczni synowie Shemu — jeźdźcy w łuskowych pancerzach i stożkowatych hełmach, asshuri z Nippru, Shumiru, Eruk i ich siostrzanych miast, odziani w białe szaty nomadowie pustynnych klanów.

Nagle ich szeregi skłębity się i zwichrzyły. Rydwany zjechały na skrzydło, podczas gdy główne siły niepewnie posuwały się naprzód. Rycerze Thespidesa skoczyli na koń, a on sam przygalopował wprost do Conana. Nie raczył nawet zsiąść z wierzchowca, lecz z siodła rzucił kilka urwanych zdań.

— Opadnięcie mgły zaskoczyło ich! Teraz jest odpowiednia chwila do ataku! Kushici nie mają łuków i tylko zwalniają ich marsz. Szarża moich rycerzy zepchnie ich na szeregi Shemitów i pomiesza im szyki. Ruszaj za mną! Wygramy tę bitwę jednym uderzeniem!

Conan potrząsnął głową.

— Zgodziłbym się na to, gdybyśmy walczyli ze zwykłym przeciwnikiem. Jednak to zamieszanie jest raczej pozorowane, jakby chcieli nas sprowokować do szarży. Obawiam się podstęp.

— A więc odmawiasz? — krzyknął Thespides, a jego twarz pociemniała od gniewu.

— Bądź rozsądny — perswadował Cymmerianin. — Mamy przewagę pozycyjną...

Jednak Thespides już nie słuchał. Okręcił konia i pognał z

powrotem w dolinę, gdzie czekali jego rycerze. Amalryk pokiwał głową.

— Nie powinieneś być pozwolić mu wrócić, Conanie. Ja... Spójrz tylko! Conan popatrzył w dół i zaklął. Thespides podjechał do swego oddziału

i stanął przed frontem żołnierzy. Nie było słychać co mówił, ale jego gest w kierunku nadsięgającej hordy nie pozostawiał wątpliwości. W następnej chwili pięćset lanc pochyliło się i zakuty w stal oddział runął na wroga.

Z namiotu Jasmeli przybiegł młody paź, wołając do Conana dźwięcznym głosem:

— Panie mój, księżniczka pyta dlaczego nie wesprzesz księcia Thespidesa?

— Ponieważ nie jestem takim głupcem jak on — mruknął Cymmerianin z powrotem siadając na głazie i zabierając się za ogryzanie olbrzymiego wołowego udźca.

— Władza wymaga rozsądku — przypomniał znane porzekadło Amalryk. — Dawniej zdradzałeś szczególne upodobanie do takich szaleństw.

— Tak, ale wtedy chodziło tylko o moje życie — odparł Conan — a teraz... Cóż to, do diabła?

Horda zatrzymała się nagle. Ze skrzydła nadsięgał czarny rydwan. Półnagi woźnica smagał konie długim batem, a za nim stała wysoka postać w długiej szacie, upiornie powiewającej na wietrze. Człowiek ten trzymał w rękach złoty dzban, z którego płynął cienki, skrzący się w słońcu strumyk. Rydwan przejechał przed frontem wojowników, zostawiając za sobą wyżłobione kołami koleiny i długą, cienką linię czegoś błyszczącego na piasku, niczym fosforyzujący ślad żmiji.

— To Natohk! — zawołał Amalryk. — Cóż za piekielne ziarno sieje ten łajdak?

Szarżujący rycerze nie wstrzymali pędzących koni. Jeszcze pięćdziesiąt kroków i uderzyliby w nierówne szeregi Kushitów, stojących bez ruchu z nastawionymi dzidami. Wtedy jednak jadący na czele jeźdźcy dotarli do cienkiej, błyszczącej na piasku linii. Stalowe podkowy rumaków stratowały ją i — tak jak krzemień

uderzony żelazem daje iskry, tak złota linia rozbłysła ogniem. Po pustyni przetoczył się głuchy huk, zdający się przelatywać wzdłuż szeregu jeźdźców razem z kłębem białego dymu.

W jednej chwili pierwsze szeregi rycerzy spowiły płomienie; jeźdźcy i ich wierzchowce stopili się w nich jak ropy w palenisku. Tylne szeregi wpadły na ich zwęglone ciała, powiększając zamieszanie. Nie mogąc zatrzymać rozpedzonych koni uderzali w piętrzący się wał trupów. Atak zamienił się w druzgocącą kłęskę; zakuci w stal rycerze ginęli razem ze swymi wierzchowcami.

Porzucając pozory zamieszania horda wyrównała szyki. Dzicy Kushici doskakiwali do kłębowiska dobijając rannych, rozbijając żelazne hełmy maczugami i toporami. Wszystko skończyło się tak szybko, że spoglądający ze stoków żołnierze khorajscy przecierali oczy ze zdumienia. Oddziały wroga znów ruszyły naprzód, rozstępując się na boki aby ominąć sterty zwęglonych ciał. Wśród patrzących na to ze wzgórz żołnierzy podniósł się trwożliwy krzyk:

— To nie ludzie, to demony!

Jeden z górali tocząc pianę z ust rzucił się do ucieczki.

— Uciekajmy, uciekajmy! — jęczał. — Któż się oprze czarom Natohka!

Conan warknął coś wściekle i zeskoczywszy z głazu rąbnął go ogryzionym udźcem. Wojownik padł jak rażony gromem i krew pociekła mu z nosa i ust. Cymmerianin wydobył miecz. W oczach zabłyśły mu groźne ogniki.

— Na miejsca! — wrzasnął. — Pierwszemu, który opuści szeregi utnę głowę! Walczcie, psy!

Panika skończyła się równie szybko jak się zaczęła. Wybuch Cymmerianina był niczym wiadro zimnej wody na głowy przerażonych żołnierzy.

— Zająć stanowiska — rozkazał. — I nie opuszczać ich pod żadnym pozorem! Ani ludzie, ani demony nie przejdą dziś przez przełęcz Shamla!

W miejscu gdzie krawędź płaskowyżu załamywała się, przechodząc w łagodne zbocze, najemnicy stanęli murem ściskając w rękach włócznie. Za ich plecami lansjerzy dosiedli swoich wierzchowców, a na skrzydle stały w odwodzie oddziały

oszczepników. Patrzącej na to z namiotu Jasmeli wydali się mizerną garstką w porównaniu z rojem nadciągającej hordy.

Conan stał wśród oszczepników. Wiedział, że przeciwnik nie będzie próbował wjechać rydwanami na przełęcz, wystawiając się tym samym na grad strzał. Zdziwił się widząc, że jeźdźcy zsiadają z koni. Ci dzicy ludzie nie wiedli ze sobą taborów. Bukłaki z wodą i sakwy z pożywieniem mieli przytroczone do siodeł. Teraz wypili resztę wody i odrzucili puste bukłaki.

— Wóz albo przewóz — mruknął do siebie barbarzyńca. — Wolałbym już konną szarżę. Zranione konie ponoszą i płaczą szyki.

Horda tymczasem sformowała duży klin, którego ostrzem byli Stygijczycy, a trzonem odziani w kolczugi asshuri, osłaniani po bokach przez nomadów. W zwartym szyku, kryjąc się za tarczami, parli naprzód jak lawina, a za ich plecami stojąca na rydwanie postać w rozwianej szacie, wznosiła ramiona ku niebu gestem upiornego błogosławieństwa.

Gdy pierwsze szeregi dotarły do wylotu doliny, górale na stokach wypuścili strzały. Mimo osłony tarcz atakujący padali tuzinami. Stygijczycy, zostawiwszy swe łuki przy wierzchołkach, pochylili okryte hełmami głowy i ruszyli niepowstrzymaną falą po ciałach swych zabitych kamratów, błyskając oczyma zza krawędzi tarcz. Shemici odpowiedzieli gradem strzał, które czarną chmurą przysłoniły słońce. Spoglądając na zbliżającego się wroga, Conan zastanawiał się jaką nową okropność kryje w zanadrzu czarownik. Niejasno wyczuwał, że Natohk, jak każdy mag, jest groźniejszy w obronie niż w ataku — każdy ofensywny ruch groził klęską.

Bez wątpienia — czary Natohka gnały hordę w paszczę śmierci. Conan wstrzymał oddech, widząc spustoszenie jakie szczyli jego wojownicy w szeregach wroga. Olbrzymi klin zdawał się topnieć w oczach, a dno doliny było już gęsto usłane trupami napastników. Mimo to pozostali przy życiu parli naprzód jak szaleńcy, gardząc śmiercią. Liczebna przewaga sprawiła, że górale nie byli w stanie ich powstrzymać. Chmury strzał mknęły w górę i zmuszały ich z kolei do szukania osłony. Niepowstrzymany pochód wroga nappełnił ich lękiem, lecz wciąż gorączkowo wypuszczali pierzaste pociski, walcząc jak schwyttane w pułapkę wilki.

Kiedy horda zbliżyła się do wąskiej gardzieli przełęczy, z góry zepchnięto ogromne głazy, które z łaskotem runęły na ciasno stłoczone szeregi, miażdżąc dziesiątki wojowników. Mimo to najęźdźcy parli naprzód. Najemnicy przygotowali się do nieuniknionego starcia. Stojąc w zwartym szyku, dzięki swym grubym kolczugom nie ponieśli większego uszczerbku od gęsto sypiących się strzał. Jednak Conan obawiał się, że impet uderzenia ogromnego klina przełamie mur obrońców. Zdał sobie sprawę, że czeka ich bezpardonowa walka. Chwycił za ramię stojącego obok Zaheemisa.

— Czy jest tu jakaś droga, którą jeźdźcy mogą zjechać w dolinę za zachodnią granią?

— Tak! Urwista, niebezpieczna ścieżka — sekretna i zawsze strzeżona. Jednak...

Conan powlókł go do siedzącego na wielkim rumaku Amalryka.

— Amalryku! — warknął. — Jedź za tym człowiekiem! On poprowadzi was do doliny. Pojedziesz, okrążysz grań i uderzysz na hordę od tyłu. Nic nie mów, tylko jedź! Wiem, że to szaleństwo, ale i tak jesteśmy zgubieni. Zanim umrzemy zabijemy tyłu, ilu zdołamy. Pospiesz się!

Amalryk nastroszył wąsy w dzikim uśmiechu i za kilka chwil jego lansjerzy ruszyli za przewodnikiem w głąb płataniny wąwozów stopniowo opuszczających się z płaskowyżu. Conan z mieczem w ręku podbiegł do oszczepników.

Przybył w samą porę. Po obu stronach przełęczy górale Shuprasa desperacko wysyłali pocisk za pociskiem, widząc grożącą im klęskę. W dolinie i na zboczach napastnicy ginęli jak muchy, lecz niepowstrzymaną falą pieśli się po zboczu i z wrzaskiem uderzyli na najemników Conana.

Wśród chrzęstu i łaskotu stali szeregi obrońców zachwiały się i wygięły. Zrodzony do wojaczki lud stał się z zawodowym żołnierzem. Tarcza uderzała o tarczę, oszczep wbijał się w ciało, tryskała krew. Wśród zamętu Conan ujrzał olbrzymią postać księcia Kutamuna. Odgradzał go od niego tłum cisnących się, dyszących i wywijających żelazem wojowników. Za Stygijczykami kroczyli asshuri.

Nomadzi wspięli się na zbocza po obu stronach doliny i rozpoczęli walkę wręcz ze swymi krewniakami z gór. Wzdłuż obu grani rozgorzała zaciekle, gwałtowna bitwa. Górale walczyli z właściwym im fanatyzmem, podsycanym wielowiekowymi waśniami; ginęli, ale i zabijali. Z przeraźliwym wyciem do bitwy przyłączyli się nadzy, czarnoskórzy Kushici.

Conanowi zdawało się, że jego zalewane potem oczy spoglądają na falujący ocean stalowych ostrzy, wznoszących się i opadających, wypełniających dolinę od grani do grani. Ważyły się losy bitwy. Górale trzymali się nieźle, a najemnicy stali murem broniąc przełęczy, odrzuciwszy okrwawione piki. Lepsza pozycja i uzbrojenie na jakiś czas zrównoważyły liczebną przewagę wroga, ale nie mogło to trwać długo. Wciąż nowe fale nieprzyjaciół szturmowały zbocza, a wyrwy w szeregach Stygijczyków natychmiast zapelniali kroczący za nimi asshuri.

Cymmerianin wyglądał okrążających zachodnią grań lansjerów Amalryka, lecz ci nie pojawili się jeszcze. Oddziały oszczepników zaczęły się chwiać pod naporem wroga. Barbarzyńca porzucił już wszelką myśl o zwycięstwie i uratowaniu życia. Wykrzykując rozkazy do zziąpanych dowódców, zawrócił i pomknął przez płaskowyż do stojącej w odwodzie jazdy khorajskiej. Nie spojrział nawet w kierunku namiotu Jasmeli. Zapomniał o księżniczce; myślał tylko o tym, aby przed śmiercią zabić jak najwięcej wrogów.

— Dziś zostaniecie rycerzami! — krzyknął do jeźdźców, wskazując okrwawionym mieczem szeregi wroga. — Na koń i za mną!

Góralski koń, nieprzyzwyczajony do ciężaru khorajskiej zbroi dziko zarżał. Conan ze śmiechem skierował rumaka na skraj płaskowyżu.

Pięciuset jeźdźców — ubogich mieszczan, wydziedziczonych szlacheckich synów — nicponi — na półdzikich, shemickich koniach runęło do ataku po zboczu, jakim żadna jazda na świecie jeszcze nigdy nie szarżowała!

Przemknęli obok walczących na przełęczy oddziałów, aż do usłanej trupami zachodniej grani. Popędzili po stromym stoku. Tuzin jeźdźców straciło równowagę i spadło pod kopyta pędzących

rumaków. Wśród okrzyków przerażenia i jęków agonii wpadli na nieprzyjaciela jak lawina spadająca na zagajnik i przetoczyli się po zwartych szeregach nomadów niczym żelazny walec, zostawiając za sobą łań trupów.

Prawie równolegle na zwichrzone szeregi zaskoczonych wrogów uderzyli lansjerzy Amalryka, którzy okrążyli zachodnią grań i rozbili kordon jeźdźców pilnujących lewego skrzydła. Niczym stalowy klin wpadli od tyłu na nie — spodziewających się niczego nieprzyjaciół. Nomadzi, sądząc że są otoczeni przez przeważające siły i obawiając się odcięcia od zbawczej pustyni, rzucili się do ucieczki tratując mniej lękliwych towarzyszy. Khorajska jazda przetoczyła się po nich, rozbijając w proch i pył. Stygijczycy atakujący z boku zawahali się, co wykorzystali górale broniąc się ze zdwojoną zjadłością i zmuszając przeciwnika do odwrotu.

Zaskoczona horda rzuciła się do panicznej ucieczki zanim ktokolwiek zorientował się, że atakuje ich zaledwie garstka jeźdźców. A gdy już zaczęli uciekać, nawet czary Natohka nie mogły ich powstrzymać.

Przez morze głów i oszczepów jeźdźcy Conana ujrzeni lansjerów Amalryka przebijających się przez bezładnie uciekających nieprzyjaciół. Ten widok dodał ducha khorajskim oddziałom; z radosnym okrzykiem i zdwojonym zapalem poczęli gromić nomadów.

Brodząc po kostki w kałużach krwi, broniący przełęczy najemnicy ruszyli naprzód, silnie napierając na zwichrzone szeregi wroga. Stygijczycy nie ustępowali pola, lecz oddziały asshuri stopniały błyskawicznie. Wojownicy południa zginęli co do jednego, a najemnicy przeszedłszy po ich ciałach uderzyli jak stalowy topór w skłębione, stygijskie szeregi.

Wysoko na grani leżał ze strzałą w sercu stary Shupras. Amalryk kłął jak szewc trzymając się za przeszyte włócznią udo. Z jeźdźców Conana ledwie półtorej setki pozostało w siodle, lecz horda została rozbita. Nomadzi i oszczepnicy poszli w rozsypkę zmykając do obozu, gdzie zostawili konie. Górale zbiegali z grani dźgając w plecy uciekających i podrzynając gardła rannym.

Z chaosu wyłoniła się olbrzymia postać, która skoczyła w

kierunku Conana. To książę Kutamun — odziany tylko w przepaskę biodrową i pogięty hełm, od stóp do głów zbryzgany krwią, z przeraźliwym okrzykiem cisnął Cymmerianinowi w twarz rękojeść złamanego miecza i doskoczywszy, złapał jego ogiera za uzdę. Oszołomiony barbarzyńca zachwiał się w siodle, a czarnoskóry olbrzym z potworną siłą szarpnął koński łeb w górę i do tyłu. Rumak stracił równowagę i kwicząc runął na zalany krwią piasek.

Conan zdołał zeskoczyć z walącego się na ziemię konia. Kutamun natychmiast rzucił się nań, rycząc jak lew. Wśród bitewnego zamętu barbarzyńca nie wiedział nawet jak udało mu się zabić olbrzyma. Pamiętał tylko, że Stygijczyk raz po raz uderzał trzymanym w rękę kamieniem w jego hełm, aż gwiazdy pokazały się Conanowi przed oczyma, i że kilkakrotnie wbijał sztylet w pierś księcia, co wydawało się nie robić na nim żadnego wrażenia. Conanowi świat zaczął już wirować przed oczami, gdy wreszcie czarnoskóry gigant zadygotał konwulsyjnie, wyprężył się i runął bezwładnie na ziemię.

Chwiejąc się i ocierając krew płynącą spod okapu pogiętego hełmu, Conan spojrzął zamglonym wzrokiem na dzieło zniszczenia.

Cała dolina była zasłana trupami, jakby rozciągnięto w niej czerwony dywan. Zwały ciał piętrzyły się niczym morskie fale, sięgając do przełęcz i wpełzając na zbocza. W dole, na pustyni, wciąż toczyła się walka. Resztki hordy dotarły do koni i poczęły umykać na pustynię, ścigane przez strudzonych zwycięzców. Conan ze zgrozą zauważył jak nieliczni byli ścigający.

Nagle przez zgiełk przedarł się przeraźliwy wrzask. Z doliny nadjechał czarny rydwan, miażdżąc kołami sterty trupów. Nie ciągnęły go konie, lecz wielkie, czarne stworzenie podobne do wielbłąda. To jechał Natohk: w rozwianej todze, ze skuloną przy nim człekokształtną poczwara, przypominającą małpę. Stwór dzierżył wodze i raz po raz smagał batem ciągnące rydwan zwierzę.

Pojazd ze złowrogim świstem przemknął po usłanym trupami zboczku wprost do namiotu, przy którym stała osamotniona Jasmela. Jej straż bowiem przyłączyła się do pościgu za nomadami.

Conan zamarł słysząc przeraźliwy krzyk i widząc jak Natohk swym długim ramieniem wciąga księżniczkę do rydwanu. Straszliwy rumak zawrócił i pognał z powrotem w dolinę. Żaden wojownik nie



ośmielił się wymierzyć w niego strzały czy włóczni z obawy, że może trafić wijącą się w jego uścisku Jasmelę.

Conan z dzikim okrzykiem podniósł miecz i skoczył do pędzącego rydwanu. W chwili gdy wznosił oręż czarna bestia uderzyła go przednią nogą w pierś, odrzucając na bok ogłuszonego i potłuczonego. Z przejeżdżającego pojazdu dobiegł go przeciągły, okropny krzyk Jasmeli.

Z ust barbarzyńcy wydobył się ryk wściekłości. Zerwał się na równe nogi i łapiąc wodze przebiegającego obok bezpiecznego konia, wskoczył na siodło w pełnym galopie. Z szaleńczym zapamiętaniem popędził za szybko oddalającym się rydwanem. W pędzie minął obóz Shemitów i pognał na pustynię. Raz po raz mijał gromady swoich wojowników i rozpaczliwie umykających nomadów.

Rydwan pędził dalej. Conan czuł, że koń zaczął pod nim słabnąć. Wokół rozpościerało się nagie pustkowienie, skapane w posępny blask zachodzącego słońca. Nagle przed pędzącymi wyrosły ruiny starożytnego miasta. Potworny woźnica wyrzucił z rydwanu Natohka i dziewczynę. Potoczyli się po piasku, a pojazd i ciągnący go stwór uległy przeobrażeniu. Zupełnie już niepodobny do wielbłąda, czarny potwór rozłożył wielkie skrzydła i śmignął w niebo ciągnąc za sobą płomienisty kształt przypominający chichoczącego małpoluda. Stwór zniknął tak szybko, że zdał się być tylko wytworem dręczonego koszmarnym snem umysłu.

Natohk zerwał się na nogi, rzucił szydercze spojrzenie swojemu prześladowcy, który nie zatrzymał się, lecz gnał ku niemu z uniesionym mieczem. Czarnoksiężnik pochwycił omdlałą dziewczynę i wbiegł z nią między ruiny.

Conan zeskoczył z konia i ruszył za nim. Po chwili znalazł się w komnacie jarzącej się niesamowitą poświatą mimo szybko zapadających na zewnątrz ciemności. Jasmela leżała na czarnym, nefrytowym ołtarzu. Jej nagie ciało jaśniało w upiornym blasku jak kość słoniowa. Odzienie wałało się wokół, zerwane w brutalnym pośpiechu. Nad nią stał Natohk — nieładzko wysoki i chudy, ubrany w błyszczącą togę z zielonego jedwabiu. Mag odstąpił twarz i Cymmerianin ujrzał rysy, które widział na zugickich monetach.

— Drżysz, psie! — syknął czarnoksiężnik niczym rozzłoszczona żmija. — Jam jest Thugra Khotan! Długo spoczywałem w grobowcu, oczekując dnia przebudzenia i uwolnienia. Więził mnie czar, który uratował mnie niegdyś przed barbarzyńcami. Wiedziałem, że kiedyś jeden z nich przybędzie... I przybył by wypełnić swe przeznaczenie i umrzeć śmiercią, jaką od trzech tysięcy lat nie umarł żaden człowiek! Ty głupcze, czy myślisz, że przegrałem, ponieważ armia poszła w rozsypkę? Dlatego, że demon, którego uczyniłem swoim niewolnikiem, zdradził mnie i opuścił? Jam jest Thugra Khotan, który będzie władał światem na przekór waszym nędznym bogom! Pustynia roi się od moi ludzi, a demony nocy będą spełniać moje rozkazy, tak samo jak gadzi lud. Pożądanie osłabiło moją moc. Teraz ta kobieta jest moja i sycąc się jej duszą będę niezwycięzony! Cofnij się, głupcze! Nie pokonałeś Thugry Khotana!

Z tymi słowy mag cisnął swoją laskę pod nogi Conana. Barbarzyńca cofnął się z mimowolnym okrzykiem. Padając, laska uległa straszliwej przemianie: skrzyła się i wygięła, i oto przed zdumionym Cymmerianinem wznosiła łeb sycząca, królewska kobra. Z gwałtownym przekleństwem Conan opuścił stalowe ostrze, przecinając ohydny stwora na dwoje, lecz wtedy u swych stóp ujrzał tylko przeciętą na dwie części hebanową laskę. Thugra Khotan zaśmiał się głucho i pochyliwszy podniósł coś z zakurzonej podłogi.

W wyciągniętej ręce trzymał teraz coś wijącego się i skracającego. Tym razem nie było to złudzenie. Mag trzymał długiego na stopę, czarnego skorpiona — najgroźniejsze stworzenie pustyni, którego ukłucie niesło natychmiastową śmierć. Trupią twarz Thugry Khotana rozjaśnił szeroki uśmiech. Conan zawahał się, lecz nagle, bez ostrzeżenia, rzucił mieczem.

Zaskoczony czarnoksiężnik nie zdążył się uchylić. Ostrze wbiło mu się prosto w serce i wyszło między łopatkami. Mag runął martwy, miażdżąc w dłoni jadowite stworzenie.

Conan podszedł do ołtarza i chwycił Jasmelę w ramiona. Z histerycznym szlochem zarzuciła mu ręce na szyję, kurczowo je zaciskając.

— Na Croma, dziewczyno! — mruknął. — Puść mnie! Dziś padło pięćdziesiąt tysięcy wojowników i mam jeszcze...

— Nie! — wykrztusiła przywierając doń konwulsyjnie, przez chwilę dorównując barbarzyńską gwałtownością uczuć. — Nie pozwolę ci odejść! Jestem twoja, prawem miecza, ognia i krwi! Jesteś mój! Tam należę do innych — tu mogę być sobą — jestem twoja! Nie puszcę cię!

Zawahał się w nagłym przyplywie gwałtownej pasji. Posepny, upiorny blask wciąż rozjaśniał ogromną komnatę, rzucając niesamowite błyski na martwą twarz Thugry Khotana, który zdawał się uśmiechać tajemniczo i złowrogo. Na pustyni i wśród wzgórz leżały pokotem tysiące zabitych, a inni wciąż jeszcze ginęli wyjąc z bólu, rozpaczony i szaleństwa. Królestwa zadrżały w posadach... Nagle wszystko to pochłonęła szkarłatna fala pożądania. Cymmerianin porwał w ramiona tę wiotką, białą postać jaśniejącą przed nim w półmroku, niczym magiczny ognik.

## FENIKS NA MIECZU THE PHOENIX ON THE SWORD

*Po zdobyciu stolicy Aquilonii i zgładzeniu króla Numedidesa, dobiegający już czterdziestki Conan zasiada na tronie tego największego z hyboriańskich państw.*

*Okazuje się jednak, że żywot władcy nie jest usiany różami. Jeszcze nie upłynął rok, a już minstrel Rinaldo układa podburzające ballady na cześć „umęczonego” Numedidesa. Ascalant, księżę Thune, zbiera wokół siebie gromadę spiskowców zamierzających pozbawić barbarzyńcę tronu. Conan przekonuje się, że pamięć ludzka jest krótka, a korony czasem spadają z głów (albo razem z nimi).*

## 1.

Nad kopulastymi dachami i lśniącymi wieżami zalegała upiorna cisza i mrok. Cztery zamaskowane postacie prześlizgnęły się przez uchylone czyjaś ręką drzwi i szybko wtopiły się w ciemność alei. Jeden z setek krętych ulic tworzących prawdziwy kamienny labirynt. Szczelnie zakutane w płaszcze, bez słowa zniknęły w mroku, niczym duchy pomordowanych. Przez szparę niedomkniętych drzwi spoglądała za nimi twarz wykrzywiona w sardonicznym uśmiechu — złowrogo błysnęły zmrużone oczy.

— Idźcie, rycerze nocy — szepnął drwiąco głos. — O głupcy! Nie wiecie, że śmierć depcze wam po piętach jak ślepy pies.

Powiedziawszy to, mężczyzna zamknął drzwi i zasunął rygle, po czym odwrócił się i ze świecą w dłoni ruszył korytarzem. Był ponurym olbrzymem o śniadej skórze zdradzającej stygijskie pochodzenie. Wszedł do komnaty, w której na pokrytej jedwabiem kanapie leżał wysoki, chudy mężczyzna sącząc wino z wielkiego, złotego pucharu.

— No, Ascalancie — rzekł Stygijczyk stawiając świecę — twoi durnie wypadli na ulicę jak szczury z nory. Używasz dziwnych narzędzi.

— Narzędzi? — odparł Ascalant. — Oni sądzą, że to ja jestem ich narzędziem. Od miesięcy, od kiedy buntownicza czwórka wezwała mnie z głębi pustym, żyję w samym sercu twierdzy wroga, za dnia kryjąc się w tym nędznym domu, a nocami skradając się przez ciemne uliczki i jeszcze ciemniejsze korytarze. I dokonałem tego, czego nigdy nie zdołaliby dokonać ci zbuntowani dworacy. Z pomocą tych oraz innych agentów, z których wielu nigdy nie widziało mojej twarzy, wzniciłem w państwie niepokój i niezadowolenie. Krótko mówiąc, pozostając w cieniu, przygotowałem upadek zasiadającego na tronie króla. Na Mitrę, nie na darmo byłem mężem stanu zanim zostałem wyjęty spod prawa!

— A ci durnie, którzy uważają się za twoich panów?

— Nadal myślą, że im służę i będą tak uważać dopóki nie dopniemy celu. Kim są by mierzyć się z Ascalantem? Karzeł Volmana, ksiązę Karabanu; Gromel — dowódca Czarnego Legionu;

Dion — tłusty baron Attalus i Rinaldo — postrzelony minstrel. To ja jestem tym, który uczynił z nich stalowe ostrze buntu i gdy przyjdzie czas, zniszczę ich wykorzystując ich własne przywary. To jednak przyszłość — dzisiejszej nocy zginie król.

— Kilka dni temu widziałem armię opuszczającą miasto — rzekł Stygijczyk.

— Udali się na pogranicze niepokozone przez pogańskich Piktów, podnieconych do szaleństwa trunkami, które dla nich przemyciłem przez granicę.; Było to możliwe dzięki pieniądзом Diona. A Volmana wyprowadził z miasta resztę królewskich oddziałów. Za pośrednictwem swego książęcego krewniaka w Nemedii z łatwością namówił króla Nume, aby zażądał przybycia Trocera — seneszala Aquilonii i księcia Poitain. Rzecz jasna taka misja wymaga nie tylko eskorty własnych oddziałów, ale również honorowej asysty królewskiej gwardii z Prosperem, prawą ręką króla Conana, na czele. Tak więc w mieście zostaje tylko przyboczna straż króla i Czarny Legion. Dzięki Gromelowi udało mi się przekupić rozrutnego oficera Legionu, który o pomocy odwoła strażę przed drzwiami królewskiej komnaty. Wtedy ja z moimi szesnastoma gotowymi na wszystko łotrami, wtargnę do pałacu przez ukryte przejście. A kiedy dokonamy dzieła, to nawet jeśli lud nie poprze, Czarny Legion Gromela wystarczy aby utrzymać miasto i tron.

— A Dion myśli, że tron przypadnie jemu?

— Tak. Ten tłusty dureń rości sobie do niego prawo ze względu na domieszkę królewskiej krwi w swoich żyłach. Conan popełnił błąd, pozwalając żyć ludziom chępiącym się pokrewieństwem ze starą dynastią, której wydarł koronę Aquilonii. Volmana chce wrócić do łask, aby podźwignąć do dawnej świetności swoje podupadłe włości. Gromel nienawidzi Pallantudesa, dowódcy Czarnych Smoków i z uporem prawdziwego Bossonianina dąży do objęcia dowództwa nad całą armią. Rinaldo jako jedyny z nich nie kieruje się prywatą. Widzi w Conanie gruboskórnego barbarzyńcę o skrwawionych rękach, który przybył z pomocy by plądrować cywilizowany kraj. Idealizuje króla, którego Conan zabił aby zdobyć tron i pamięta jedynie to, że martwy władca czasami popierał sztukę. Nie pamięta ile zła wyrządził i sprawia, że lud też o tym zapomina.

Już otwarcie śpiewają „Lament po zamordowanym królu”, w której to pieśni Rinaldo oplakuje tego łotra jak świętego i ogłasza Conana „ponurym dzikusiem z piekła rodem”. Conan śmieje się z tego, ale lud szemrze...

— Czemu on nienawidzi Conana?

— Poeci zawsze nienawidzą, władców. Im zawsze wydaje się, że stan aktualny jest daleki od doskonałości.

Uciekają przed rzeczywistością w marzenia o przeszłości i jutrze. Rinaldo to płonąca pochodnia idealizmu. Uważa, że zabijając Conana uwolni lud od tyрана. Jeżeli o mnie chodzi... no, kilka miesięcy temu moją jedyną ambicją było grabienie karawan. Teraz powróciły stare marzenia. Conan zginie i Dion zasiądzie na tronie. Później on też umrze. Jeden po drugim umrą wszyscy moi przeciwnicy. Stanie się tak dzięki ogniewi, stali lub tym strasliwym nalewkom, które tak dobrze sporządzasz. Ascalant, król Aquilonii! Jak ci się to podoba?

Stygijczyk wzruszył szerokimi ramionami.

— Był taki czas — rzekł z nieskrywaną goryczą — kiedy ja też miałem ambicje, przy których twoje zdają się tandetne i dziecinne. Jakże nisko upadłem! Moi dawni rywale i pomocnicy wybałuszyliby oczy ze zdziwienia, gdyby ujrzeli Thoth–Amona, Mistrza Kręgu, służącego jako niewolnik u cudzoziemca wyjętego spod prawa i wspomagającego drobne ambicyjki baronów i królów!

— Pokładałeś wiarę w magii i zaklęciach — odparł niedbale Ascalant. — Ja wierzę w mój rozum i miecz.

— Rozum i miecz są niczym źdźbła trawy na wietrze wobec mrocznej wiedzy — warknął Stygijczyk, a w jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk.

— Gdybym nie utracił pierścienia, byłbyś na moim miejscu, a ja na twoim.

— Jednak — odparł niecierpliwie Ascalant — nosisz na grzbiecie ślady mojego brata i chyba dalej będziesz je nosił.

— Nie bądź taki pewny! — przez moment twarz niewolnika wykrzywiła się grymasem szalonej nienawiści. — Któregoś dnia jakimś sposobem odnajdę pierścień i wtedy, na kły jadowe Seta, zapłacisz mi...

Porywczy Aquilończyk zerwał się z otomany i mocno uderzył go w twarz. Thoth–Amon zatoczył się w tył: krew płynęła mu z rozciętych warg.

— Stałeś się zbyt zuchwały, panie! — warknął banita. — Uważaj, wciąż znam twój sekret i trzymam cię w garści. No, dalej, wejdź na dach i krzycz, że Ascalant jest w mieście i spiskuje przeciw królowi! Może się ośmielisz?

— Nie ośmielę się — mruknął Stygijczyk, ocierając krew z ust.

— Taak, nie śmiesz tego zrobić — uśmiechnął się zimno Ascalant — bo jeśli umrę wskutek twojej zdrady czy niedbalstwa, kapłan w pustelni na południowej pustyni dowie się o tym i złamie pieczęć manuskryptu, który mu zostawiłem. A przeczytawszy go, szepnie słowo w Stygii i o pomocy zawieje wiatr z południa. I gdzie się wtedy schronisz, Thoth–Amonie?

Niewolnik zdrzął, a jego śniada twarz pobladła nagle.

— Dosyć! — Ascalant raptownie zmienił temat. — Mam dla ciebie zadanie. Nie wierzę Dionowi. Radziłem mu, aby udał się do swoich włości i pozostał tam aż dokonamy dzieła. Ten tłusty dureń nie zdołałby dziś ukryć przed królem swojego zdenerwowania. Pojedziesz za nim i jeśli nie dogonisz go na drodze, podążysz do jego włości i pozostaniesz przy nim dopóty, dopóki go nie wezwiemy. Nie spuszczaaj go z oka. Trzęsie się ze strachu i może się wygadać. Gotów nawet pobiec do Conana i zdradzić nasze plany w nadziei ocalenia własnej skóry. Idź!

Niewolnik skłonił się, ukrywając targającą nim nienawiść i zrobił co mu kazano. Ascalant znów zajął się pucharem. Nad bogato zdobionymi kopułami dachów wstawał świt, czerwony jak krew.

*Kiedym był wojownikiem, na chwałę bili mi  
w kotły,  
Lud pod kopyta mego konia sypał pył  
szczerozłoty;  
Lecz teraz jestem królem i oto jest  
Przyczyna  
Ciosu sztyletem w plecy i zatrutego  
wina.*



(„Droga Królów”)

## 2.

Komnata była duża i urządzona z przepychem. Na wykładanych boazerią ze słoniowej kości ścianach, wisiały kosztowne gobeliny, na posadzce leżały grube dywany, a wyniosły sufit zdobiły kunsztowne wzory posrebrzanych ornamentacji. Za inkrustowanym złotem sekretarzykiem siedział mężczyzna, którego szerokie bary i spalona słońcem skóra wydawały się dziwnie nie na miejscu w tym ociekającym luksusem wnętrzu. Zdawał się być raczej częścią krainy słońca i wiatru oraz wyniosłych górskich szczytów. Każdy jego ruch zdradzał stalową siłę mięśni doskonale skoordynowanych z bystrym umysłem i refleksem urodzonego wojownika. W jego ruchach nie było cienia sztuczności czy pozy. Albo trwał w bezruchu — nieruchomy jak spiżowy posąg — albo poruszał się, ale nie gwałtownymi zrywami nadmiernie napiętych mięśni, lecz z kocią zwinnością trudną do uchwycenia okiem.

Jego szaty były skromne, chociaż z kosztownego materiału. Nie nosił żadnych ozdób ni pierścieni, tylko przetykaną srebrem opaskę przytrzymującą prosto przyciętą grzywę czarnych włosów.

Odłożył złoty rylec, którym pracowicie kreślił znaki na woskowanych tabliczkach, podparł brodę pięścią i spojrzał zazdrośnie swoimi płonącymi, niebieskimi oczami na stojącego przed nim człowieka. Mężczyzna ten niezwykle zajęty własnymi sprawami, bo właśnie sznurował swój połączany pancerz i pogwizdywał pod nosem — co było dość niekonwencjonalnym zachowaniem jeżeli zważyć, że robił to w obecności króla.

— Prospero — rzekł siedzący za stołem — sprawy związane z kierowaniem państwem męczą mnie bardziej niż wszystkie bitwy jakie stoczyłem razem wzięte.

— Takie są zasady gry, Conanie — odparł ciemnowłosy książę Poitain. — Jesteś królem — musisz grać swoją rolę.

— Wolałbym pojechać z tobą do Nemedii — rzekł z zawiścią Cymmerianin. — Wydaje się, że minęły wieki od kiedy ostatni raz siedziałem na koniu. Jednak Publiusz mówi, że sprawy państwowe wymagają mojej obecności w stolicy. Niech go diabli!

— Kiedy obalałem starą dynastię — ciągnął po chwili z niedbałą

poufalością na jaką pozwalał sobie tylko w rozmowach z Prosperem — wydawało mi się to dość łatwe.

Spoglądając teraz wstecz, widzę długą drogę, którą przebyłem: te wszystkie dni znoju i udręki, intryg i zabijania zdają się snem. Jednak nie dośniłem go do końca, Prospero. Kiedy król Numedides legł martwy u mych stóp, i zerwawszy koronę z jego okrwawionych skroni założyłem ją na własne, osiągnąłem granicę, poza którą nie wychodziłem w swoich snach. Byłem przygotowany by założyć koronę, ale nie na to, aby ją nosić. Za dawnych dobrych dni pragnąłem jedynie dobrego konia i ostrego miecza w garści. Wszystko wydawało mi się proste. Dziś nic nie jest proste, a mój miecz jest bezużyteczny...

— Kiedy obalałem Numedidesa byłem Wyzwolicielem — teraz plują na mój widok. W świątyni Mitry postawili posąg tego wieprza, a lud wznosi przed nim żałobne pienia — hymny ku czci świętego męża zamordowanego przez krwawego barbarzyńcę. Gdy jako najemnik wiodłem jej armie do zwycięstwa, Aquilonia zapomniała o tym, że jestem cudzoziemcem, ale teraz nie może mi tego wybaczyć. Teraz przychodzą do świątyni Mitry aby palić kadzidła Numedidesowi ludzie, którym jego kaci ucinali ręce i wylupiali oczy; ludzie, którym synowie zgnili w jego lochach, których żony i córki zawleczono do jego seraju. Niewdzięczni durnie!

— W znacznej mierze jest za to odpowiedzialny Rinaldo — odparł Prospero, zaciskając pas o jeszcze jedną dziurkę. — Śpiewa pieśni, które doprowadzają ludzi do szaleństwa. Powieś go w błazeńskim stroju na najwyższej wieży w mieście. Niech układa rymy dla sępów.

Conan potrzęsnał swoją lwią grzywą.

— Nie, Prospero, nie mogę tego zrobić. Wielki poeta jest czymś więcej niż największy król. Jego pieśni są potężniejsze od mojego berła. Gdy kiedyś zechciał zaśpiewać dla mnie, myślałem, że serce wyskoczy mi z piersi. Umrę i będę zapomniany, lecz pieśni Rinalda będą żyły wiecznie.

— Nie, nie — ciągnął król z ponurym błyskiem w oku — w tym się coś kryje, jakieś drugie dno, którego nie dostrzegamy. Czuję to, tak jak za młodu czułem tygrysa kryjącego się w wysokiej trawie.

Jakiś dziwny niepokój zapanował w królestwie. Jestem niczym myśliwy, który kuli się przy swoim małym ognisku pośrodku lasu i słyszy szelest stóp skradających się w ciemności i błyszczące oczy napastników. Gdybym tylko mógł stawić czoła czemuś uchwytnemu, czemuś co mógłbym przeciąć ostrzem miecza! Mówię ci, to nie przypadek, że Piktowie ostatnio tak gwałtownie zaatakowali pogranicze zmuszając Bossonian do wezwania posiłków. Powinienem pojechać na czele wojsk.

— Publiusz obawiał się, że to spisek by cię porwać i zabić — odparł Prospero, wygładzając fałdy płaszcza i podziwiając swoją wysoką, gibką postać w srebrnym lustrze. — To dlatego nalegał, abyś został w mieście. Twoje wątpliwości rodzą się z barbarzyńskich przesądów. Niechaj lud szemrze! Najemnicy są z nami i Czarne Smoki i każdy zbój w Poitain oddał za ciebie życie. Możesz obawiać się tylko zamachu, a ten jest niemożliwy, skoro gwardia królewska strzeże cię dzień i noc. Nad czym teraz pracujesz?

— Nad mapą — odparł z dumą Conan. — Mapy, które znajdują się w archiwum pokazują dokładnie kraje południa, wschodu i zachodu, ale na pomocy są niedokładne i fragmentaryczne. Sam zaznaczę pomocne ziemie. Tu leży Cymmeria, gdzie się urodziłem. A tu...

— Asgard i Vanaheim — rzekł Prospero spojrzawszy na mapę. — Na Mitrę, byłem prawie pewien, że te kraje istnieją tylko w legendach!

Conan uśmiechnął się krzywo, mimowolnie dotykając szram na opalonej twarzy.

— Nie mówiłbyś tak, gdybyś spędził młodość przy pomocnej granicy Cymmerii! Asgard leży na północ, a Vanaheim na pomocny zachód od mojej ziemi ojczystej i toczy się tam nieustająca wojna.

— Jacy są ci ludzie północy? — spytał Prospero.

— Wysocy, jasnowłosi i niebieskoocy. Ich bogiem jest Ymir, lodowy gigant. Każde plemię ma swojego wodza. Są dzicy i uparci. Potrafią walczyć cały dzień, a całą noc ryczeć swoje pieśni i żłopać piwsko.

— A więc widzę, że naprawdę jesteś jednym z nich — zaśmiał się Prospero. — Śmiesz się głośno, pijesz tego i śpiewasz dobre pieśni,

choć nigdy nie widziałeś Cymmerianina, który by pił coś mocniejszego od wody, śmiał się głośno czy śpiewał coś innego niż ponure pieśni żałobne.

— Może to z powodu krainy, w której żyją — odparł król. — Nie ma bardziej poplepszej ziemi; niekończące się wzgórza porośnięte gęstym lasem, wiecznie szare niebo i wiatr jęczący głucho w dolinach.

— Nic dziwnego, że ludzie stają się ponurzy — zauważył Prospero wzruszając ramionami i myśląc o jasnych, rozświetlonych słońcem równinach oraz czystych, leniwych rzekach Poitain, najdalej na południe wysuniętej prowincji Aquilonii.

— Nie ma dla nich nadziei ani tu, ani na tamtym świecie — rzekł Conan. — I bogiem jest Crom wraz ze swą ponurą siostrą, rządzący pozbawionym słoń królestwem wiecznych mgieł — krainą zmarłych! Wolę już wierzenia Aesirów.

— No — zaśmiał się Prospero — mroczne wzgórza Cymmerii pozostały daleko za tobą. Idę już. Wychylę za ciebie puchar białego, nemediańskiego wina na dworze króla Numy.

— Świetnie — mruknął król — ale całuj tancerki Numy tylko od siebie, inaczej wywołasz międzynarodowy kryzys! Rubaszny śmiech Conana ściągł wychodzącego z komnaty Prospera.

*W podziemiach piramid Wielki Set śpi  
zwinięty;  
W cieniu grobowców pełza jego lud  
przeklęty.  
Z bezdennych otchłani wznoszę swe  
wołanie:  
Ześlij mi sługę gniewu, o łuskowaty  
Panie!*

### 3.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, wyłaczając zieloną i bladoniebieską linię lasu. Gasnące promienie ożywały blaskiem na ogniwach złotego łańcucha nieustannie obracanego przez pulchne dłonie Diona z Attalus, siedzącego w gąszczu jaskrawego kwiecia i liści swojego ogrodu. Szlachcic podniósł opasły kałdun z marmurowej ławy i płochliwie rozejrzał się wokół, jakby szukając skradającego się wroga. Znajdował się na polance otoczonej małymi drzewkami, których splatające się ze sobą gałęzie dawały gęsty cień. W pobliżu szemrała srebrzysta fontanna, współgrając z głosem innych, stojących w różnych miejscach wielkiego ogrodu, wspólnie tworząc cichą symfonię.

Dion był sam, jeśli nie liczyć ciemnoskórej postaci przycupniętej przy kamiennej ławie i patrzącej nań posepnie.

Szlachcic nie zwracał uwagi na Thoth–Amona. Nie dlatego by wiedział, że może mu ufać jako wiernemu słudze Ascalanta, lecz jak wielu bogaczy, niewiele uwagi poświęcał ludziom o niższej pozycji.

— Nie powinieneś się tak denerwować, panie — rzekł Thoth–Amon. — Spisek musi się udać.

— Ascalant może popełnić błąd, tak jak każdy — uciał Dion, pocąc się na samą myśl o konsekwencjach niepowodzenia.

— Nie on — uśmiechnął się krzywo Stygijczyk — inaczej nie byłbym jego niewolnikiem, lecz panem.

— Co ty mówisz? — rzucił opryskliwie szlachcic, myśląc o czymś innym.

Thoth–Amon zmrużył oczy. Mimo żelaznych nerwów był niemal bliski wybuchu. Nagromadzony w nim wstyd, nienawiść i wściekłość domagały się ujścia i sprawiły, że był gotów skorzystać z każdej nadarzającej się okazji. Nie wziął tylko pod uwagę, że Dion patrzy nań nie jak na ludzką istotę obdarzoną rozumem i wolą, lecz jak na niewolnika, stworzenie niegodne uwagi.

— Wysłuchaj mnie — rzekł Thoth. — Będziesz królem. Jednak słabo znasz Ascalanta. Nie możesz mu ufać. Ja mogę ci pomóc. I zrobię to, jeśli zapewnisz mi ochronę kiedy Conan zginie i sięgniesz po władzę. Posłuchaj tylko. Tam, na południu, byłem wielkim

czarnoksiężnikiem. Ludzie mówili o Thoth–Amonie tak, jak niegdyś o Rammonie. Król Stygii, Ctesphon obdarzył mnie wielkim zaszczytem, wynosząc nad innych magów. Nienawidzili mnie, ale i bali się, ponieważ miałem władzę nad Istotami Ciemności, które, przybywały na me wezwanie i spełniały moje życzenia. Na Seta, moi wrogowie nie znali dnia ni godziny, kiedy szponiaste palce demonów zacisną się na ich gardłach. Te mroczne, straszliwe czary rzucałem dzięki Wężowemu Pierścieniowi Seta, który znalazłem w starym grobowcu, głęboko pod ziemią, zbudowanym nim jeszcze praprzodkowie człowieka wyczołgali się z mulistego morza. Jednak ktoś ukradł mi Pierścień i straciłem moc. Inni czarodzieje powstali przeciwko mnie i chcieli zabić; musiałem uciekać. Przebrany za poganiacza wielbłądów wędrowałem z karawaną przez pustynię Koth, gdy napadli na nas rabusie Ascalanta. Zabili wszystkich prócz mnie; ocaliłem życie wyjawiając kim jestem i przysięgając posłuszeństwo Ascalantowi. Gorzka to była służba! Aby silniej związać mnie ze sobą, opisał wszystko w manuskrypcie, który zapieczętował i oddał na przechowanie pustelnikowi zamieszkującemu przy południowej granicy Koth. Nie odważę się pchnąć go sztyletem kiedy śpi, ani wydać go wrogom, bo wtedy pustelnik przeczyta manuskrypt — tak kazał mu Ascalant i szepnie słowo w Stygii, a wtedy...

Thoth–Amon zadrżał, a jego śniada twarz przybrała barwę popiołu.

— W Aquilonii mnie nie znają — rzekł po chwili. — Jednak jeśli wrogowie w Stygii dowiedzą się gdzie jestem, to nawet dzielące nas pół świata nie wystarczy by uchronić mnie przed losem, który zmiękczyłby serce posągu. Tylko król, jego zamki i oddziały konnicy, mogą mnie ocalić. A pewnego dnia odnajdę Pierścień...

— Pierścień? Pierścień? — zdziwił się Dion.

Thoth nie doceniał potwornego egocentryzmu rozmówcy. Dion był tak głęboko pogrążony we własnych myślach, że w ogóle go nie słyszał, ale ostatnie słowo potrafiło jakąś strunę jego świadomości.

— Pierścień? — powtórzył. — To mi przypomina... tak, mój amulet. Kupiłem go od złodzieja ze Shemu, który przysięgał, że ukradł go czarnoksiężnikowi daleko na południu i że przyniesie mi

szczęście. Na Mitrę, słono za niego zapłaciłem. Jednak klnę się na bogów, że potrzeba mi naprawdę dużo szczęścia, skoro Ascalant i Volmana wciągają mnie w swoje przekłete spiski. Muszę się nim posłużyć.

Thoth–Amon zerwał się na równe nogi z twarzą pociemniałą od uderzającej do głowy krwi, a w jego oczach pojawiło się zdumienie i wściekłość, gdy uświadomił sobie ogrom głupoty i egoizmu rozmówcy. Dion nie zwracał na niego uwagi. Podniósł wieko skrytki w marmurowej ławie i przez chwilę grzebał wśród stosu rozmaitych błyskotek — amuletów i talizmanów, które jako człowiek przesądny gromadził.

— Ach, tu jest!

Triumfalnie wyjął pierścień o dziwnym kształcie. Wykonana z metalu podobnego do miedzi ozdoba wyobrażała okrytą łuskami żmiję, zwiniętą w trzy zwoje i trzymającą ogon w zębach. Zamiast oczu w żółtym metalu osadzono złowrogo błyszczące klejnoty. Thoth–Amon krzyknął jak smagnięty batem. Dion obrócił się na pięcie, spojrzał nań i rozdziawił usta. Krew odpłynęła mu z twarzy. Oczy niewolnika rozbłysły, dyszał ciężko i wyciągnął śniade ręce do gardła szlachcica.

— Pierścień! Na Seta! Mój Pierścień! — wrzasnął. — Mój skradziony...! Nagle w jego ręku błysnęła stal: potężnym zamachem wbił sztylet w tłuste cielsko barona. Dion wydał wysoki, przeraźliwy pisk, przechodzący w zduszony bulgot i osunął się na ziemię jak zmięty lachman. Głupiec — umarł nie wiedząc dlaczego ginie. Odrzuciwszy na bok okrwawione zwłoki i natychmiast o nich zapominając, Thoth–Amon niecierpliwie chwycił pierścień w dłoń.

— Mój Pierścień! — szepnął ze straszliwą radością. — Moja moc!

Sam nie wiedział jak długo stał nieruchomo niczym posąg, sycąc oczy widokiem magicznego pierścienia. Wreszcie otrząsnął się z zadumy i wrócił myślami z mrocznych czeluści. Księżyc już wschodził, rzucając długie cienie na gładkie oparcie marmurowej ławy, u stóp której leżało rozciągnięte ciało barona Attalus.

— Koniec, Ascalancie, koniec! — szeptał Stygijczyk.

W półmroku jego oczy zalśniły krwawym blaskiem, jak ślepia



wampira. Pochyliwszy się, z krzepnącej kałuży zaczerpnął garść krwi i wtarł ją w ślepią żółtej żmiji, aż pokryły się purpurowym bielmem.

— Zamknij oczy, magiczna żmijo — zaintonował mrozącym krew w żyłach szeptem. — Zamknij oczy w księżycowym blasku i otwórz je w czarnej otchłani. Cóż tam widzisz, o żmijo Seta? Kogo przyzwiesz z otchłani Ciemności? Czyj cień zasnuwa gasnący blask? Wezwij go do mnie, o sługo Seta!

Pieszcząc łuski pierścienia szczególnym, kolistym ruchem, jeszcze bardziej ściszył głos, szepcząc ponure i okropne zaklęcia, imiona zapomnianych przez ludzi bóstw, o których pamięć przetrwała jedynie w zakątkach tajemniczej Stygii, gdzie w prastarych grobowcach wciąż kryły się koszmary.

Coś pojawiło się na polance, bowiem powietrze zawirowało jak woda w stawie, gdy z głębin coś wynurza się na powierzchnię. Thoth poczuł powiew jakiegoś dziwnego, mrocznego wiatru, jakby otwarły się niewidoczne wrota. Wyczuwał czyjąś obecność za plecami, lecz nie odwracał się. Nie odrywał oczu od oblanej blaskiem księżyca plamy marmuru, na którym pojawił się zwiewny pień. W miarę jak mag wymawiał zaklęcie, cień ten stawał się większy i wyraźniejszy, coraz czarniejszy i bardziej przerażający. Kształtem przypominał gigantyczną małpę, ale takie stworzenie nigdy nie stąpało po ziemi, nawet w Stygii. Thoth nadal nie patrzył w jego stronę tylko wyciągnąwszy zza pasa sandał swojego pana — który zawsze nosił przy sobie w niejasnej nadziei, że kiedyś może się przydać — i cisnął go za siebie.

— Przyjrzyj mu się, sługo Pierścienia! — wykrzyknął. — Znajdź tego, który go nosił i zabij go! Zajrzyj mu w oczy i odbierz mu zmysły, zanim rozszarpiesz mu gardło! Zabij go!

W przyplywie pasji Thoth–Amon dorzucił:

— I wszystkich, którzy będą przy nim!

Czarownik zobaczył, że potworny cień na marmurowej płycie opuszcza niekształtny łeb i węszy niczym okropny ogar. Później ohydny łeb podniósł się, i stwór okręcił się i zniknął jak wiatr wiejący wśród gałęzi. Stygijczyk triumfalnym gestem uniósł ramiona w górę, szczerząc białe zęby i wywracając oczami.

Obchodzący mury strażnik wrzasnął z przerażenia, gdy wielki,

czarny cień o płonących ślepiach przeskoczył blanki i przemknął obok. Stwór zniknął tak szybko, że wartownik nie był pewny czy to sen, czy przywidzenie.

*Gdy świat był miody, a ludzkość słabą  
demony nocy dręczyły wciąż,  
Użyłem ognia, trucizny i stali  
i przegrał ze mną straszliwy Wąż.  
Dziś, kiedy wieki zrobiły swoje  
i w czarnym sercu góry drzemie,  
Czyż zapomnicie tego, który  
zwyciężył Seta i dał wam zbawienie?*

#### 4.

Samotny w wielkiej sypialni o złocistym sklepieniu, król Conan spał i śnił. Przez kłębiącą się szarą mgłę słyszał dziwne wołanie, słabe i dalekie, i chociaż nie rozróżniał słów zdawało mu się, że nie może go zignorować. Z mieczem w ręku kroczył przez szary opar jak człowiek spacerujący wśród obłoków, a w miarę jak szedł głos stawał się wyraźniejszy, aż Conan zrozumiał słowa; to jego własne imię nadlatywało z bezdennych otchłani Przestrzeni i Czasu.

Mgła zrzędła i zobaczył, że znajduje się w długim, ciemnym korytarzu, wyraźnie wykutym ludzką ręką w twardej, czarnej skale. W tunelu było ciemno, lecz w jakiś magiczny sposób Conan wszystko dobrze widział. Gładkie ściany, sufit i podłoga lśniły matowo i były płaskorzeźbami starożytnych herosów i prawie zapomnianych bogów. Cymmerianin zadrżał widząc te gigantyczne figury i pojmując w jakiś niejasny sposób, że już od wieków stopy żadnego śmiertelnika nie przemierzały tego korytarza.

Dotarł do wykutych w litej skale szerokich schodów, których poręcz zdobiły ezoteryczne symbole — stare i tak przerażające, że dreszcz przebiegł mu po plecach. Na każdym stopniu był wyrzeźbiony odrażający wizerunek Starej Żmiji — Seta. Idąc, przy każdym kroku trzeba było postawić nogę na głowie Węża, tak jak to zaplanowano przed laty. Wiedząc o tym, Conan wcale nie poczuł się lepiej.

Głos przyzywał go nadal. Krocząc w ciemnościach, których nie zdołał by przeniknąć niczyje bystre oczy, barbarzyńca dotarł do ogromnej krypty i ujrzał dziwną, białobrodą postać siedzącą na sarkofagu. Conanowi włosy stanęły dęba, a ręka ściskająca miecz zadrżała, gdy postać przemówiła grobowym głosem.

— Czy poznajesz mnie, człowieku?

— Nie, na Croma! — zaklął król.

— Człowieku — rzekł starzec — jam jest Epemitreus.

— Przecież Epemitreus Mądry nie żyje od przeszło tysiąca lat! — wyjąkał Cymmerianin.

— Słuchaj! — mówił tamten. — Jak kamyk rzucony do czarnej sadzawki wywołuje kręgi rozchodzące się do brzegów, tak zdarzenia

zachodzące w Niewidzialnym Świecie wyrwały mnie z uśpienia. Dobrze ci się przyjrzałem, Conanie z Cymmerii i widzę w tobie zapowiedź ważnych wydarzeń i wielkiego dzieła. Jednak po ziemi krążą demony, przeciw którym nie poradzi twój miecz.

— Mówisz głupstwa — rzekł niepewnie Conan. — Niech tylko znajdę przeciwnika, a rozłupię mu czaszkę na dwoje.

— Zachowaj swoją złość dla wrogów z krwi i kości, barbarzyńco — odparł starzec. — To nie przed ludźmi chcę cię ostrzec. Są mroczne światy, których istnienia ludzie nie podejrzewają, krainy przemierzane przez potworne koszmary — bestie, przyzywane przez czarnoksiężników z Otchłani Ciemności, aby przybrawszy materialną postać, spełniały ich rozkazy. Masz węża w domu swego królestwa; jadowitą żmiję ze Stygii — człowieka, który posiadał wszystkie mroczne sekrety tajemnej wiedzy. Jak śpiącemu śni się pełznąca ku niemu żmija, tak ja czuję obrzydłą obecność sługi Seta. Upojony swą straszliwą władzą zadaje wrogom ciosy, które mogą wstrząsnąć twoim państwem. Wezwałem cię tutaj, aby dać ci oręż przeciw niemu i jego piekielnym pomocnikom.

— Ale dlaczego? — spytał z niedowierzaniem Conan. — Ludzie mówią, że śpisz w czarnym sercu Golamiry, skąd twój duch przybywa na niewidzialnych skrzydłach by pomóc Aquilonii w godzinach potrzeby, ale ja... ja jestem cudzoziemcem i barbarzyńcą.

— Zamilcz! — głos starca odbił się od sklepienia olbrzymiej jaskini głuchym echem. — Twoje przeznaczenie wiąże cię z Aquilonią. W łonie Losu rodzą się wielkie wydarzenia i żądny krwi czarownik nie stanie na drodze królewskiego przeznaczenia. Przed wiekami Set owinął się wokół świata jak pyton wokół swojej ofiary. Przez całe swoje życie, które było dłuższe niż żywot zwykłego śmiertelnika, walczyłem z nim. Wyparłem go do mrocznych krain tajemniczego Południa, lecz w Stygii lud wciąż oddaje cześć temu, który dla nas jest ucieleśnieniem zła. Tak jak walczyłem z Setem, zwalczałem też jego wyznawców, kapłanów i pomocników. Wyciągnij swój miecz.

Zdziwiony Conan uczynił to, a starzec nakreślił swym kościstym palcem dziwny symbol, płonący jak rozżarzone węgle na szerokim ostrzu, tuż przy srebrnej gardzie. W tej samej chwili wszystko znikło:

krypta, sarkofag i starzec, a zdumiony bezgranicznie Cymmerianin zerwał się ze swego łoża w komnacie o złocistym sklepieniu. Stojąc i otrząsając się z resztek snu uświadomił sobie, że ściska w dłoni miecz. Dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy ujrzał wyryty na szerokim ostrzu symbol — rysunek feniksa. Natychmiast przypomniał sobie, że taki sam znak widział na sarkofagu w podziemnej krypcie.

Stał tak, próbując uporządkować myśli, gdy cichy szmer przywrócił go do życia; nie tracąc czasu na dociekanie przyczyn, zaczął nakładać zbroję. Znowu stał się barbarzyńcą, podejrzliwym i czujnym jak szary wilk.

*O tanim blichtrze, podstępnie i zdradzie,  
cóż wiedzieć mi potrzeba?*

*Jam syn surowej ziemi, chowany pod dachem  
nieba.*

*Czar gładkich słówek i sofizmatów pryska*

*pod*

*miecza ciosem.*

*Dalej, psy — gińcie! — bo przywykłem za*

*bary*

*brać się z losem.*

(„Droga

Królów”)

## 5.

W ciszy zalegającej królewski pałac dwudziestu spiskowców przemykało się chyłkiem przez korytarze. Ich stopy, bose lub obute w miękkie ciżmy, nie robiły najcichszego dźwięku ani na grubych dywanach, ani na marmurowych płytach posadzki. Pochodnie wetknięte w żelazne kagańce na ścianach korytarzy rzucały krwawy blask, odbijający się w ostrzach mieczy, sztyletów i ciężkich toporów.

— Ciszej! — syknął Ascalant. — Kto tam tak głośno sapie? Przestać! Wprawdzie oficer nocnej straży wycofał z pałacu większość swoich ludzi, a resztę upił, ale musimy być ostrożni. Kryć się! Nadchodzi patrol!

Schowali się za rzędem rzeźbionych kolumn. Po chwili dziesięciu olbrzymich strażników w czarnych zbrojach przemaszerowało obok. Ich twarze zdradzały dręczące wątpliwości, tym niemniej szli za oficerem, który ściągnął ich z wyznaczonego posterunku. Oficer był błądy; gdy jego oddział mijał ukrytych za filarami spiskowców, ci zauważyli, że ręka, którą dowódca ociera pot z czoła, drży silnie. Był młody i zdrada nie przyszła mu łatwo. W duchu przeklinał ekstrawaganckie zachcianki, przez które zadłużył się u lichwiarzy i stał narzędziem w rękach knujących przewrót polityków.

Guardziści przeszli ze szczękiem i zniknęli w głębi korytarza.

— Dobrze! — uśmiechnął się Ascalant. — Sypialnia Conana została bez ochrony. Spieszcie się! Jeśli złapią nas na gorącym uczynku, to koniec z nami! Ale mało kto zechce bronić sprawy martwego króla...

— Tak, spieszymy się! — zawołał Rinaldo, a jego oczy miały barwę stali, którą potrząsał nad głową. — Moje ostrze pragnie krwi! Słyszę łopot zlatujących się sępów! Naprzód!

Ponieważ ostrożności przebiegli korytarz i stanęli przed rzeźbionymi drzwiami, na których widniał herb Aquilonii — złoty smok.

— Gromel! — warknął Ascalant. — Wyłam te drzwi!

Olbrzymi wojownik nabrał tchu w piersi i potężnie uderzył ramieniem w odrzwia, które z trzaskiem ugięły się pod ciosem.

Wojownik cofnął się i uderzył jeszcze raz. Rozległ się trzask pękającego drewna i wyłamywanych zamków; drzwi rozleciały się w drzazgi.

— Naprzód! — wrzasnął Ascalant, podniecony pomyślnym obrotem spraw.

— Naprzód! — zawtórował mu Rinaldo. — Śmierć Tyranowi!

Wpadli do środka i stanęli jak wryci. Nie stawiał im czoła nagi, oszołomiony i nieuzbrojony mężczyzna wyrwany ze snu, którego można by zaszlachtować jak barana, lecz zupełnie rozbudzony i odziany barbarzyńca w zbroi i z mieczem w garści.

Przez chwilę wszyscy stali nieruchomo niczym posągi; zarówno czterej zbuntowani szlachcice, jak i zgraja tłoczących się za ich plecami łotrów. Wszyscy zmrożeni widokiem gigantycznej postaci stojącej na środku oświetlonej blaskiem świec komnaty.

W tym momencie Ascalant dostrzegł na stoliku przy królewskim łożu insygnia władcy Aquilonii: srebrne berło i małą, złotą koronę. Ten widok doprowadził go do szaleństwa.

— Na niego, łotry! — wrzasnął. — On jest jeden, a nas dwudziestu! I nie ma hełmu!

Miał rację: Conanowi zabrakło czasu na założenie ciężkiego, zwieńczonego piórami hełmu, jak również na zasznurowanie pancerza czy zdjęcie ze ściany wielkiej tarczy. Mimo to był lepiej osłonięty niż jego wrogowie, z wyjątkiem Volmany i Gromela, którzy nosili zbroje.

Król spoglądał na nich rozognionymi oczyma, próbując zgadnąć kim są. Nie znał Ascalanta, a przyłbice zasłaniały twarze pozostałych dwóch szlachciców. Rinaldo zaś nasunął na oczy rondo kapelusza. Jednak nie było czasu na domysły. Zbójcy z rykiem rzucili się na ofiarę. Gromel był pierwszy. Runął jak szarżujący byk, z nisko opuszczoną głową i mieczem nastawionym do pchnięcia. Conan skoczył mu na spotkanie i z całej siły wymierzył cios. Długie ostrze ze świstem zatoczyło łuk w powietrzu i spadło na hełm Bossonianina. I hełm, i klinga pękły z trzaskiem, a Gromel bez życia potoczył się po posadzce. Conan odskoczył, ściskając w rękę złamany miecz.

— Gromel! — wykrztusił ze zdumieniem, gdy rozłupany hełm

odstłonił przeciętą na dwoje głowę: w tejże chwili zwała się na niego gromada spiskowców. Ostrze sztyletu rozorało mu żebra na spojeniu niezasnuowanego pancerza, a przed oczyma błysnął uniesiony do ciosu miecz. Cymmerianin lewą ręką odepchnął napastnika ze sztyletem i ręką i ręką ułamanego oręża uderzył, jak kastetem, w skroń drugiego przeciwnika. Mózg tamtego opryskał mu twarz.

— Pięciu do drzwi! — wrzasnął Ascalant, miotający się za plecami nacierających w obawie, że król przedrze się przez nich i umknie. Zbóje cofnęli się na moment, a ich przywódca pchnął kilku w kierunku drzwi. Ta krótka chwila przerwy wystarczyła Conanowi. Dосkoczył do ściany i zerwał z niej starożytny topór, który wisiał tam od pół wieku.

Oparłszy się plecami o ścianę spojrzął na zaciskający się krąg napastników, po czym skoczył w sam środek zgrai. Obrona nie leżała w jego naturze; nawet wobec przygniatającej przewagi przeciwników zawsze wolał być stroną atakującą. Każdy inny człowiek na jego miejscu musiałby zginąć, a i sam Cymmerianin nie żywił nadziei, że wyjdzie z tego z życiem, lecz pragnął przed śmiercią zabić jak najwięcej wrogów. Jego barbarzyńską duszę ogarnęła euforia, a w uszach dźwięczały mu pieśni o dawnych herosach.

Skacząc w ciżbę wrogów rozrąbał bark jednemu z nich i straszliwym, zamachowym ciosem rozłupał czaszkę innemu. Ostrza opadły ze świstem, lecz Cymmerianin szczęśliwie unikał śmierci. Błyskawicznymi ruchami dezorientował przeciwników; był jak tygrys wśród stada małych. Skacząc, uchylając się, schodząc z linii ciosów stanowił niezwykle trudny, wciąż poruszający się cel, a błyszczące ostrze jego topora otaczało go świetlistym kręgiem.

Na moment zabójcy przyparli go do muru, na oślep wymierzając potężne ciosy i przeszkadzając sobie wzajemnie, po czym cofnęli się pospiesznie odsłaniając na podłodze dwa nieruchome ciała — świadectwo wściekłości króla. Po tym starciu Conan solidnie krwawił z ran na szyi, ramionach i nogach.

— Łotry! — wrzasnął Rinaldo, ciskając na podłogę swój zwieńczony piórami kapelusz. — Boicie się walki? Czy tyran ma zostać przy życiu? Na niego!



Skoczył naprzód siekąc jak szalony, lecz Conan, rozpoznawszy go, jednym strasznym ciosem złamał mu miecz i pięścią powalił na podłogę. Ostrze broni Ascalanta wbiło się w lewe ramię króla.

Banita ledwo uszedł śmierci, uchylając się i w ostatniej chwili uskakując przed opadającym toporem. Zabójcy znów tłumnie zaatakowali Cymmerianina. Jego topór raz po raz unosił się i opadał ze świstem. Jeden z napastników zanurkował pod jego podniesionym ramieniem i złapał go za nogi usiłując wywrócić, lecz z równym powodzeniem mógłby wywracać wieżę z litego żelaza. Po krótkich zmaganiach spojrzął w górę w samą porę by dostrzec spadające ostrze, ale zbyt późno by go uniknąć. Tymczasem jeden z jego kompanów uderzył drugiego, oburęcznym mieczem, przecinając naramiennik króla. W jednej chwili pancierz Conana był pełen krwi.

Volmana, gwałtownie odpychając na boki atakujących, przedarł się przez pierścień otaczający króla i zadał mu morderczy cios w nieosłoniętą hełmem głowę. Cymmerianin schylił się, a świszcząca klinga ucięła tylko kosmyk jego czarnych włosów. Barbarzyńca okręcił się na pięcie i uderzył z rozmachem. Topór zgruchotał stalowy pancierz i Volmana osunął się na posadzkę z połamanymi żebrami.

— Volmana! — zachrypiał Conan. — Poznałbym cię w Piekło, ty karle!

Wyprostował się i odparł szaleńczy atak Rinalda, który szarżował wcale się nie osłaniając, uzbrojony jedynie w sztylet. Conan odskoczył w tył, unosząc topór.

— Rinaldo — krzyknął z rozpaczą. — Cofnij się! Nie chcę cię zabić!

— Giń, tyranie! — wrzasnął oszalały minstrel, rzucając się na króla. Conan zwlekał z zadaniem ciosu — trochę za długo. Dopiero gdy poczuł zimną stal sztyletu wbijającego się w nieosłonięty pancierzem bok, uderzył oburęcz.

Rinaldo padł ze strzaskaną czaszką, a Conan ciężko oparł się o ścianę. Krew ciekła mu między palcami dłoni, którą zaciskał ranę.

— Teraz, naprzód, zabić go! — krzyknął Ascalant.

Opierając się plecami o ścianę, Cymmerianin wzniósł topór do ciosu. Stał z pochyloną głową, na rozstawionych szeroko nogach,

niczemu uosobienie niespożytej, prymitywnej siły. Jedną ręką opierał się o mur, w drugiej zaciskał okrwawiony oręż. Na ramionach nabrzmiały mu potężne węzły mięśni, a twarz zastygła w grymasie straszliwej wściekłości. Tylko oczy płonęły jasno w bladej twarzy zalewanej krwią z rozciętego czoła. Napastnicy zawahali się, bo choć byli to dzicy, nieustraszeni zbroje, dla których przelewanie krwi było zwyczajną rzeczą, to jednak należeli do rasy uważanej za cywilizowaną. On zaś był barbarzyńcą, urodzonym zabójcą. Cofnęli się lekliwie: zdychający tygrys nie przestaje być niebezpieczny.

Conan wyczuł ich niepewność. Uśmiechnął się złowrogo.

— Kto chce umrzeć pierwszy? — wycedził przez rozbite i skrwawione wargi. Ascalant skoczył jak ryś i z nieprawdopodobną szybkością zatrzymał się w pół skoku. Padając na wznak uniknął śmiercionośnego ostrza. Gwałtownie podkurczył nogi i przetoczył się w bok, zanim odzyskał równowagę i uderzył ponownie. Tym razem topór wbił się w podłogę w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowały się nogi Ascalanta.

Inny napastnik omyłkowo uznał to za dogodny moment do ataku, a za nim, ociągając się, ruszyli pozostali. Zamierzali zabić króla zanim zdoła wyszarpnąć wbity w podłogę topór, ale nie docenili siły i szybkości Cymmerianina. Zbroczone ostrze uniosło się i opadło błyskawicznie, rzucając pod nogi atakujących kolejnego trupa.

Nagle pilnujący drzwi spiskowcy wydali przeraźliwy krzyk. Na korytarzu pojawił się czarny, niekształtny cień. Pozostali napastnicy odwrócili się jak jeden mąż, po czym wyjąc z przerażenia wypadli z komnaty i rozbiegli się na wszystkie strony.

Tylko Ascalant nie spojrział w kierunku drzwi; nie odrywał oczu od rannego króla. Osądził, że odgłosy walki w końcu postawiły na nogi mieszkańców pałacu i zaalarmowały wierną straż. Wydało mu się jednak nieco dziwne, że jego zahartowani w walce rabusie tak strasznie wrzeszczeli uciekając.

Conan nie patrzył w stronę drzwi, ponieważ czujnie jak wilk przyglądał się banicie. Nawet w tej ostatniej godzinie Ascalanta nie opuszczał filozoficzny spokój.

— Wygląda na to, że wszystko stracone, zwłaszcza honor — mruknął pod nosem. — Jednak król umiera i...

Nie wiadomo co chciał powiedzieć, bo nie dokończywszy zdania skoczył na Conana w chwili gdy ten ocierał ramieniem spływającą z czoła krew. W tej samej chwili coś śmignęło w powietrzu i z potworną siłą uderzyło go w plecy. Ascalant runął jak długi. Straszliwe pazury wbiły się w jego ciało. Wijąc się rozpaczliwie pod ciężarem napastnika zdołał odwrócić głowę i spojrzął przez ramię w ohydne ślepie. Pochylał się nad nim bezkształtny stwór, jakiego nigdy jeszcze nie oglądały ludzkie oczy. Wyszczерzone kły sięgnęły do gardła ofiary, a żółto błyszczące ślepie paraliżowały swym spojrzeniem tak, jak zimny wiatr ścina młode kielki. Odrażające rysy wykrzywił ohydny grymas triumfu. Taką twarz mogłaby mieć starożytna mumia, ożywiona sztuką czarnoksięską. W obrzydliwym obliczu zachodzące bielmem oczy Ascalanta zdawały się dostrzegać niewyraźne podobieństwo do Thoth–Amona.

Nagle filozoficzny spokój opuścił banitę i Ascalant z okropnym okrzykiem wyzionął ducha, zanim jeszcze wyszczерzone kły rozdarły mu gardło.

Conan otarł krew ściekającą z czoła i zamarł, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. W pierwszej chwili wydało mu się, że nad skurczonym ciałem Ascalanta stoi ogromny, czarny pies. Później rozjaśniło mu się w oczach i stwierdził, że nie jest to ani pies, ani goryl.

Z dzikim okrzykiem, który był słabym echem przedśmiertnego wrzasku banity, Cymmerianin odepchnął się od ściany i z całej siły cisnął topór w gotującego się do skoku potwora. Broń odbiła się od czaszki, którą powinna była ruszyć, a impet zderzenia z olbrzymim cielskiem rzucił Conana z powrotem pod ścianę. Okropne szczęki zacisnęły się na ramieniu, którym osłonił gardło, ale demon nawet nie próbował poprawić chwytu. Spojrzął tylko królowi w oczy i natychmiast na twarzy Cymmerianina pojawił się taki sam grymas przerażenia, jaki wykrzywił rysy martwego banity. Barbarzyńca poczuł, że dusza w nim zamiera szykując się do opuszczenia ciała i zatonięcia w bezdennych otchłaniach kosmicznej grozy — żółtych studniach ślepi ziejących wśród bezkształtnego koszmaru. Potęgująca zgroza zagrażała zdrowym zmysłom i życiu barbarzyńcy. Ślepie powiększały się, robiły wprost gigantyczne. Cymmerianin

znalazł w nich prawdę niezgłębionych czeluści, mrocznych głębi; niewiarygodną i straszną. Otworzył usta aby wykrzyknąć swą wzdargę i wściekłość, ale z gardła wydobył mu się tylko niewyraźny bełkot.

Jednak koszmarowy stwór, który sparaliżował i zabił Ascalanta, — wzbudził w barbarzyńcy szaloną wściekłość. Tytanicznym skurczem wszystkich mięśni targnął się w tył i nie zwracając uwagi na ból rozdieranego ramienia, powłókł demona za sobą. Wyciągnięta ręka króla zacisnęła się na czymś, co mimo oszołomienia spowodowanego upływem krwi, rozpoznał jako swój złamany miecz. Zamachnął się i dźgnął nim jak sztyletem, wkładając w cios resztę sił jakie mu pozostały. Złamane ostrze wbiło się głęboko, a okropna paszczeka rozdziawiła się z bólu, uwalniając ramię Conana. Upadłszy na bok, król podniósł się na łokciu i jak przez mgłę zobaczył, że stwór wije się w agonii, a z wielkiej rany jaką mu zadał, płynie gruby strumień posoki. W chwilę potem skurcze ustały i demon legł na posadzce, dygocząc spazmatycznie i wybałuszając zasnuwające się mgłą ślepią.

Barbarzyńca zamrugał wycierając krew zalewającą oczy. Miał wrażenie, że stwór topi się niczym masło na słońcu, zamieniając się w mazistą, półpłynną masę.

Po chwili Conan usłyszał bezładny chór głosów i w komnacie zaroilo się od zaalarmowanych odgłosami walki dworzan: rycerzy, panów, dam, gwardzistów i doradców — a wszyscy gadali, wrzeszczeli i kłócili się ze sobą. Kilku żołnierzy z Legionu Czarnych Smoków też tam było; klnąc i wygrażając wściekle, zgrzytając zębami i łapiąc za rękojeści swoich mieczów. Młodego oficera straży nigdzie nie było widać. Nie znaleziono go też później, a nie można powiedzieć, że szukano niedokładnie.

— Gromel! Volmana! Rinaldo! — wykrzyknął Publiusz, radca dworu, załamując nad trupami pulchne ręce. — Nędzni zdrajcy! Ktoś za to zapłaci! Wezwać straż!

— Straż już tu jest, stary durniu! — uprzejmie zgasił go Callantides, dowódca Czarnych Smoków, w ferworze zapominając o randze Publiusza. — Lepiej przestań miauczeć i pomóż opatrzeć królowi rany. Może się wykrwawić na śmierć.

— Tak, oczywiście! — krzyknął Publiusz, który był raczej organizatorem niż człowiekiem czynu. — Musimy opatrzeć rany.

— Wezwać medyków! Och, panie mój, cóż to za wstyd dla miasta! Czyżby naprawdę cię zabito?

— Wina! — jęknął król z sofy, na której go położono. Przytknięto mu puchar z winem do okrwawionych ust, a on pił chciwie, jak człowiek półżywy z pragnienia.

— Dobrze — mruknął, opadając na poduszki. — Zabijanie to strasznie wysuszające zajęcie.

Zatamowano krew płynącą mu z ran i po chwili niespożyta żywotność barbarzyńcy dała o sobie znać.

— Najpierw obejrzyjcie ranę od sztyletu w moim boku — polecił medykom. — Rinaldo wypisał tam swój ostatni żalobny tren, i to ostrym rylcem.

— Już dawno powinienes go powiesić — mamrotał Publiusz. — Po poetach nie można się spodziewać niczego dobrego... A to kto?

Nerwowo trącił obutą w sandał stopę trupa Ascalanta.

— Na Mitrę! — wykrztusił dowódca Czarnych Smoków. — To Ascalant, dawny książę Thune! — Cóż za diabelski spisek ściągnął go tu z pustynnych komyszy?

— I dlaczego ma taki grymas na twarzy? — szepnął Publiusz, szeroko otwierając oczy i cofając się z lękiem. Inni także spojrzeli na martwego banitę i umilkli.

— Gdybyś widział to co ja widziałem — warknął król Conan siadając na łożu mimo protestów medyków — wcale byś się nie dziwił. Spójrz na...

Cymmerianin urwał w pół słowa i rozdziawił usta. Palcem wskazał puste miejsce na podłodze. Potwór znikł.

— Na Croma! — zaklął barbarzyńca. — Ten demon rozpląnął się chyba w powietrzu, tak jak przybył!

— Król majaczy... — szepnęli dworzanie.

Conan usłyszał to i zaczął kląć w barbarzyńskim języku.

— Na Badba, Morigana, Macha i Nemaina! — wrzasnął z wściekłością. — Jestem zdrow na umyśle! To coś było jak skrzyżowanie stygijskiej mumii z gorylem. Zjawilo się znienacka i zbóje Ascalanta umknęli przed nim jak szczury. Zabiło Ascalanta

zanim zdążył mnie wykończyć. Później rzuciło się na mnie i zdołałem je zabić — chociaż nie wiem jak, bo mój topór odbił się od jego łba jak od skały. Wydaje mi się, że pomógł mi Epemitreus Mądry...

— Posłuchajcie tylko jak mówi o Epemitreusie, który nie żyje od pięciu stuleci! — szeptali między sobą dworzanie.

— Na Ymira! — ryknął król. — Tej nocy rozmawiałem z Epemitreusem! Wezwał mnie gdy spałem i poszedłem czarnym korytarzem, na ścianach którego widniały płaskorzeźby dawnych bogów, po kamiennych stopniach z wrytymi podobiznami Seta, aż dotarłem do krypty i sarkofagu ze znakiem feniksa...

— Na Mitrę, błagam cię królu, zamilcz! — krzyknął arcykapłan Mitry z twarzą szarą jak popiół.

Conan potrząsnął głową jak lew wstrząsa grzywą i w jego głosie pojawiły się groźne nuty.

— Czyż jestem niewolnikiem, aby milknąć na twój rozkaz?

— Ależ nie, nie, mój panie! — arcykapłan trząśł się, lecz nie ze strachu przed królewskim gniewem. — Nie chciałem cię obrazić.

Nachylił głowę do ucha króla i zaczął szeptać:

— Panie mój, to przechodzi ludzkie pojęcie. Tylko wąski krąg wtajemniczonych kapłanów wie o czarnym korytarzu wykutym w sercu góry Golamiry i o strzeżonym przez feniksa sarkofagu, w którym przed piętnastoma wiekami złożono Epemitreusa. Od tej pory żaden żywy człowiek nie wszedł do grobowca. Kapłani, których wybrał, złożyli Mędrca w krypcie, po czym zamaskowali wejście tak, że nikt nie zdoła go odnaleźć. Dziś nawet arcykapłani nie wiedzą, gdzie go szukać. Tylko dzięki ustnym przekazom, znanym nielicznym wtajemniczonym kapłanom i zazdrośnie strzeżonym, wyznawcy Mitry wiedzą, że to czarne serce góry Golamiry jest miejscem spoczynku Epemitreusa. To jedna z tajemnic, na jakich opiera się kult Mitry.

— Nie wiem w jaki czarodziejski sposób wezwał mnie do siebie — odparł Conan — ale rozmawiałem z nim i nakreślił znak na ostrzu mego miecza. Nie wiem dlaczego ten znak uczynił broń zabójczą dla demona ani co oznaczał, lecz chociaż ostrze złamało się na głowie Gromela, sam ułomek wystarczył aby; potwora.

— Pozwól mi obejrzeć twój miecz — szepnął Epemitreus przez ściśnięte gardło.

Cymmerianin podał mu złamany oręż. Arcykapłan krzyknął i osunął się na kolana.

— Strzeż nas Mitro przed Siłami Ciemności! — wykrztusił. — Król naprawdę rozmawiał tej nocy z Epemitreusem! Tu, na mieczu, widnieje sekretny znak, którego nikt inny nie mógł wyryć: symbol nieśmiertelnego feniksa, odwiecznego strażnika jego grobowca! Świecę, szybko! Spójrzcie jeszcze raz tam, gdzie według króla powinien leżeć ten gobelin!

Odsunięto na bok połamany parawan i zapalono więcej świec. Spojrzeli na posadzkę i zamilkli jak rażeni gromem. Później ktoś upadł na kolana głośno wzywając, a ktoś inny wypadł z wrzaskiem z komnaty.

W miejscu gdzie zginął potwór, na posadzce, czerniała wielka plama — niczym czarny cień okropnego cielska, niepodobnego do żadnego ziemskiego stworzenia. Ponury i ohydny był to cień — jak odbicia jednego z małych bogów zasiadających na ołtarzach zapomnianych świątyń tajemniczej Stygii.

**LORD DUNSANY**  
**MARZYCIEL**



## O Autorze

*Lord Dunsany — właściwe nazwisko Edward John Moreton Drax Plunkett (1878–1957) — irlandzki dramaturg i powieściopisarz, urodził się w Londynie, w rodzinie irlandzkiej, jako syn siedemnastego barona Dunsany. Odebrał staranne wykształcenie w Cheam, Eton i Sandhurst, tytuł barona odziedziczył w roku 1899. Podczas wojny burskiej służył w elitarnej Coldstream Guard, podczas I wojny światowej walczył w piechocie. Autor przeszło sześćdziesięciu książek. W latach 1905–1919 opublikował osiem zbiorów opowiadań zaliczanych do gatunku fantastyki baśniowej.*

*Pierwszym był zbiór opowiadań „The Gods of Pegana”, w którym przedstawił własną mitologię świata wymyślonych krajów i władców. Następnymi książkami były: „Time and the Gods” (1906), „The Sword of Welleran” (1908), „A Dreamer’s Tales” (1910), „The Book of Wonder” (1912), „Fifty One Tales” (1915), „Tales of Wonder” (1916), „Tales of Three Hemispheres” (1919). Utwory te są krótkie i zwarte w formie, pisane wysmakowanym językiem i lekkie w stylu, czasami wywołujące nastrój irracjonalnej grozy. Utwory te nie znalazły uznania u współczesnych autorowi krytyków. Z powodu niezbyt przychylnego przyjęcia przez krytykę oraz pod wpływem przeżyć wojennych autor zarzucił pisanie opowiadań fantastycznych na rzecz dłuższych form literackich i sztuk teatralnych. Napisał jeszcze dwie powieści osadzone w realiach fantastycznych, z których bardziej znaną jest „The King of Elfland’s Daughter”. W późniejszym okresie twórczości pisał głównie sztuki teatralne. Jego znaczenie dla historii literatury fantasy opiera się głównie na tym, iż jako pierwszy podchwycił i rozwinął Pomysł Williama Morrisa — osadzenia akcji w fikcyjnym świecie (W. Morris zrobił to w swojej książce „The Wood Beyond the World”, 1885). Utwory Lorda Dunsany’ego wywarły znaczący wpływ na twórczość takich pisarzy jak H. P. Lovecraft, J. B. Cabell, C. A. Smith i R. E. Howard.*

## WĘDROWIEC W KRAINIE MARZEŃ

Świat marzeń sennych i halucynacji, tak jak i nasz codzienny, ma swoją geografę. Piękne miasta i spokojne wsie, niedostępne góry i przyjazne doliny, knieje i bory, rzeki i morza.

Wraz z bohaterem opowiadań przemierzamy jakże obce a zarazem bliskie krajobrazy. Zupełnie odmienne od tego, co spotykamy w naszym świecie, a jednocześnie bardzo bliskie temu co przez całe życie śnimy.

Rzeka Yann, miasto Perdóndaris leżące gdzieś za krainą zamieszkałą przez elfów oraz pałac z kości słoniowej Singanee — łowcy słoni to bajeczni bohaterowie prezentowanych tu opowiadań. Wyśnione i wymarzone czy jedynie rzeczywiste i prawdziwe. Czy rzeka Yann płynie jedynie w świecie marzeń bohatera opowiadań, czy wręcz odwrotnie, to on jest wyśniony przez mieszkańców baśniowej dziedziny?

## BEZTROSKE DNI NA RZECIE YANN IDLE DAYS OF THE YANN

Zszedłem przez las nad rzekę Yann. Zobaczyłem, jak zostało przepowiedziane, że statek „Ptak Rzeczny” odbija już prawie od brzegu.

Kapitan siedział na białym pokładzie, położywszy obok swój bułat w wysadzonej diamentami pochwie. Marynarze zaś uwijali się by postawić statek w głównym nurcie Yann. Przez cały czas śpiewali stare, kojące pieśni. Wieczorny wiatr schodząc z górzystej, okrytej śniegiem krainy dalekich bogów, powiał nagle chłodem, nadlatując niczym dobra wieść do niespokojnego miasta.

Gdy wpłynęliśmy w główny nurt, marynarze opuścili co większe żagle, ja zaś poszedłem przywitać się z kapitanem i spytać go o cuda i objawienia się najświętszych bogów w krainie, z której był powrócił. Kapitan odparł, że przybywa z pięknego Belzoonu, gdzie czcił bogów najmniejszych i najpokor — niejszych, którzy rzadko piorun czy zarazę zsyłają i łatwo je jakąś małą bitwą ugłaskać. Powiedziałem mu, że pochodzę z Irlandii, która leży w Europie, z czego kapitan i jego załoga bardzo się śmieli, mówiąc:

— Nie ma takich miejsc w całej Krainie Snów.

Gdy przestali ze mnie drwić wyjaśniłem, że moja fantazja zamieszkuje głównie na pustyni Cuppar — Nombo, opodal pięknego miasta zwanego Przeklętym Golthoth, którego strzegły tylko wilki i ich szare cienie, które opuszczone było od wielu lat z powodu klątwy jaką bogowie w gniewie niegdyś rzucili i której cofnąć już nie mogą. Czasem sny wiodły mnie aż do Pungar Vees, miasta o czerwonych murach i wielu fontannach, które prowadzi handel z wyspami Thul. Kiedy to usłyszeli, wyrazili podziw dla krainy mej fantazji mówiąc, że choć miast tych nigdy nie widzieli, to jednak łatwo mogą je sobie wyobrazić. Przez resztę wieczoru targowałem się z kapitanem o sumę jaką winienem mu zapłacić, jeśli Bóg i prąd rzeki Yann bezpiecznie miały nas donieść do skał stojących nad brzegiem morza, zwanych „Bar — Wull — Yann”, co oznacza „Brama Yann”.

Końce już zaszło i wszystkie możliwe barwy świata i niebios odchodziły, Pasając wraz z nim. Jedna po drugiej ustępowały przed nadciągającą nocą... Papugi odleciały do swych gniazd po obu stronach rzeki, małpy usadowione rzędami na wysokich gałęziach drzew były ciche i śpiące, świetliki w głębi lasu polatywały w górę i w dół, a ogromne gwiazdy wzeszły, by spojrzeć na oblicze Yann. Wtedy marynarze zapalili latarnie i porozwieszali je wokół pokładu Światło rozbłysło tak nagle, że kaczki szukające pożywienia przy błotnistych brzegach zerwały się do lotu, zataczając szerokie koła w powietrzu. Ujrzał; zapewne miejsce, gdzie niknie w oddali Yann i dostrzegły białą mgłę, którą miękko otula dżunglę, nim powróciły na swe bagniska.

Marynarze tymczasem klękali na pokładzie i zaczęli się modlić. Czynili to w grupach po pięciu lub sześciu, jako że byli różnych wyznań. Dbając o to, żaden z bogów nie słyszał dwóch modlących się doń jednocześnie, gdy tylko któryś zakończył modły, zaraz następny, wyznający tę samą wiarę, zajmował jego miejsce. Klęczeli w rzędach pochylając głowy pod łopoczącym żaglem, podczas gdy główny nurt rzeki Yann niósł ich ku morzu, a słowa modlitw wznosiły się ku gwiazdom.

Za nimi, na rufie, sternik odmawiał głośno modlitwę, którą odmawiają wszyscy tej profesji pływający po Yann, niezależnie od tego, jaką wyznają wiarę. Kapitan zaś modlił się do swych pomniejszych bogów, którzy sprawują pieczę nad Belzoondem.

Ja także poczułem potrzebę modlitwy. Nie chciałem jednak modlić się do zazdrosnego Boga tam, gdzie ci mali, dobrotliwi bogowie — tak ukochani przez pogan, byli pokornie wzywani. Pomyślałem więc o Sheol Nugganothu, którego ludzie dżungli już dawno opuścili, pozostawiając bez wyznawców i w samotności — do niego się właśnie modliłem.

Yann w swej wspaniałości niosła nas naprzód. Była wezbrana od topniejących śniegów, które Poltiades przysłał jej z gór Hap; podobnie Maru i Migris nabrzmiące były od wód. Tak mocą swą przeniosła nas obok Kyph i Pir, aż ujrzeliśmy światła Goolunzy.

Wkrótce wszyscy zapadliśmy w sen. Wszyscy prócz sternika, który utrzymywał statek w głównym nurcie rzeki, śpiewem dodając

sobie odwagi.

Wiedzieliśmy, iż wkrótce dotrzemy do Mandaroonu. Rankiem, spożywając posiłek, dostrzegliśmy jego kontury. Kapitan wydał rozkazy i marynarze znów zwinęli większe żagle; statek skrzył porzucając główne nurty Yann i zawinął do portu pod zrudziałymi murami Mandaroonu. Gdy uzupełniano zapasy podszedłem do bram miasta. Wokół wznosiło się kilka chat, w których mieszkały straże. Przy bramie stał wojownik z długą, siwą brodą, uzbrojony w dzidę pokrytą rdzą. Nosił wielkie okulary — całe zakurzone. Spoglądając przez bramę widziałem miasto. Zalegała w nim śmiertelna cisza. Ulice zdawały się być nieuczęszczane, a progi domostw porastał gruby mech. Na rynku leżały jakieś postacie, pogrążone jakby we śnie. Zza bramy doszedł mnie, niesiony wiatrem, zapach kadzidła; kadzidła i palonych makowin. Słysząc też było echa odległych dzwonów.

— Dlaczego oni wszyscy śpią? — zapytałem strażnika.

— Nikomu nie wolno zadawać pytań przy tej bramie, aby nie zbudzić mieszkańców miasta. Gdy oni się zbudzą, to umrą bogowie. A gdy bogowie umrą, ludzie śnić nie będą mogli — odparł.

Kiedy chciałem się dowiedzieć jakich bogów czczono w tym mieście — nic mi nie powiedział, tylko groźnie potrząsnął dzidą. Zostawiłem więc go i wróciłem na „Ptaka Rzecznego”.

Zaiste, piękne było Mandaroon ze swymi białymi wieżyczkami wyrastającymi zza ognistych murów i z zielenią miedzianych dachów.

Gdy wszedłem na pokład stwierdziłem, że marynarze uzupełnili już braki w magazynach. Niebawem też podnieśliśmy kotwicę i pożeglowaliśmy dalej. Słońce zbliżało się do zenitu, a po Yann niosła się pieśń tych niezliczonych miriadów chórów, które towarzyszą jej gdy opływa świat. Małe, wielonogie stworzonka rozpostarły swe przeźroczyste skrzydełka na wietrze i kołysząc się w powietrzu, tańczyły szybki i zawiły taniec lub umykały na bok przed lejącą kroplą wody, którą wiatr strącił z dzikiej orchidei i chłodząc powietrze niósł, póki rozpędzona i furkocząca nie spadła na ziemię. „Bo ten dzień należy do nas” — zdawały się nucić radośnie. — „Czy nasz wielki i święty ojciec — Słońce przyniesie więcej podobnego

nam życia z moczarów, czy też dzisiejszej nocy świat cały przestanie istnieć?”

Śpiewały wszystkie; zarówno te, których granie słyszało ludzkie ucho, jak i te — o wiele liczniejsze — jeszcze człowiekowi nie znane. Dla nich deszczowy dzień jest jak długa wojna, trwająca całe życie i pustosząca lądy.

Z mrocznej i parnej dżungli wyleciały też olbrzymie i leniwe motyle, by cieszyć się i radować Słońcem. Rozpoczęły swój taniec, lecz płąsały jak gdyby z musu, poddając się prądom powietrza, harde niczym królowa odległego, podbitego kraju, która żyjąc w ubóstwie na wygnaniu, musi tańczyć w jakimś cygańskim obozie, by zarobić na chleb. Gdy tylko otrzyma zapłatę, duma nie pozwala jej tańczyć ani chwili dłużej.

Motyle śpiewały o dziwnych, malowanych rzeczach, o purpurowych kwiatach, o zaginionych różowych miastach i o okropnych barwach butwiejącej dżungli. One również należały do stworzeń, których głosu nie wychwyci ludzkie ucho. Gdy tak przemykały nad rzeką, ich przepych napotykał wrogie im piękno ptaków, które śmigają ścigając je. Czasem, niedoszące ofiary, przysiadają na białych j woskowatych kwiatach rośliny, która wije się i wspina pośród drzew. Wówczas ich purpurowe skrzydła skrzyły się na białym kwieciu tak jak wtedy, gdy karawany ciągnące z Nurl do Thace lśnią na śniegu niczym jedwabie rozwijane przez przebiegłych kupców po to, aby zadziwiać górali ze wzgórz Noor.

Wkrótce słońce zesłało senność na ludzi i zwierzęta. Rzeczne potwory leżały drzemiąc w mule wzdłuż brzegów. Marynarze rozbili dla kapitana duży namiot zdobiony złotym ornamentem, a sami schronili się pod rozwieszony między masztami żagiel. Rozprawiając o swoich miastach lub cudach swego boga, wszyscy posnęli. Kapitan zaproponował mi cień swego złotem zdobionego u; tam wiedliśmy rozmowę. Opowiadał, że wiezie towary do Perdónaris, a w powrotnej drodze zabierze do pięknego Belzoondu rzeczy przydatne morzu. Przyglądając się przez wejście namiotu wspaniałym ptakom i motylom przelatującym tam i z powrotem — również zapadłem w sen. Śniłem, że jestem monarchą wjeżdżającym do stolicy. Wokół mnie łopoczą choraćwie, a wszyscy muzycy świata grają dla mnie

pięknie, lecz nikt nie wiwatuje.

Po południu, gdy zrobiło się chłodniej, obudziłem się. Zobaczyłem, że kapitan przypasuje bułat, który odpiął na czas odpoczynku.

Zbliżaliśmy się do otwartych na rzekę podwoi Astahahn. Do stopni przycumowano łańcuchami dziwne, stare łodzie. Podpłynawszy bliżej ujrzeliśmy otwarty, marmurowy dziedziniec, którego arkady z trzech stron stykały się z miastem. Wewnątrz przechadzali się mieszkańcy, pełni troski i powagi, zgodnie z pradawnym zwyczajem. Samo miasto też wydawało się stare, zdobione wiekowymi rzeźbami domy stały nienaprawiane od lat, wszędzie pełno było kamiennych bestii, które dawno już opuściły Ziemię — smoków, gryfów, hippogryfów i różnych chimery. W całym Astahahnie nie znalazłbyś niczego — zarówno w zwyczajach, jak i pośród rzeczy — co byłoby współczesne.

Kiedy szliśmy nikt nie zwracał na nas uwagi. Dalej odprawiano ceremonie, co marynarze przyjmowali bez zdziwienia. Zapytałem jednego z mieszkańców, czym zajmował się lud Astahahnu, z kim handlował.

— Myśmy Czas schwytali i zakuli w kajdany, bo inaczej zabiłby on bogów — usłyszałem w odpowiedzi.

Zapytałem więc jakich bogów czcili w tym mieście.

— Wszystkich tych, których Czas jeszcze nie uśmiercił — odrzekł i odwróciwszy się ode mnie, nic więcej nie powiedział, lecz czynił dalej tak, jak nakazywał mu starodawny obyczaj. My zaś, posłuszni woli Yann, popłynęliśmy dalej, zostawiając Astahahn za sobą. Poniżej miasta rzeka rozlewała się szerzej. Więcej tu było cudownie ubarwionych ptaków, które żywią się rybami.

Nadchodził wieczór. Na rzece pojawiła się gęsta, biała mgła, wolno unosząca się. Długimi, niewidzialnymi ramionami oplatała drzewa, wznosząc się coraz wyżej i wypełniając powietrze chłodem. Białe opary zanurzały się w dżunglę, a dusze marynarzy szukały w ciemnościach złych duchów, które dawno temu zniszczyły ich statki.

Kiedy słońce zaszło za polem orchidei porastających splecione korony drzew, rzeczne potwory wychodziły z błota, w którym się skryły, by przeczekać skwar dnia. Podobnie zwierzęta z dżungli,

spragnione chłodu rzeki. Tylko motyle wcześniej udały się na spoczynek. Wydawało się, że noc zapadła już nad małymi dopływami, które mijaliśmy, mimo iż słońce, choć niewidoczne, jeszcze całkowicie nie zaszło.

Spostrzeżyliśmy leśne ptaki lecące wysoko nad nami, których piersi lśniły różowo od słonecznego blasku. Gdy tylko zauważyły Yann zaraz obniżyły lot i zapadły między drzewa. Inne poświstywały lecąc w górę rzeki wielkimi stadami, by nieoczekiwanie zatoczyć krąg i zawrócić. Obok nas przemknęła mała, śmigła jak strzała cyranka, słyszeliśmy też odgłosy gęsich stad, które — jak twierdzili marynarze — niedawno przefrunęły nad szczytami Lispu. Corocznie przebywały tę sarną drogę, mijając z prawej strony szczyt Mluna.

Niebawem ściemniło się na dobre. Ptaków nie mogliśmy już dostrzec — słyszeliśmy tylko szum ich skrzydeł, gdy przelatywały nam nad głowami.

Nastąpiła godzina, gdy budzą się ptaki nocy. Marynarze zapalili latarnie i natychmiast wokół statku pojawiły się wielkie, trzepoczące ćmy. Przez chwilę można było ujrzeć w świetle ich wspaniałe barwy, zanim odleciały w mrok i ciemność.

Później nocną ciszę przerwały już tylko słowa marynarskiej modlitwy, po czym udaliśmy się na spoczynek, oddając nasze życie pod opiekę sternika.

Budząc się stwierdziłem, że przybyliśmy do słynnego miasta Perdóndaris. Leżało na lewo od nas, znaczne i wspaniałe: widok tym miłszy dla naszych oczu, że długo przebywaliśmy w dżungli.

Rzuciliśmy kotwicę przy targowisku, a kapitan polecił wyłożyć towary, które kupiec z Perdóndaris zaczął oglądać. Kapitan trzymając w ręku bułat gniewnie uderzał nim w pokład, aż drzazgi leciały z białych desek. Czynił tak dlatego, że kupiec ofiarował zapłatę, którą kapitan uznał za zniewagę dla siebie i swoich bogów, którzy — jak oznajmił — są wielcy i straszliwi, i których klątwy należy się obawiać. Kupiec tylko machał pulchnymi rękami przysięgając, że nie myśli o sobie, lecz o mieszkających za miastem biedakach, którym jak najtaniej pragnie towary te sprzedać, nie czerpiąc z tego żadnej korzyści. Ofertę stanowiły głównie grube toomarundowe koce, w zimie chroniące przed chłodem ciągnącym



od podłogi oraz tollub, zastępujący tytoń. Kupiec przekonywał, że jeśliby zaproponował choć o piffeka więcej, wtedy ci biedacy zimową porą będą musieli się obejść bez toomarundów, wieczorami bez ulubionego tollubu, a jego starzy rodzice umrą z głodu. To usłyszawszy kapitan przyłożył sobie bułat do gardła mówiąc, że jest zrujnowany i teraz już tylko śmierć mu pozostała. Kupiec raz jeszcze zerknął na towary i rzekł, że pierwiej on i jego stary ojciec zemrą z głodu, nim pozwoli by tak znamienity kapitan, człowiek, którego od pierwszego wejrzenia obdarzył uczuciem, umarł. Tym samym dorzucił do ceny piętnaście piffeków.

Kapitan, gdy to usłyszał, padł na twarz i wniósł modlitwę do swoich bogów, aby zmiękczyli twarde serce kupca. Ten zaś dodał jeszcze pięć piffeków, na co kapitan zareagował płaczem ubolewając, że bogowie odwrócili się od niego. Nie mniej rozpaczął też kupiec, odwołując się do pamięci o starym ojcu i ich wspólnej nędzy. Skrywał w dłoniach zalaną łzami twarz, zerkając przez palce na tallub. Jednak targ został dobity. Kupiec zabrał toomarund i tallub płacąc za nie z wielkiej, brzęczącej kiesy. Towar znów zwinięto w bele i trzech niewolników poniosło go do miasta. Przez cały ten czas marynarze siedzieli półkołem na Pokładzie, w milczeniu i skupieniu przyglądając się targom. Teraz dał się wśród nich słyszeć szmer podziwu i zaczęli między sobą porównywać ten interes z innymi, które widzieli wcześniej. Dowiedziałem się od nich, że w Perdóndaris jest siedmiu kupców, z których każdy odwiedził kapitana przed rozpoczęciem targów, ostrzegając go przed pozostałymi. Wszystkim kapitan proponował wino z jego kraju, lecz żadnego nie zdołał na nie namówić. Teraz, gdy było już po wszystkim i marynarze zasiedli do pierwszego w tym dniu posiłku, kapitan pojawił się wśród nich z antalkiem tegoż właśnie wina i otworzył go ostrożnie. Weseliliśmy się wspólnie, a kapitan radował się szczególnie, widząc w swoich ludzi podziw z powodu tak udanej transakcji. Marynarze popijając wino z ojczystego kraju wrócili niebawem myślami do pięknego Belzoondu oraz sąsiadujących z nim miasteczek: Durl i Duz.

Mnie natomiast kapitan nalał szklaneczkę innego wina. Było gęste i słodkie jak miód, miało w sobie potężną, ognistą moc, którą brało w

posiadanie ludzką duszę. Dowiedziałem się, że zrobili je niezwykle starannie, sekretnym sposobem, mieszkańcy gór Hian Min. W górach tych kapitan tropił niegdyś niedźwiedzia. Pewnego razu napotkał człowieka, który polował na to samo zwierzę. Tamten stał właśnie na krańcu wąskiej ścieżki kończącej się przepaścią; jego włócznia tkwiła w boku zranionego niedźwiedzia. Góral nie miał innej broni. Rozwścieczone zwierzę zbliżało się doń wolno, dokuczała mu rana — był już bardzo blisko... Kapitan nie powiedział mi, co uczynił, lecz każdego roku, gdy śniegi stwardnieją i łatwo można przez Hian Min podróżować, góral schodzi na równiny i w bramie pięknego Belzoondu zostawia swemu wybawcy dzban tego sekretnego, bezcennego wina.

Sącząc je i słuchając tej opowieści, rozmyślałem o wzniosłych i szlachetnych rzeczach, które dawno już planowałem zrobić i zdawało mi się, że dusza ma potężniejsze, aż staje się silniejsza niżli nurty Yann. Możliwe, że zasnąłem... Nie pamiętam żadnych szczegółów tamtego poranka... Gdy nadchodził wie zbudziłem się, pragnąc zobaczyć Perdóndaris raz jeszcze nim odpłyniemy Zszedłem na brzeg.

Z pewnością Perdóndaris było niegdyś potężnym miastem; otaczał je wysoki i solidny mur, w którym wydrążono przejścia dla broniących go wojsk; wzdłuż ciągnęły się blanki, a co milę wznosiła się obronna wieża. Na nich umieszczono miedziane tablice informujące we wszystkich językach świata o przebiegu oblężenia Perdóndaris przez wrogą armię. Gdy wszedłem do miasta spostrzegłem, że wszyscy tam tańczą, odziani we wspaniałe szaty, przygrywając na tabangach. Powiedzieli, że gdy spałem przeraził ich straszliwy grzmot i ogniki śmierci tańczące nad miastem. Teraz ten grzmot okropny, wielki i ponury, oddalił się długimi susami, choć znikając za wzgórzami jeszcze na nich warczał, błyskał lśniącymi kłami, dudnił po szczytach wzgórz póki nie zaczęły dzwonić, jakby były ze spiżu. Co jakiś czas mieszkańcy ustawiali w radosnym tańcu, wznosząc modły do nieznanego Boga.

— O Boże, którego nie znamy, dzięki ci, żeś grom odesłał z powrotem za wzgórze — wołali.

Udałem się dalej. Na targu zobaczyłem kupca śpiącego na swym

kontuarze; twarz i dłonie miał zwrócone ku niebu, a niewolnicy wachlarzem odganiaли od niego muchy. Spośród wielu cudów Perdóndaris dokładnie zwiedziłem tylko dwa — świątynię ze srebra i pałac z onyksu. Gdy dotarłem do przeciwległych murów miasta zobaczyłem nagle ogromne wrota z kości słoniowej. Stałem chwilę, podziwiając je, by podchodząc bliżej pojąć okropną prawdę. Brama rzeźbiona była z jednej bryły!

Natychmiast wybiegłem z miasta i pogałem na statek. Zdało mi się, że gdzieś na wzgórzach słyszę stapanie tej okropnej bestii, której odrąbano górę kości słoniowej, a która może dotąd jeszcze swego kła szukała. Poczulem się pewniej dopiero na statku.

Kapitan budził się powoli. Nadciągała noc i zachodzące słońce opromieniało jeszcze tylko kopuły wież Perdóndaris. Poszedłem do dowódcy i spokojnie opowiedziałem o tym, co zobaczyłem. Zaczął dopytywać się o bramę. Mówił szeptem, by nie słyszała załoga. Powiedziałem, że jej ciężar musiał być tak wielki, iż nie mogła być sprowadzona z daleka. Kapitan przypomniał sobie, że poprzedniego roku jej nie było. Zgodziliśmy się obaj, że bramę musiano zrobić ze zgubionego gdzieś w pobliżu kła i że takiej bestii nie był w stanie zabić żaden człowiek. Kapitan pośpiesznie zdecydował, że lepiej natychmiast odpłynąć; wydał stosowne rozkazy. Gdy słońce zgasło na kopułach Perdóndaris, opuściliśmy to przesławne miasto.

Noc szczerlnie otuliwszy Perdóndaris, skryła je przed naszymi oczyma po wsze czasy. Później bowiem doszła mnie wieść, iż pewnego dnia coś nagle i niespodziewanie zniszczyło to miasto — wieże, mury i ludzi.

Na Yann tymczasem zapadła głęboka noc, biała od gwiazd. Wraz z nią popłynęła pieśń sternika. Najpierw jednak marynarz odmówił modlitwę. Oto co z niej zapamiętałem, niezdarnie przekładając na nasz język i starając się zachować rytm, który tak wspaniale rozbrzmiewał w tę tropikalną noc:

*Do każdego boga, który zechce słuchać.*

*Gdziekolwiek są marynarze, na rzece, czy na morzu; czy droga ich wśród ciemności wiedzie, czy wśród burzy; czy z bestią się zmagają, czy ze skalą; czy przed wrogiem na lądzie się kryją, czy*

*ścigają go na morzu; czy rumpel jest zimny, czy sternik zeszywniały;  
czy marynarze śpią, czy sternik czuwa; strzeż nas, prowadź i  
przywiedź do ziemi starej, co nas zna; do dalekich domów, które  
znamy.*

*Do wszystkich istniejących bogów.*

*Do każdego boga, który zechce słuchać.*

Potem zapadła cisza. Cisza coraz głębsza, tylko czasem przerywał ją delikatny plusk wód Yann uderzających o dziób statku. Z rzadka zakaszła jakiś rzeczny potwór.

Cisza i pluśnięcie, pluśnięcie i cisza.

Gdy przyplływ samotności raz po raz doskwierał sternikowi, wówczas nucił on piosenki z bazarów Durl i Duz oraz stare ballady o smokach z Belzoнду.

Zaśpiewał niejedną pieśń, opowiadając dumnej i milczącej Yann fraszki i powiastki z rodzinnego Durl. Piosenki te gromadziły się nad czarną dżunglą, aż zawisły wysoko, gdzie powietrze chłodne i przejrzyste, a gwiazdy, co z daleka spoglądały na Yann, usłyszały o życiu w Durl i Duz, o pasterzach, co między nimi mieszkają, o ich miłościach i małych rzeczach, jakich pragną dokonać. Leżąc tak owinięty w skóry i koce, słuchając tych pieśni i spoglądając na fantastyczne kształty drzew podobnych do kroczących olbrzymów, nagle zapadłem w sen.

Gdy zbudziłem się, gęste mgły ustępowały już znad Yann. Rzeka pędziła przed siebie wzburzona, lekko falując. Z daleka wyczuła prastare skały Glormu i wiedziała, że przed nią leżą chłodne otchłanie, w które zapadnie się, by spotkać z wesołym i dzikim Irillionem radośnie płynącym wśród śnieżnych pól. Strząsnęła (więc senne odretwienie jakie naszło ją w wonnej i gorącej dżungli, by — zapomniawszy o motylach i kwiatach — toczyć fale wzburzone i rwące, pełne oczekiwania. Niebawem też w polu widzenia pojawiły się lśniące szczyty Wzgórz Glorm. Marynarze także zerwali się ze snu. Wkrótce wszyscy zjedliśmy posiłek, a sternik udał się na spoczynek; ster ujął kto inny.

Niezadługo usłyszeliśmy głos Irilliona, który płasając, spływał ze śnieżnych pól. Później, pośród Wzgórz Glorm, zobaczyliśmy stromy

i gładki wawóz, ku któremu wiodła nas rozpędzona Yann. Pozostawiwszy za sobą parną dżungłę oddychaliśmy teraz górskim powietrzem. Marynarze stojąc oddychali głęboko, marząc o odległych wzgórzach acroctiańskich, wśród których leżą Durl i Duz, gdzie rozłożył się wspaniały Belzoond.

Pośród skalnych ścian Glormu cień panował niepodzielnie, lecz głązy nad nami lśniły niczym chropawe księżycy rozjaśniające mrok. Coraz głośniejsza była pieśń Irilliona i jego bieg taneczny poprzez pola śniegu. Wkrótce też ujrzelśmy go — białego i zasnutego mgłami, przyozdobionego małymi, drżącymi tęczkami, które wyrwał pod szczytami gór z jakiegoś niebiańskiego ogrodu Słońca. Wkrótce popłynął ku morzu razem z szarą i ogromną Yann, wawóz zaś rozszerzył się i otworzył na świat, a nasz rozkołysany statek wpłynął w światło dnia.

Cały ranek i popołudnie płynęliśmy przez moczary Pondoovery; Yann była tam szersza, płynąc wolno i dostojnie. Kapitan nakazał bić w dzwony, by rozproszyć posepną ciszę moczarów.

Wreszcie ukazały nam się Góry Irusu. W ich zbocza wtuliły się wioski Pen–Kai oraz Blut i Mlo ze swymi krętymi uliczkami, gdzie kapłani zjednują lawiny kukurydzą i winem. Gdy na równiny Tlunu opadła noc, dostrzegliśmy światła Cappadarnii, a gdyśmy mijali Golzundę doszły nas dźwięki bębnów Pathnitów — później wszyscy zasnęli.

Porzucane wzdłuż brzegów rzeki wioski słuchały pieśni w nieznanym języku, nuconych przez sternika, o miastach, których nie znały.

Obudziłem się przed świtem z uczuciem, że spotkało mnie coś przykrego. Nie wiedziałem co było tego powodem. Przypomniałem sobie, że przed wieczorem następnego dnia, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, powinniśmy dotrzeć do Bar–Wul–Yann, a wtedy rozstanę się z kapitanem i załogą. Polubiłem go za to żółte wino, które trzymał wśród rzeczy mu najdroższych, jak i za opowieści, jakimi mnie raczył, o wspaniałym Belzoondzie leżącym między górami Acroct a Hian Min. Polubiłem też zwyczaj marynarzy i ich modlitwy, wieczorami wspólnie odmawiane, bez zazdrości o innych bogów. Spodobała mi się czułość, z jaką mówili o

Durl, bo dobrze gdy człowiek miłuje swe rodzinne miasto i małe wzgórze, które je chronią.

Dużo opowiadali mi o tym, kto ich powita gdy wrócą do domu i gdzie spodziewają się spotkać swych bliskich. Jedni wśród wzgórz Acroct, kędy wiedzie droga od rzeki Yann; inni u bram jednego z tych trzech miast; a niektórzy spotkają swoich przy domowym ognisku.

Myślałem o niebezpieczeństwach jakie nam groziły, gdyśmy mijali Perdóndaris, o nocnych pieśniach sternika, bezpieczeństwie jakie nam dawał.

Nastał świt.

Wkrótce ujrzeliśmy Morze, stanowczo idące Yann naprzeciw. Ona lekko skoczyła mu na spotkanie i zmagali się z sobą przez chwilę, po czym Yann i wszystko co do niej należało zostało odepchnięte. Marynarze znów musieli postawić żagle i dzięki pomyślnym wiatrom płynęliśmy dalej.

Minęliśmy Gondarę, Narl i Hoz. Zobaczyliśmy pamiętne, święte Golnuz, słyszeliśmy modły pielgrzymów.

Gdyśmy się obudzili z poobiedniej drzemki, zbliżaliśmy się właśnie do Nen, ostatniego z miast rzeki Yann. Brzegi znów były porośnięte dżunglą, rosnącą też wokół Nen, a nad wszystkim królowały wielkie pasma Mloon, spoglądające zza gęstwiny na miasto.

Tutaj rzuciliśmy kotwicę, a ja, razem z kapitanem, poszedłem do miasta aby stwierdzić czy są w nim Wędrowcy.

Wędrowcy byli dziwnym, ciemnoskórym szczepem schodzącym co siedem lat, sobie tylko znaną drogą, z jakiejś fantastycznej krainy leżącej w górach Mloon. Wszyscy mieszkańcy Nen wyszli z domów i stojąc na ulicach przyglądali się Wędrowcom, kobietom i mężczyznom, z których każde robiło coś dziwnego. Jedni tańczyli zadziwiające tańce, których nauczyli się od pustynnego wiatru, gnąc się i wirując tak szybko, że oko nie nadążało za ich ruchami. Inni wygrywali na instrumentach rzewne i piękne melodie pełne grozy, których nauczyły ich duchy, gdy błędzili nocą po pustyni — miejsca skąd przyszli.

Żaden z ich instrumentów nie był podobny do znanych w Nen czy

dorzeczu Yann; nawet rogi, z których je zrobiono pochodziły od zwierząt jakich nikt nad racicą nie widział, gdyż były zagięte na końcach. Śpiewali w języku nie znanym nikomu, który zdawał się być pokrewnym tajemnicom nocy i niepojętego strachu, nawiedzającego ponure miejsca.

Wszystkie psy w Nen odnosiły się do nich z najwyższą nieufnością. Wędrowcy opowiadali sobie nawzajem okropne historie — choć nikt w Nen nie znał ich języka, to mieszkańcy widzieli strach na twarzach słuchaczy. Wtedy mówiący kończył i wybuchał śmiechem, zaś inny zaczynał swą opowieść i niebawem jego poprzednik szczekał zębami. Kiedy przypadkiem zobaczyli jakiegoś jadowitego węża, witali go jak brata, a i on zdawał się ich odwzajemniać powitanie, najgroźniejsza i najbardziej jadowita ze żmij, olbrzymia Lynthra, wyszła z dżungli i pełzła główną ulicą Nen. Żaden z Wędrowców przed nią nie uciekał, lecz tym dźwięczniej grano na nstrumentach, jakby żmija była jakąś ważną osobą. Być może dlatego sunąc między nimi, nikogo nie ukąsiła.

Bardzo chciałem tam zostać i posłuchać hymnu, jakim witają noc, lecz nadszedł już czas by podnieść kotwicę i wraz z przyływem wrócić do Bar–Wul–Yann. Weszliśmy więc na pokład i popłynęliśmy dalej. Niewiele rozmawialiśmy z kapitanem, gdyż obaj, podziwiając przepych zachodzącego słońca, myśleliśmy już o rozstaniu, które miało niebawem nastąpić. Słońce miało kolor czerwonego złota, a dżunglę spowijała delikatna kładąca się nisko mgiełka. W nią wsączał się dym miasteczek skrytych w dżungli, a gdy te dwa opary spotkały się ze sobą i złączyły, jeszcze gęstsza mgła powstała, o barwie purpury, rozświetlona słońcem, tak jak myśli ludzkie rozświetla jakaś myśl wielka i święta. Czasem tylko pojedynczy słup dymu z samotnego domu wzbijał się wyżej i sam lśnił w słońcu.

Teraz, gdy ostatnie promienie kładły się na ziemię, ujrzeliśmy widok, który przybyłem zobaczyć: oto z dwóch gór wznoszących się po dwu stronach rzeki opadały ku falom marmurowe urwiska, różowo lśniące w blasku gasnącego słońca. Obydwa zupełnie gładkie i sięgające szczytu, prawie się stykały. Yann z hukiem przebijała się przez nie i wpadała w morze.

To właśnie były Bar–Wul–Yann — Wrota Yann. W oddali, przez wąską szczelinę przesmyku dojrzałem nieopisany błękit morza, po którym pomykały lśniące, rybackie łódeczki.

Słońce zaszło, zapadł mrok i minął zachwyty nad pięknnością Bar–Wul–Yann lecz różowe skały wciąż jeszcze jaśniały — cud największy jaki mogły ujrzeć oczy. Wkrótce zmierzch rozjaśnił blask zapalających się gwiazd i barw; Bar–Wul–Yann powoli zniknęły. Widok tych skał był dla mnie jak muzyczny akord doarty ręką mistrza ze skrzypiec, co drzące ludzkie dusze unosi do Nieba lub Krainy Baśni.

Teraz, przy brzegu, rzuciliśmy kotwicę. Śródlądowi marynarze obawiali się morza.

Nadszedł więc czas, gdy musiałem rozstać się z kapitanem; on powracał do swego pięknego Belzoonu u podnóża wyniosłych szczytów Hian Min, ja zaś udawałem się jakimś dziwnym sposobem w powrotną drogę do tych zamglonych pól, znajomych poetom, wśród których można znaleźć małą, tajemniczą wioski. W ich oknach wychodzących na zachód widać zwykłe pola, podczas gdy we wschodnich oknach błyszczą góry elfów przykryte czapami śniegu, ciągnące się aż do krainy Mitów, i dalej, do Królestwa Fantazji, która leży w Ziemiach Snów. Długośmy się żegnali wiedząc, że nigdy już nie będzie dane nam spotkać się, gdyż w miarę upływu lat moja wyobraźnia słabnie i coraz rzadziej zapuszczam się w Ziemię Snów. Wreszcie uścisnęliśmy sobie dłonie — choć on niezgrabnie to uczynił, gdyż nie tak witają się w jego kraju — i duszę mą polecił opiece swoich bogów, tych pomniejszych bogów, skromnych, co sprawują pieczę nad Belzoondem.



## MŚCICIEL PERDÓNDARIS THE AVENGER OF PERDÓNDARIS

Niedługo po powrocie znad Yann żeglowałem po Tamizie. Odpływ unosił mnie na wschód, oddalając od Westminster Bridge, w pobliżu którego wynająłem łódź. Najróżniejsze rzeczy unosiły się ze mną na wodzie — dryfujące patyki i olbrzymie statki — tak że zaabsorbowany oglądaniem ruchu na tej wielkiej rzece nawet nie zauważyłem jak znalazłem się w City. Podnosząc głowę ujrzałem tę część Embankmentu, która leży najbliżej Ulicy Przechodniej. Nagle zacząłem się zastanawiać, jaki los spotkał Singanee, gdyż cisza panowała wokół jego pałacu ze słoniowej kości gdym go ostatnio mijał, a to kazało mi przypuszczać, że jeszcze nie wrócił. Choć widziałem jak wyruszał ze swą straszliwą włócznią i choć dzielny był łowcą słoni, to jednak przerażającego się podjął dzieła, bowiem wiedziałem, że nie zamierzał nic innego uczynić, jak pomścić Perdóndaris, zabijając potwora z jednym kłębem, który napadł na nie zniecka i w jeden dzień zburzył. Tak więc, gdy tylko dopłynąłem do jakiś schodów, przywiązałem łódź, wyszedłem na brzeg i przemierzyłem bulwar. Gdzieś przy trzeciej przecznicy zacząłem szukać wylotu Ulicy Przechodniej; jest ona bardzo wąska i trudno ją zrazu zobaczyć, lecz znalazłem ją i niebawem byłem już w sklepie starca. Jednak miast niego jakiś młodzieniec stał za kontuarem. Nie mógł mi udzielić żadnej informacji o starcu — sam dawał sobie radę. A co do starych drzwiczek na tyłach sklepu, to: „Nic o tym nie wiemy, proszę pana”. Musiałem więc z nim porozmawiać by go ugłaskać. Na kontuarze miał wystawiony na sprzedaż przyrząd do nabierania łyżeczki cukru w zupełnie nowy sposób. Uradował się gdy go obejrzałem i zacząłem wychwalać. Zapytałem do czego to służy, a on odparł, że do niczego, i że wynalezione zostało zaledwie tydzień temu, jest zupełnie nowe, zrobione ze szczerego srebra i chętnie kupowane.

Przez cały czas przesuwałem się w kierunku zaplecza sklepu.

Kiedy zapytałem o figurki bogów, które się tam znajdowały,

powiedział, że jest to kolekcja maskotek — nowości w tym sezonie. Udawałem, że chcę jedną z nich wybrać, gdy nagle ujrzałem te cudowne stare drzwi. W jednej chwili przez nie przeszedłem, a za mną ów młody sklepikarz. Nikt nie był bardziej zaskoczony od niego, gdy ujrzał trawę ulicy i rosnące wśród niej purpurowe kwiaty. Przebiegł w swym kitlu na drugą stronę i w samą porę się zatrzymał, bo tam kończył się świat. Spoglądając w dół za krawędź trotuaru ujrzał, zamiast zwykłych, kuchennych okien, białe chmury i błękitne niebo. Błatego i z trudem łapiącego oddech podprowadziłem do starych, tylnych drzwi sklepu i lekko popchnąłem. Sądziłem, że bardziej posłuży mu powietrze po tej stronie ulicy, którą zna. Bezwolnie więc wszedł do środka. Gdy tylko drzwi zamknęły się za zdumionym sprzedawcą, skręciłem w prawo i ruszyłem ulicą, aż ujrzałem ogrody i chaty oraz czerwoną plamkę kręcącą się po ogródku. Wiedziałem, że to stara wiedźma odziana w szal.

— Przychodzisz znów zmienić swe złudzenia? — spytała.

— Przeszedłem z Londynu — powiedziałem. — Chcę zobaczyć Singanee. Chcę się udać do jego pałacu ze słoniowej kości, za górami elfów, gdzie otchłań ametystowa.

— Nie ma to jak zmienić swe złudzenia — powiedziała — inaczej stajesz się zmęczony. Londyn to dobre miejsce, ale od czasu do czasu chce się zobaczyć góry elfów.

— A więc znasz Londyn? — spytałem.

— Oczywiście, że znam — rzekła. — Potrafię śnić tak samo jak ty. Nie jestem jedyną osobą, która potrafi wyobrazić sobie Londyn.

Ludzie okropnie trudzili się w jej ogrodzie; właśnie była najgorętsza pora dnia, a oni kopali łopatom. Wiedźma odwróciła się nagle by długim, czarnym kijem smagnąć jednego z nich po plecach.

— Nawet moi poeci czasami udają się do Londynu — powiedziała do mnie.

— Czemu go uderzyłaś? — spytałem.

— Żeby pracował.

— Przecież on jest zmęczony.

— Pewnie, że jest — odparła.

Przyjrzałem się ziemi i zauważyłem, że była twarda i sucha. Każda jej łopata, jaką ci utrudzeni ludzie przerzucali, była pełna

perel. Niektórzy jednak siedzieli zupełnie beczynn timer, obserwując fruujące po ogrodzie motyle, a stara czarownica wcale nie biła ich. Spytałem ją, kim są kopiaący.

— To moi poeci, wykopują perły.

— Na co ci tyle perel? — zapytałem.

— Żeby nakarmić wieprze, oczywiście.

— Ale czy wieprze lubią perły?

— Oczywiście, że nie — odrzekła.

Pytałbym dalej, lecz z chaty wyszedł ten stary, czarny kot, i nic nie mówiąc patrzył na mnie dziwnie. Domyśliłem się więc, że zadaję głupie pytania. Spytałem dlaczego niektórzy poeci lenili się, obserwując motyle i nie byli bici.

— Motyle wiedzą, gdzie ukryto perły, a oni czekają aż któryś z nich przysiadzie nad zakopanym skarbem. Nie mogą kopać, dopóki nie wiedzą gdzie — rzekła wiedźma.

Nagle faun wynurzył się z rododendronowego gaju i zaczął płasać w brązowym kręgu, który otaczał fontannę. Odgłos jego kopyt tańczących na brązie był tak piękny, jak dźwięk dzwoneczków.

— Dzwonią na herbatę — powiedziała wiedźma.

Wszyscy poeci rzucili swe łopaty i poszli za nią do domu. Udałem się za nimi. Zarówno czarownica, jak i my wszyscy szliśmy za czarnym kotem, który, wyginając grzbiet i podnosząc ogon, kroczył ogrodową ścieżką wyłożoną niebieskimi kafelkami, przez czarny ganek i otwarte, dębowe drzwi do pokoiku, gdzie czekała herbata. A w ogrodzie zaczęły śpiewać kwiaty i szemrała fontanna. Dowiedziałem się, że fontanna z jakiegoś zupełnie nieznanego morza czerpie wodę i czasami wyrzuca pozłacane szczątki rozbitych galeonów, o których słuch zaginął, a które zatoneły podczas sztormów na morzu nikomu nieznanym, lub roztrzaskanych na kawałki w bitwach nie wiedzieć z kim toczonych. Niektórzy nazywali je solą, ponieważ pochodziły z morza, zaś inni mówili, że ta sól to łzy marynarzy. Niektórzy z poetów wyjęli z wazonów wielkie kwiaty i rozsypali ich płatki po pokoju, inni coś mówili nikogo nie słuchając, a jeszcze inni śpiewali.

— Przecież oni są tylko dziećmi, mimo wszystko — powiedziałem.

— Tylko dziećmi! — powtórzyła czarownica, która właśnie rozlewała wino z pierwiosnków,

— Tylko dziećmi — powtórzył stary, czarny kot. I wszyscy zaczęli się ze mnie śmiać.

— Najmocniej przepraszam — — powiedziałem. — Nie to chciałem powiedzieć. Nie zamierzałem nikogo obrazić.

— Przecież on nie ma o niczym pojęcia — rzekł stary, czarny kot. Śmiali się nadal, póki nie położono poetów do łóżek.

A wtedy spojrzałem na znaną nam dziedzinę i obróciłem się do drugiego okna, które wychodziło na góry elfów. Wieczór zdawał się być z szafiru. Zobaczyłem, iż moja droga zaczyna już tonąć w mroku, więc kiedy ją odnalazłem zszedłem na dół schodami do saloniku wiedzy, przeszedłem przez drzwi i jeszcze tej nocy dotarłem do pałacu Singanee.

Światła migotały za każdą kryształową szybą pałacu ze słoniowej kości, a wszystkie okna były odsłonięte. Odgłosy dochodzące z wnętrza przypominały jakiś triumfalny taniec. Niezwykle donośnie buczał fagot, a potężne uderzenia mocarnej dłoni w wielki bęben były niczym tupot szarżującej bestii. Gdy tego słuchałem, zdało mi się, że muzyka ta wyraża walkę Singanee z potężniejszym od zwykłego słonia sprawcą zniszczenia Perdóndaris. Gdy szedłem w ciemnościach przez ametystową otchłani, ujrzałem nagle przerzucony przez nią biały most. Był to jeden wielki kiel słonia. Pojąłem, iż jest świadectwem zwycięstwa Singanee. Zaraz zrozumiałem, że ta wygięta bryła kości słoniowej, którą przeciągnięto na linach by tworzyła most nad otchłanią, była bliźniaczą tej, co niegdyś stanowiła wrota Perdóndaris i stała się przyczyną zniszczenia tego sławnego miasta — jego wież, murów i mieszkańców. Ludzie już zaczęli ją drażyć i rzeźbić po bokach Postacie naturalnej wielkości. Przeszedłem po niej na drugą stronę. W połowie drogi znalazłem kilku mocno śpiących rzeźbiarzy. Po drugiej stronie przepaści, opodal pałacu, kiel grubszym końcem oparty był o ziemię. Tam zszedłem po opartej o kiel drabinie, gdyż schodów jeszcze nie wyrąbano.

Przed pałacem było tak, jak oczekiwałem: strażnik przy bramie spał twardo i choć go prosiłem o pozwolenie wejścia do pałacu, on

tylko wymamrotał imię Singanee i znowu zapadł w sen. Było oczywiste, że pił bak. W sali ze słoniowej kości spotkałem lokai, którzy powiedzieli mi, że tej nocy każdy gość jest mile widziany w pałacu, gdyż właśnie czcić będą triumf Singanee. Zaproponowali mi bak, bym wypił dla upamiętnienia zwycięstwa, lecz ja nie znając jego mocy i nie wiedząc jaka ilość starcza by człowieka z nóg zwalić, powiedziałem im, że poprzysięgłem przed bogiem nie pić dobrych trunków. Spytali mnie czy modlitwą przebłagać go się nie da, ja zaś odparłem: „Żadną miarą”, i ku sali ruszyłem gdzie tańczono. Współczuli mi i kwaśno rozprawiali o tym bogu, chcąc w ten sposób mi się przypodobać, a potem znów zaczęli pić bak na chwałę Singanee.

Przed kotarami oddzielającymi tańczących od reszty stał szambellan. Gdy mu wyznałem, że choć obcy tutaj, dobrze jestem znany bogom Pegana: Mungowi, Sishowi i Kibowi — których znaki uczyniłem, przywitał mnie serdecznie. Wtedy zapytałem go o mój strój, czy aby jest odpowiedni na taką okazję. Poprzysiągł na włócznie, co uśmierciła niszczyciela Perdóndaris, iż hańbą dla Singanee byłoby, gdyby jakikolwiek gość znany bogom wszedł na salę balową niestosownie odziany, po czym zaprowadził mnie do innej komnaty i wyjął szaty jedwabne ze starego kufra zrobionego z Czarnej, sękaty dębiny obitej okuciami ze zzieleniałej miedzi i jasnymi szafirami, prosząc bym wybrał strój stosowny dla siebie. Wybrałem jasnozieloną opończę, pod którą miałem jasnoniebieską odzież widoczną tu i tam, oraz jasnoniebieski pas rycerski. Ubrałem też płaszcz barwy ciemnopurpurowej z dwoma wąskimi, granatowymi paskami wzdłuż skraju i rzędem wielkich, ciemnych szafirów naszytych na purpurę między nimi. Płaszcz ten spływał mi z ramion do ziemi. Niczego pośledniejszego szambellan nie pozwolił mi wybrać, albowiem — jak twierdził — żaden gość tej nocy nie miał prawa sprzeciwiać się hojności jego pana, którą on chętnie wcielał w czyn dla uczczenia zwycięstwa. Gdy już mnie wystrojono, udaliśmy się na salę balową i pierwsze co ujrzałem w tej wysokiej, roziskrzanej komnacie, to potężną postać Singanee stojącego wśród tańczących, których głowy ledwie do pasa mu sięgały. Nagie były jego potężne ramiona, które włócznie dzierżyły. Szambellan powiódł

mnie do niego, a ja skłoniłem się i rzekłem, iż dziękuję bogom, których on o opiekę prosił. On zaś odpowiedział, że słyszał jak o moich bogach dobrze mówili ci, którzy zwykli się modlić. Rozumiałem, że tylko przez grzeczność tak mówił, gdyż nic o nich nie wiedział.

Strój Singanee był prosty; jedyną jego ozdobą była złota opaska przytrzymująca włosy — jej złociste końce były związane z tyłu purpurowym jedwabiem. Wszystkie za to królowe nosiły korony niezwyklej świetności, choć nie wiem, czy je od Singanee otrzymały, czy też już jako królowe porzuciły trony dalekich krain, zwabione jego urodą i sławą.

Wszystkie nosiły jedwabne szaty o wspaniałych barwach, a stopy miały bose i bardzo kształtne, bowiem w tych krainach nie ma zwyczaju noszenia obuwia. Kiedy zobaczyły, że wielkie palce moich nóg są zniekształcone, jak to zwykle u Europejczyków, bo zwrócone do wewnątrz zamiast być prostymi, wtedy jedna czy dwie spytały mnie ze współczuciem czy miałem jaki wypadek. Zamiast szczerze wyznać, że zniekształcenie paluchów jest całkiem przyjemne i w naszym zwyczaju, powiedziałem im, że padło na mnie przekleństwo złośliwego boga, u stóp którego w dzieciństwie odmówiłem złożenia owoców. W pewnym stopniu byłem usprawiedliwiony, gdyż Konwenans jest bóstwem, choć złe są jego drogi; gdybym powiedział im prawdę, nie zostałbym zrozumiany. Do tańca przydzielili mi damę cudownej urody, która powiedziała mi, iż na imię ma Saranoora i jest księżniczką z Pomocy, przyslaną jako haracz do pałacu Singanee. Tańczyła trochę tak, jak tańczą Europejczycy, a trochę jak wróżki z pustkowi, które, jak głosi legenda, wabią zbłąkanych podróżnych do zguby. Gdybym mógł wyprowadzić z tej fantastycznej krainy tych trzydziestu pogan o długich czarnych włosach i oczach jak u elfów, wraz z instrumentami nieznanymi nawet Nabuchodonozorowi, i gdybym mógł ich nakłonić by pod twoim domem zagrali melodie, które słyszałem w pałacu ze słoniowej kości, wtedy, miły czytelniku, poznałbyś piękno Saranoory, blask świateł i kolory tej olśniewającej sali, i zwinne ruchy tajemniczych królowych, które tańczyły wokół Singanee. Wtedy, miły czytelniku, nie byłbyś tak miły, bo myśli co mkną

szybko jak lampart przez dalekie, wolne krainy, jednym skokiem znalazłyby się w twojej głowie, nawet gdyby to było w Londynie — tak, nawet w Londynie. Wtedy bowiem zerwałbyś się i walił pięściami w ścianę pokrytą wzorem ślicznym i wzorzystym, w nadziei, że cegły ustąpią i ukażą ci drogę do pałacu z kości słoniowej nad ametystową otchłanią, gdzie są złote smoki.

Bywają bowiem ludzie, którzy palą więzienia by uciec mogli skazańcy. Takimiż podpalaczami byli ci ciemnoskórzy muzycy, którzy, wyzwalając się z pęt zwyczaju, rozpalali niebezpieczne myśli. Lecz wy, starsi, nie obawiajcie się, nie obawiajcie... Nie będę grał tej melodii na rogu żadnej ze znanych nam ulic. Nie przywiędę tu tych dziwnych muzyków, szeptem tylko opiszę drogę do Krainy Snów. Tylko nieliczne, delikatne stopy ją odnajdą. Samotnie będę marzył o pięknie Saranoory i wzdychał czasami.

Plaśaliśmy wciąż i wciąż, podług woli tych trzydziestu muzyków, lecz gdy gwiazdy zbladły i wiatr, co świt poznał, jał tarmościć za kraj sukni nocy, wtedy Saranoora, księżniczka z Pomocy, powiodła mnie do ogrodu. Tam był mroczny gąszcz drzew, które noc wonią swą przesysały i strzegły jej tajemnic przed budzącym się świtem. Nad nami, wędrując po ogrodzie, unosiła się pełna radości melodia tych ciemnowłosych muzykantów, których pochodzenia nie domyślali się nawet ci, co mieszkając tam, Krainę Snów znali. Tylko raz, przez chwilę, śpiewał ptak tolulu, bo odgłosy święta wystraszyły go tak, że zamilkł. Tylko raz, przez chwilę, słyszeliśmy jak śpiewa gdzieś w odległym gaju, gdy muzycy odpoczywali a nasze bose stopy nie czyniły hałasu. Przez chwilę słyszeliśmy tego ptaka, o którym nasz słowik zamarzył i marzenie to przekazał swym dzieciom. Saranoora powiedziała mi, że ptaka tego zwą Siostrą Pieśni, lecz dla muzyków, którzy znów zaczęli swe granie, nie mieli żadnego imienia, bo nikt nie wiedział kim byli, ani z jakiego przybywali kraju. Wtem opodał nas ktoś zaśpiewał w ciemności, wtórując sobie na jakimś strunowym instrumencie. Śpiewał o Singanee i jego walce z potworem. Niebawem Ujrzeliliśmy go, jak siedząc na ziemi śpiewał nocy o tym pchnięciu włóczni, które dosięgnęło łomoczącego serca niszczyciela Perdóndaris. Przystanąwszy na chwilę spytaliśmy go kto widział tę pamiętną bitwę, a on odparł, że nikt prócz Singanee i tego,

którego kiel zniszczył Perdóndaris — lecz ten już nie żyje. A gdy spytaliśmy go, czy Singanee opowiedział mu o walce, odparł, iż ten dumny myśliwy nie powie o tym ni słowa i dlatego jego czyn poetom przekazano, by na zawsze stał się ich dziedzictwem. Później uderzył w struny i śpiewał dalej.

Gdy sznury pereł zdobiących swym blaskiem szyję Saranoory poczęły lśnić mocniej, wiedziałem że świt nadchodzi i ta pamiętna noc dobiega kresu. W końcu opuściliśmy ogród i poszliśmy na skraj przepaści, by zobaczyć jak wschodzące słońce blask swój kładzie na ametystowe urwisko. Wpierw jednak opromieniło urodę Saranoory, by później wznieść się ponad światem i rozgorzeć na ścianach z ametystu. Oślepieni, odwróciliśmy się od tego widoku i ujrzelśmy robotników idących wzdłuż kła, by go wydrążyć i wyrzeźbić balustradę z procesją figur.

Ci, którzy pili bak, zaczęli się budzić i w olśnieniu spoglądać na ametystową otchłań, by po chwili odwrócić wzrok i przecierać oczy. Teraz te cudowne królestwa pieśni, które ciemnoskórzy muzycy wyczarowywali przez całą noc magią swej muzyki, znów ustąpiły przed natarciem tej pradawnej ciszy, co nawet przed bogami rządziła światem; muzykanci owinęli się w płaszcze i schowawszy swe cudowne instrumenty chyłkiem odeszli na równiny. Nikt nie ośmielił się zapytać dokąd odchodzą lub czemu tam mieszkają, ani jakiemu bogu służą. Taniec ustał i wszystkie królowe zniknęły. A wtedy niewolnica znów wyszła tylnymi drzwiami i wysypała kosz szafirów w przepaść, tak jak uczyniła to wcześniej. Piękna Saranoora powiedziała mi, że te wielkie królowe nigdy niej noszą dwa razy tych samych szafirów, i że co dzień w południe kupiec z gór dostarcza im nowe na wieczór. Podejrzewałem jednak, że coś więcej niż ekstrawagancja kryje się w tym pozornym marnotrawstwie wyrzucania szafirów w przepaść, gdyż w jej głębi żyły przecież dwa złote smoki, o których nikt nic nie wiedział. Pomyślałem, i nadal tak myślę, że Singanee, choć straszny w swej wojnie ze słoniami, z których kłów pałac sobie zbudował, dobrze znał, a naw« lękał się tych smoków z otchłani i może mniej cenił te bezcenne klejnoty niż swe królowe. On, któremu tak wiele krain płaciło piękny haracz z obawy przed jego straszliwą włóczęgą, sam składał daninę smokom



złotym! Nie wiedziałem czy smoki te miały skrzydła. Jeśli tak, to czy potrafiły nimi dźwignąć ciężar swych szczerozłotych cielsk z przepaści? Albo czy mogły z niej wypełznąć jak u sekretnymi ścieżkami? Nie mam także pojęcia po co złotym smokom szafiry czy królowe. Tyle że dziwne mi się zdało, iż z rozkazu człowieka, który niczego nie musiał się lękać, wyrzucano tak ogromne bogactwo by spadało o świcie w przepaść, migocząc i mieniając się wszystkimi kolorami tęczy.

Nie wiem jak długo tak staliśmy obserwując wschód słońca nad ametystową otchłanią. Dziwne, że ten słynny i wspaniały widok nie poruszył mnie jeszcze bardziej, lecz jego sława oszołomiła mnie, a blask oślepił oczy i — jak to często bywa — myślałem raczej o pomniejszych rzeczach. Pamiętam, że patrzyłem na błysk słońca w jedynym szafirze jaki miała Saranoora — w pierścieniu, który nosiła na palcu. Później, gdy owiał ją ranny wietrzyk, powiedziała że jej zimno i zawróciła do pałacu ze słoniowej kości. Ja zaś obawiałem się, że już nigdy jej nie spotkam, gdyż czas płynie inaczej nad Krainą Snów niżli we znanej nam dziedzinie. Podobnie jak morskie prądy płynące w różne strony i unoszące dryfujące statki.

W bramie pałacu ze słoniowej kości zwróciłem się do niej, aby się pożegnać, lecz nie znalazłem odpowiednich słów. Teraz częstokroć, gdy bywam w obcych krajach, przystaję i myślę o wielu rzeczach, które powinienem powiedzieć, lecz wówczas zdołałem tylko rzec: „Może zobaczymy się jeszcze”. Zaś ona odparła, iż być może często będziemy się widywać, gdyż pozwolić na to było błahostką dla bogów Krainy Snów. Nie wiedziała, że oni niewielką mają władzę nad znaną nam dziedziną. Potem weszła do środka, a ja, wymieniwszy szaty dane mi przez szambelana na mój własny strój, opuściłem gościnne progi Singanee i skierowałem się ku znanej nam dziedzinie. Poszedłem przez ten olbrzymi kiel, który stał się zgubą Perdóndaris i spotkałem artystów w nim rzeźbiących. Gdy ich mijał, niektórzy pozdrowili mnie imieniem Singanee, więc i ja jego imieniem ich witałem. Światło dnia nie sięgnęło jeszcze do samego dna otchłani, lecz ciemność ustępowała już miejsca purpurowej mgiełce. Dojrzałem niewyraźną sylwetkę jednego ze złotych smoków. Wtedy obejrzałem się i raz jeszcze popatrzyłem na pałac z

kości słoniowej. Nikogo w oknach nie widząc, odszedłem pełen smutku.

Idąc znaną mi ścieżką poszedłem przez przełęcz i zбочa aż znów dotarłem do małej chaty wiedźmy. Gdy podszedłem do okna na górze by spojrzeć na znaną nam dziedzinę, wiedźma mówiła coś do mnie, lecz ja byłem zły jak ktoś, kogo wyrwano ze snu, i nic jej nie odpowiedziałem. Wówczas kot dopytywał się, kogo napotkałem, a ja mu odparłem, że w znanej nam dziedzinie koty znają swe miejsce i nie gadają do ludzi. Potem zszedłem na dół i od razu wyszedłem z chaty, podążając w kierunku Ulicy Przechodniej.

— Zmyliłeś drogę! — zawołała z okna czarownica.

Rzeczywiście. Niebawem znów do pałacu Singanee wróciłem, lecz nie miałem prawa nadużywać jego gościnności. Nie można też wiecznie w Krainie Snów pozostawać. Czyż ta stara wiedźma знаła zew znanej nam dziedziny i te małe, jakże liczne sidła, w które tam wpadamy? Nie zwracając na nią uwagi szedłem dalej i dotarłem do Ulicy Przechodniej. Zobaczyłem dom o zielonych drzwiach stojący nieco dalej, lecz pomyślawszy, że ten koniec ulicy leży bliżej Embankmentu i miejsca, gdzie zostawiłem łódź, spróbowałem otworzyć pierwsze z brzegu drzwi. Chata była kryta strzechą, tak jak pozostałe, ze złotymi wieżyczkami wzdłuż krawędzi dachu, na którym siedziały przedziwne ptaki muskając swe wspaniałe pióra. Drzwi otwarły się i ku memu zdziwieniu znalazłem się w środku domostwa, wyglądającego na pasterski szałas. Mężczyzna siedzący na kłodzie drewna w małej, ciemnej izbie przemówił do mnie w jakimś obcym języku, a ja mruknąłem coś i pospiesznie wyszedłem na ulicę. Dom był kryty strzechą zarówno z tyłu, jak i z przodu. Od tej strony nie było żadnych złotych wieżyczek ni cudownych ptaków, nie było też chodnika. Stał tam rząd chat, obór i stodół, lecz nie dostrzegłem ani śladu miasta. W oddali ujrzałem jedną czy dwie małe wioski. Rzeka jednak była — i niewątpliwie była to Tamiza, bowiem miała jej szerokość i jej linię brzegu; jeśli wyobrazić sobie Tamizę na swym miejscu lecz bez miasta, mostów i bez Embankmentu. Zrozumiałem, że najwidoczniej zdarzyło mi się, i to w biały dzień, coś, co czasem przydarza się ludziom — a szczególnie dzieciom — gdy budzą się przed świtem w jakimś obcym domu i

widzą wysokie, szare okno tam, gdzie powinny być drzwi i jakieś nieznane przedmioty nie na swoim miejscu. Choć wiedzą gdzie są, to nie mogą pojąć czemu to miejsce tak właśnie wygląda.

Minęło mnie stado całkiem zwyczajnych owiec, lecz prowadzący je człowiek wygląd miał dziwny i dziki. Zagadnąłem go, lecz mnie nie rozumiał. Wtedy zszedłem nad rzekę by sprawdzić czy łódź tam jest i dokładnie w miejscu, gdzie ją zostawiłem, w mule (gdyż właśnie był odpływ) ujrzałem na wpół zagrzebany kawałek czerniałego drewna, który mógł być częścią mojej łodzi, chociaż nie byłem tego pewien. Miałem wrażenie, że pomyliłem światy. Dziwną byłoby rzeczą, gdybym, przybywszy z tak daleka aby ujrzeć Londyn, nie mógł go teraz znaleźć przy żadnej z dróg, które do niego wiodą. Wyglądało na to, że podróżowałem w Czasie i gdzieś go wśród wieków zgubiłem. Wędrując tak po trawiastych wzgórzach natknąłem się na kapliczkę plecioną z wikliny i pokrytą strzechą. W niej ujrzałem lwa bardziej zniszczonego przez czas niż Sfinks z Ghazy, a gdy rozpoznałem w nim jednego z tych czterech co na Trafalgar Square stoją, zrozumiałem, iż zabłąkałem się gdzieś w dalekiej przyszłości i wiele stuleci podstępnych lat dzieli mnie od wszystkiego, co znałem. Usiadłem na trawie obok kruszących się lwich łap, by zastanowić się co robić. Postanowiłem wrócić przez Ulicę Przechodnią, a ponieważ w znanej nam dziedzinie nic mnie już nie trzymało, zostać sługą w pałacu Singanee i znów ujrzeć twarz Saranoory oraz te słynne, cudowne, ametystowe świty nad otchłanią, w której igrają złote smoki.

Nie zostałem dłużej aby szukać ruin Londynu, bo niewielka to przyjemność w oglądaniu rzeczy pięknych jeśli nie ma nikogo, kto by o nich słuchał z podziwem. Tak więc od razu wróciłem na Ulicę Przechodnią, do rzędu stojących obok siebie chat, i nie widziałem innych śladów Londynu prócz tego kamiennego lwa. Tym razem wszedłem do właściwego domu. Bardzo był zmieniony i podobniejszy do jednej z tych chatynek, które można spotkać w okolicach Salisbury, niż do sklepu w Londynie. Odnalazłem go policzywszy i domy, bowiem te wciąż stały rzędem, choć miasta i chodnika już nie było. Wciąż mieścił się w nim sklep. Całkiem inny od tego, który znałem, lecz można w nim było kupić różne rzeczy:

laski pasterskie, żywność i żelazne topory. W środku był długowłosa mężczyzna odziany w skóry. Nie rozmawiałem z nim, gdyż nie znałem jego mowy. Powiedział do mnie coś, co brzmiało jak „Everkike”. Nie miało to dla mnie żadnego sensu, lecz gdy popatrzył przy tym na jedną ze swych strzelb, nagle rozjaśniło mi się w głowie i zrozumiałem, że Anglia wciąż pozostała Anglią i wciąż nikt jej nie podbił, i że chociaż mieli dość Londynu, to wciąż czuli się związani z ziemią. Albowiem człowiek ten powiedział do mnie „Av er kike”<sup>1</sup>. Wiedziałem, że ten język, który starzy, poczciwi londyńczycy zanieśli do odległych krajów, wciąż był używany w miejscu swych narodzin i ani polityka, ani wrogowie nie zdołali go zniszczyć przez te tysiące lat. Nigdy nie lubiłem dialektu Cockney — z arogancją typową dla Irlandczyka, który słucha bogatych i biednych mówiących angielszczyzną pełną elżbietańskiej świetności, lecz gdy usłyszałem te słowa, poczułem że łzy napływają mi do oczu — bo trzeba pamiętać jak byłem daleko. Przez chwilę milczałem. Nagle zauważyłem, że sklepikarz zasnął. Ten jego zwyczaj wydał mi się dziwnie podobny do zwyczajów tamtego, który — gdyby jeszcze żył — musiałby sobie Uczyć ponad tysiąc lat (jeśli sądzić po wyglądzie zniszczonego lwa). Ileż więc lat ja miałem? Jest rzeczą oczywistą, iż nad Krainą Snów Czas płynie szybciej lub wolniej niżli nad znaną nam dziedziną, bo umarli, i to od dawna, wracają do życia w naszych snach, a marzyciel widzi wydarzenia wielu dni nim chociaż jeden ruch zrobi wskazówka ratuszowego zegara. Jednak logika na nic mi się nie zdała; nie zdołałem rozwikłać zagadki. Gdy stary człowiek spał — a jego rysy dziwnie przypominały starca, który kiedyś po raz pierwszy pokazał mi te stare, czarne drzwiczki na zapleczu — przeszedłem na drugi koniec jego sklepu. Tam znalazłem drzwi na rzemiennych zawiasach. Pchnąłem je i znów stanąłem przed szyldem na tyłach sklepu; przynajmniej po tej stronie Ulica Przechodnia nic się nie zmieniła. Choć fantastyczna i nierzeczywista przez swą trawę i purpurowe kwiaty, złociste wieżyczki oraz świat kończący się po drugiej stronie trawy, to jednak odetchnąłem z ulgą na widok czegoś, co widziałem wcześniej. Myślałem już, że na zawsze utraciłem świat,

---

1\* „Av er kike” (Off you kike) — wynoś się, guđłaju (przyp. tłum.)

który znałem. Teraz, będąc znów na Ulicy Przechodniej, mniej się czułem samotny niż wtedy, gdy znalazłem się tam, gdzie powinny być rzeczy mi znajome. Znowu wróciłem myślą do tego co pozostawiłem w rozległej Krainie Snów i do Saranoory. A kiedy ponownie ujrzałem białe chaty, poczułem się mniej samotny na samą myśl o kocie, choć ten przeważnie śmiał się z tego co mówiłem.

Pierwsze co powiedziałem gdy zobaczyłem wiedźmę, to że zgubiłem mój świat i zamierzam resztę dni spędzić w pałacu Singanee.

— No tak! Przeszedłeś przez złe drzwi! — usłyszałem z jej ust.

— Tak, ale to przecież ta sama ulica. Tyle że ulica zmieniła się, Londyn przemiął, i ludzie, których znałem, i domy, w których bywałem, i wszystko. Jestem zmęczony...

— To po co przechodziłeś przez złe drzwi? — pytała.

— O, to nie miało żadnego znaczenia — powiedziałem.

— Nie miało? — spytała przekornie.

— No, chciałem znaleźć się na bliższym końcu ulicy, żeby — prędzej dojść do Embankmentu i mej łodzi. A teraz moja łódź i Embankment, i...

— Niektórzy ludzie zawsze się tak spieszą — powiedział stary czarny kot. Byłem zbyt nieszczęśliwy, by się gniewać i nie powiedziałem nic więcej. Wiedźma spytała:

— A teraz którą drogą chcesz pójść? — mówiąc jak niańka do małego dziecka.

— Nie mam dokąd iść — odpowiedziałem.

— Wolałbyś pójść do domu, czy do pałacu Singanee? — nie ustępowała.

— Boli mnie głowa i nigdzie nie chcę iść, i mam dość Krainy Snów

— odparłem.

— Przypuśćmy, że przeszedłbyś przez właściwe drzwi — rzekła.

— Na nic się to nie zda — powiedziałem. — Wszyscy umarli i odeszli, i dobrze im się powodzi.

— A cóż ty wiesz o Czasie? — zapytała.

— Nic — odparł stary czarny kot, chociaż nikt go nie pytał.

— Idź więc — powiedziała stara.

Odwrociłem się więc i znowu podreptałem na Ulicę Przechodnią. Byłem bardzo zmęczony.

— Czy on w ogóle coś wie o czymkolwiek? — pytał, gdy odchodziłem, stary, czarny kot. Wiedziałem co powie teraz. Odczekał chwilę i rzekł: — Nic.

Kiedy obejrzałem się przez ramię, dumnie kroczył w kierunku chaty. Dochodząc do Ulicy Przechodniej, apatycznie otworzyłem drzwi, przez które ostatnio przeszedłem. Nie widziałem w tym żadnego sensu, lecz — znużony — robiłem to, co mi kazano. Gdy tylko znalazłem się w środku zobaczyłem, że wszystko jest tam tak, jak dawniej — nawet rozespany starzec, co sprzedawał bożki. Uradowany widokiem dobrze znanych mi rzeczy, kupiłem coś zupełnie pospolitego, czego wcale nie potrzebowałem.

Gdy odwróciłem się od Ulicy Przechodniej, która wyglądała tak samo jak zawsze, pierwsze co zobaczyłem, to taksometr wolnej, eleganckiej taksówki. Krzyknąłem z radości i zdjąłem kapelusz. Dotarłem do Embankmentu, znalazłem tam swoją łódź i majestatyczną rzekę niosącą to, co zwykle.

Popłynąłem z powrotem i kupiłem gazetę za pensa (wyglądało na to, że nie było mnie jeden dzień). Przeczytałem ją od deski do deski — osobliwe lekarstwo na nieuleczalną chorobę — i postanowiłem, że jak tylko odpocznę będę spacerował wszystkimi ulicami, które znam, i dzwonił do wszystkich ludzi, których kiedykolwiek spotkałem, i długo nie opuszczę znanej nam dziedziny.

## SKLEP NA ULICY PRZECHODNIEJ A SHOP IN GO-BY STREET

Powiedziałem, że muszę znów powrócić na Yann i zobaczyć, czy „Ptak Rzeczny” po niej kursuje i czy nadal dowodzi nią jej brodaty kapitan, czy też wciąż wysiaduje przy bramie starego Belzoonu popijając wieczorami to cudowne, żółte wino, które przynosi góral z Hian Min. Pragnąłem znowu ujrzeć żeglarzy co przyplływają z Durl i Duz, i usłyszeć z ich ust jaki los spotkał Perdóndaris, gdy zguba niespodziewanie przyszła ze wzgórz i spadła na to sławne miasto. Pragnąłem też usłyszeć żeglarzy modlących się co noc do swych bogów i poczuć jak budzi się chłodny wieczorny wiatr, gdy płonące słońce odchodzi znad tej egzotycznej rzeki. Sądziłem, iż nigdy już nie ujrzę fal Yann, lecz gdy — nie tak dawno — porzuciłem politykę, znów rozwinęły się skrzydła mej fantazji, które ongiś opadły, i miałem nadzieję raz jeszcze wyruszyć do ziem za Wschodem leżących, gdzie Yann jak dumny biały rumak bieży przez Krainę Snów.

Zapomniałem jednak drogę na kraniec znanej nam dziedziny, do tych małych wiosek, których okna, choć zasnutę wieczną pajęczyną, wyglądają na dziedziny nam nie znane i są punktem wyjścia do wszystkich przygód w całej Krainie Snów.

Rozpytywałem więc i zostałem skierowany do sklepu ze snami, który mieści się niedaleko Embankmentu, w centrum Londynu. Trudno się dziwić, że pośród tylu ulic ile ma to miasto, znajdzie się taka, której jeszcze nie widzieliście: nazywa się Ulica Przechodnia i wejdziecie na nią ze Strandu, jeśli dobrze poszukacie. A kiedy wejdziecie do tego sklepu nie przechodźcie od razu do sedna sprawy, lecz poproście by wam coś sprzedano. Jeśli będzie to coś, co właściciel ma na składzie, wręczy wam to i uprzejmie pożegna. Taki ma zwyczaj. Wielu zawiodło się pytając o jakąś niezwykłą rzecz, taką jak muszla ostrygi, w której znaleziono jedną z tych rzadkich pereł, użytych, według Apokalipsy, na wrota Niebios, i stwierdzając, że starzec ma ją na składzie.

Sprzedawca siedząc drzemał, kiedy wszedłem do jego sklepu. Ciężkie powieki niemal całkiem opadły mu na oczy, usta miał szeroko otwarte. Powiedziałem:

— Chcę trochę Abamy i Pharpahu, rzek Damaszku.

— Ile? — spytał.

— Po dwa i pół jarda każdej, z dostawą do domu.

— To wielce kłopotliwe — mruknął — wielce kłopotliwe. Nie trzymamy tego w takich ilościach.

— A więc wezmę tyle, ile macie — powiedziałem.

Podniósł się z trudem i obejrzał kilka butelek. Widziałem jedną z etykietą „Nil, rzeka Egiptu” i inne z naklejkami „Święty Ganges”, „Phlegethon”, „Jordan”. Już prawie zacząłem się obawiać, że je ma, kiedy usłyszałem jak znów pomrukuje: „To wielce kłopotliwe”. W końcu powiedział:

— W tej chwili nie mamy.

— Zatem — powiedziałem — chcę, aby wskazał mi pan drogę do tych małych wiosek, przez okna których poeci spoglądają na nieznanne nam dziedziny, bo chcę udać się do Krainy Snów i raz jeszcze pożeglować po potężnej, morzu podobnej Yann.

Sprzedawca ruszył ciężkim krokiem, sapiąc, na tyły sklepu, a ja poszedłem za nim. Mroczną graciarnię wypełniały posążki bożków. U wejścia panował mrok i półmrok, lecz z odległego końca pomieszczenia rozchodziła się błękitna poświata, w której zdawały się świecić gwiazdy i jarzyły się głowy bożków.

— To — rzekł tłusty starzec w kapciach — są niebiosa bogów, którzy śpią. Spytałem jacy bogowie śpią, a on wymienił imiona, których nigdy nie słyszałem i takie, które znałem.

— Wszyscy ci, którzy nie są teraz czczeni, śpią.

— A więc Czas naprawdę nie zabija bogów? — zapytałem.

— Nie. Przez trzy lub cztery tysiące lat dany jest czczony, i przez trzy lub cztery śpi. Tylko Czas wiecznie czuwa — odparł.

— A ci, którzy nauczają o nowych bogach — powiedziałem — czy sami nimi nie są?

— Oni słyszą jak starzy bogowie poruszają się we śnie przed przebudzeniem, ponieważ nadchodzi świt i pienia kapłanów. Ci są szczęśliwymi prorokami; nieszczęśliwymi są ci, którzy słyszą jak



jakiś dawny bóg przemawia będąc wciąż pogrążony w głębokim śnie, i głoszą prorocstwo za prorocstwem, a świt nie przychodzi. Tych ludzie kamieniują mówiąc: „Przepowiedz teraz gdzie uderzy cię ten kamień”.

— A więc Czas nigdy nie zabija bogów — powiedziałem.

— Oni umrą przy łożu śmierci ostatniego człowieka. Wtedy Czas oszaleje z samotności i nie odróżni swych godzin od wieków, a one będą się tłoczyć wokół niego błagając by je rozróżnił, zaś on położy im bezsilne dłonie na głowach i spojrzy niewidzącym wzrokiem, i powie: „Moje dzieci, nie odróżniam jednego z was od drugiego”. Na te słowa Czasu opustoszałe światy zawirują opętańczo.

I przez dłuższą chwilę milczałem, bo wybiegłem wyobraźnią w te odległe lata i spojrzałem na siebie z drwiną. Byłem ledwie jednodniową istotą.

Nagle, słysząc ciężki oddech starego człowieka, zdałem sobie sprawę, że zapadł w sen. To nie był zwyczajny sklep: obawiałem się, że jeden z jego bogów może się obudzić i wezwać starca; bałem się tyłu rzeczy, było tak ciemno, i jeden czy dwa idole były więcej niż groteskowe. Mocno potrząsnąłem starcem.

— Wskaż mi drogę do tych wiosek — powiedziałem — na krańcu znanej nam dziedziny.

— Nie wiem czy możemy to zrobić — powiedział.

— A więc dostarcz mi bogów — rzekłem. To go otrzeźwiło. Powiedział:

— Wyjdź tylnymi drzwiami i skręć w prawo — po czym otworzył stare, czarne drzwiczki w ścianie, przez które przeszedłem, a on sapnął i zamknął je za mną. Zaplecze sklepu było niewiarygodnie stare. Na próchniejącym szyldzie zobaczyłem litery starodawnego pisma: „Sprzedaż łasic i nefrytowych kolczyków”. Słońce już zachodziło i lśniło na małych, złotych wieżyczkach, które błyszczały wzdłuż dachu dawno temu pokrytego strzechą z cudownej słomy. Zobaczyłem, że cała Ulica Przechodnia ma ten sam dziwny wygląd, gdy oglądać ją od tyłu. Trotuar był podobny do tego, którego byłem zwyczajny, i którego tyle tysięcy mil ciągnęło się po drugiej stronie tych domów, ale sama ulica była bujną, niezdeptaną łąką pełną tak cudownych kwiatów, że wabiła z daleka stada przelatujących

wysoko motyli, lecących nie wiem dokąd. Po drugiej stronie ulicy też był trotuar, lecz nie było żadnych domów. Nie zatrzymałem się aby sprawdzić co znajdowało się zamiast nich, bowiem skręciłem w prawo i poszedłem Ulicą Przechodnią, aż dotarłem do otwartych przestrzeni i wiejskich ogrodów, których szukałem. Olbrzymie kwiaty wyrastały tam pod niebo, niczym fajerwerki, by rozsypać się w purpurowe kwiatostany. Stały tam ogromne i promienne, nuąc cicho dziwne pieśni. Inne podeszły do nich, zakwitły i też zaczęły śpiewać. Bardzo stara wiedźma wyszła przez tylne drzwi swej chaty do ogrodu, w którym stałem.

— Co to za piękne kwiaty? — spytałem.

— Sza! Sza! — powiedziała. — Właśnie kładę poetów do snu. Te kwiaty są ich snami.

Zatem trochę ciszej:

— Co to za cudowna pieśń, którą śpiewają? — ponownie zapytałem. A ona rzekła:

— Bądź cicho i słuchaj.

Słuchałem i stwierdziłem, że śpiewają o moim własnym dzieciństwie i rzeczach, które wydarzyły się tak daleko stąd, że całkiem o nich zapomniałem dopóki nie usłyszałem tej cudownej pieśni.

— Czemu śpiew jest tak cichy? — spytałem.

— Umarłe głosy — powiedziała. — Umarłe głosy.

Zawróciła do swojej chaty powtarzając: „Umarłe głosy”, lecz cicho, w obawie, że zbudzi poetów.

— Oni tak źle śpiąją kiedy żyją — powiedziała.

Na palcach wszedłem schodami na górę, skąd przez okna, patrząc w jedną stronę, widzieliśmy znane nam dziedziny, a patrząc w drugą — pagórkowate krainy, których szukałem bojąc się, że ich nie odnajdę. Natychmiast spojrzełem ku baśniowym góróm; płonęły poświatą zachodu, a na ich fiołkowych zboczach rozbłyskały lawiny schodzące z łoskotem ze szmaragdowych, lodowych szczytów. W łańcuchu niebieskoszarych wzgórz, nad ametystową otchłanią ziała znajoma wyrwa, poprzez którą widać Krainę Snów.

Cisza panowała w pokoju, w którym spali poeci, kiedy zszedłem na dół. Stara czarownica siedziała przy stole robiąc na drutach

wspaniały płaszcz ze złota i zieleni dla króla, który był martwy od tysiąca lat.

— Czy on się na coś przyda królowi, który umarł? — zapytałem.

— Kto wie? — odpowiedziała tajemniczo.

— Co za głupie pytanie — rzekł jej stary czarny kot, który leżał zwinięty w kłębek przy trzaskającym ogniu.

Gwiazdy świeciły już nad tą romantyczną krainą, gdy zamknąłem drzwi domu wiedźmy. Świetliki już wystawiały nocną straż wokół zaczarowanych chat. Odwróciłem się i pobiegłem ku wyrwie w niebieskoszarym łańcuchu gór.

Nim tam dotarłem jakieś kolory zaczęły się już pojawiać w ametystowej otchłani wypełniającej wyrwę, chociaż nie był to jeszcze poranek. Słyszałem człapanie i czasem daleko w dole dostrzegłem błysk łusek tych złotych smoków, które są dziełem kowali Sirdoo, a życie zawdzięczają zaklęciom czarodzieja Amargrana. Po przeciwnej stronie, na skraju urwiska, według mnie zbyt blisko by był bezpieczny, stał pałac z kości słoniowej wielkiego Singanee — łowcy słoni. Nikłe światła pojawiły się w oknach — niewolnicy wstali do pracy i z ciężkimi powiekami rozpoczęli dzień.

Promień słońca omiół świat. Niechaj inni opiszą jak stał z ametystowego urwiska czarny cień tego, co stało naprzeciw, jak ta jedna włócznia światła przebiła całe staję ametystu, i jak ucieszone kolory podskoczyły by powitać światło, rzucając za siebie purpurowy blask na ściany pałacu ze słoniowej kości, podczas gdy na dnie tego niewiarygodnego wąwozu złote smoki wciąż igrały w ciemnościach.

W tejże chwili z drzwi pałacu wyszła niewolnica i ze skraju urwiska wysypała kosz szafirów. A gdy dzień ogłoszono na tych wysokościach i ametystowa otchłań wypełniła się blaskiem, łowca słoni zbudził się w swoim pałacu, wziął swą straszliwą włócznię i wyszedłszy drzwiami zwróconymi ku równinom ruszył by pomóc Perdóndaris.

Wtedy odwróciłem się i spojrzałem na Krainę Snów, a biała, poranna mgiełka, która nigdy całkiem nie znika, unosiła się w górę. Wznoszące się ponad nią, jak wyspy, ujrzałem Wzgórza Hap i miedziane, opustoszałe miasto — starą Bethmoorę. Dalej Uthnar

Vehi oraz Kyph, Mandaroon i długą wstęgę Yann. Raczej odgadłem niż dojrzałem Hian Min, których niewzruszone i odwiecznej wierchołki, rzadko zauważalne ponad skłębionymi pagórkami acrotiańskich j wzgórz, piętrzą się u ich stóp i wśród których, jak pamiętałem, kryły się Durl i Duz. Jednak najlepiej postrzegałem ten prastary bór, przez który, idąc do j brzegu Yann przy pełni księżyca, można dojść do zakotwiczonego tam „Ptaka Rzecznego”, przez trzy dni czekającego na pasażerów, jak zostało mu przepowiedziane. Ponieważ ten czas właśnie nadszedł, pospieszyłem przez wyłom w niebieskoszarych wzgórzach, ścieżką elfów jak baśń starą, aż doprowadziła mnie na skraj lasu. Choć gęsty mrok panował w tym borze, zwierz, który w nim zamieszkiwał był jeszcze czarniejszy. Bardzo rzadko się zdarza by jakiś wędrowiec podążający przez Krainę Snów został pochwycony przez te bestie, a jednak biegłem; bo jeśli duch człowieka zostanie schwytyany w Krainie Snów, jego ciało może dalej żyć przez wiele lat i dobrze poznać bestie, które go pożarły, wyraz ich małych ślepi, smród ich oddechu; to dlatego pole reinkarnacyjne w Hanwell jest tak bardzo wydeptane.

W końcu dotarłem do nurtu dumnej, morzu podobnej, ogromnej Yann, do której wpadały strumienie z niezliczonych ziem — z nimi płynęła śpiewając. Śpiewając niosła kawałki drewna i całe drzewa, zwalone w odległych, niewidocznych lasach, przynosząc je na swych potężnych barach. Jednak ani na rzece, ani na pobliskim kotwicowisku nie było śladu statku, który chciałem zobaczyć.

Wybudowałem sobie chatę i pokryłem jej dach ogromnymi, rozłożystymi liśćmi cudownego ziele. Posiliwszy się mięsiwem co rośnie na drzewie targarowym, czekałem przez trzy dni. Jak dzień długi rzeka przetaczała się obok, a nocami śpiewał ptak tolulu i olbrzymie świetliki nie miały nic innego do roboty, jak przepływać strugami tańczących iskier. Nic nie marszczyło powierzchni Yann w dzień, nic nie płoszyło ptaka tolulu w nocy. Nie wiedzieć czemu obawiałem się o statek, którego oczekiwałem, i jego przyjacielskiego kapitana. Przez cały dzień wyglądałem ich na rzece i nasłuchiwałem w nocy, póki tańczące świetliki nie uśpiły mnie swym tańcem. Tylko trzy razy w ciągu tych trzech nocy ptak tolulu spłoszył się i przerwał swoją pieśń. Za każdym razem zrywałem się ze snu by stwierdzić, że

to tylko świt wystraszył śpiewaka. Te nieopisane poranki na Yann rodziły się jak płomień w jakiejś krainie za górami, gdzie czarodziej w sekretny sposób zapala ogromny ametyst w mosiężnym kotle. Zwykle przyglądać się im w zachwycie kiedy milkły ptaki — aż zniemacka słońce wylaniało się zza wzgórz i wszystkie prócz jednego ptaki zaczynały śpiewać; ptak tolulu spał mocno, aż otworzywszy oko ujrzał gwiazdy.

Czekałbym tam przez wiele dni, lecz na trzeci dzień samotność przywiodła mnie do miejsca, gdzie po raz pierwszy spotkałem „Ptaka Rzecznego” stojącego na kotwicy: brodaty kapitan siedział na pokładzie. Gdy tak patrzyłem na czarny muł zatoki, malując w myślach obraz gromady żeglarzy, których nie widziałem od dwóch lat, zobaczyłem stary kadłub wystający z mułu. Upływ wieków w części obrócił go w próchno, a w części pokrył mułem. Wyjątkiem był dziób statku, gdzie dostrzegłem wyblakły napis. Przeczytałem go wolno — „Ptak Rzeczny”. Wtedy zrozumiałem, że kiedy w Irlandii i Londynie ledwie dwa lata minęły — wieki przeszły na Yann, w przegniły wrak zmieniając ten znany mi niegdyś statek i przed wielu laty grzebiąc w ziemi kości najmłodszych z mych przyjaciół, co często śpiewali mi o Durl i Duz lub opowiadali smocze legendy Belzoondu. Bowiem poza znanymi nam dziedzinami ryczą wichry stuleci, których jeno echa niepokoją — choć dotkliwie — nasz świat, podczas gdy wszędzie indziej panuje cisza.

Stałem chwilę przy tym potrzaskanym wraku, odmawiając modlitwę za to, co mogło być nieśmiertelne w tych, którym przeznaczone było żeglować po Yann. Modułem się za nich do bogów, do których oni lubili się modlić — do pomniejszych bóstw co opiekują się Belizoondem. Później, pozostawivszy chatę, którą wybudowałem, tym żarłocznym latom, odwróciłem się od Yann i wszedłszy w las wieczorem, gdy orchidee właśnie rozchyłały płatki by noc upachnić, wyszedłem zeń rankiem, spędzając dzień w ametystowym cieniu wyrwy w niebieskoszarych wzgórzach. Zastanawiałem się, czy Singanee, ten potężny łowca słoni, znów wrócił ze swą włócznią do pałacu z kości słoniowej, czy też spotkał go los taki sam jak Perdóndaris. Gdy mijałem pałac zobaczyłem u tylnych drzwi kupca sprzedającego nowe szafiry. Poszedłem więc

dalej i z nadejściem zmroku dotarłem do tych małych chat i elfowych gór, które można dostrzec ze znanej nam dziedziny. Udałem się do starej czarownicy, którą widziałem przedtem. Siedziała w swym saloniku otulona czerwonym szalem, wciąż robiąc na drutach ten złoty płaszcz. Za jednym z jej okien słabo świeciły góry elfów, a przez drugie znów ujrzałem znaną nam dziedzinę.

— Powiedz mi coś — rzekłem — o tej dziwnej krainie.

— A co wiesz? — spytała. — Czy wiesz, że sny są iluzją?

— Oczywiście, że wiem — powiedziałem. — Każdy to wie.

— Och, nie, nie każdy — odparła. — Przecież szaleni nie wiedzą?

— To prawda — przyznałem.

— A czy wiesz — powiedziała — że Życie jest iluzją?

— Oczywiście, że nie jest — powiedziałem. — Życie jest rzeczywistością, Życie jest prawdą...

Słyszac to, zarówno czarownica, jak i jej kot (który nie ruszył się ze swojego starego miejsca przy kominku) wybuchnęli śmiechem. Stałem tam przez jakiś czas, bowiem o wiele rzeczy chciałem spytać, lecz kiedy zobaczyłem, że ich śmiech nigdy się nie skończy, odwróciłem się i poszedłem sobie.

## ZMAGANIA Z CZASEM

Czas nieubłaganie porządkuje nasz codzienny świat. Naszą dziedziną rządzi przestrzeń i czas. A czy w świecie marzeń i halucynacji także panem wszystkiego jest Czas? Przestrzeń — jak widzieliśmy w poprzednich opowiadaniach — czasami ulega „zawieszeniu”, wzajemnie przenika się, tworzy rozmaite plany. Chwila i wieczność, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są poza naszą władzą, ale czy także poza władzą marzenia?

Przeznaczenie można próbować zwodzić, Czas zawracać, ale na ile jest to autentyczne i trwałe zwycięstwo? Tajemnica Czasu i Przemijania jest głównym motywem prezentowanych obecnie opowiadań.

## CARCASSONNE

## CARCASSONNE

Kiedy Camorak panował w Arn, a świat był lepszy, wydał on ucztę dla całego Wealdu, by uczcić przepych swej młodości.

Mówią, że jego dom w Arn wielki był i wysoki, a sufit niebieski. Gdy wieczór nastawał, wspinano się na drabiny i zapalano liczne świece na cienkich łańcuchach wiszące. Mówią też, że czasem przez któreś z okien wykuszowych chmura do środka wpływała ponad kamiennym parapetem, tak jak mgła morską nadchodzi ponad stromą i gładką krawędzią klifu, gdzie stary wiatr wieje od wieków (porwał on tysiące liści i tysiące stuleci, gdyż dla niego jednym one są, a Czas żadnego nie ma nad nim prawa). Będąc już pod wzniosłym sklepieniem sali, chmura na powrót kształt swój przybierała i unosząc się powoli innym oknem na zewnątrz uchodziła. Z kształtów jej rycerze w sali Camoraka siedzący wróżyli zwykle wyniki bitew i obłężeń roku następnego. O sali tej mówią, że była jedyna i niepowtarzalna.

Do niej to zeszedli się mieszkańcy Wealdu, ci z owczarni i ci z lasu. Wszyscy oni w tej słynnej sali zasiedli dumając o strawie, schronieniu i miłości. Byli tam też ludzie z Arn, miasta które ze wszystkich stron do wzniesłego królewskiego domu przyłgnęło, a którego budowle są pokryte czerwoną ziemią ojczystą.

Piękna była to sala, jeżeli wierzyć starym pieśniom. Wielu spośród siedzących dotąd z daleka tylko ją widziało, jej kształt w krajobrazie wyraźnie się rysujący, lecz mniejszy niżli wzgórze. Teraz pod ścianą broń ludzi Camoraka ujrzeni, o której lutniarze pieśni układali i w zagrodach o niej opowiadano. Tam też opisano tarczę Camoraka, która w niejednej bitwie udział wzięła, i ostre, choć poszczerbione, ostrze jego miecza. Była tam broń Gadriola Wiernego, Norna, Athorica od Miecza, Heriela Dzikiego, Yarolda i Thanga z Esk; broń wisiała obok siebie na ścianie tak nisko, że można ją było dosięgnąć. Wśród nich, na honorowym miejscu, między bronią Camoraka i Gadriola Wiernego, wisiała harfa



Arleona. Wśród całego tego oręza nie było dla wrogów Camoraka nic bardziej złowieszczego niżli harfa Arleona. Bo dla kogoś, kto przeciw mocnej fortecy wyrusza, miłe jest brzęczenie i wstrząs jakiejś okropnej wojennej maszyny, którą za nim jego współtowarzysze w ruch wprawiają, z której potężne kamienie jęcząc ponad jego głową wylatują i między wroga spadają. Miłe dla wojownika są szybkie rozkazy Króla w toczącej się walce wydawane, pociechą są mu odległe radosne okrzyki jego towarzyszy, gdy bieg wojny się zmienia. Tym właśnie i czymś więcej jeszcze była harfa dla ludzi Camoraka, bo nie tylko odwagi wojownikom dodawała, lecz nie jeden raz Arlean od Harfy wielkie zamieszanie wśród wroga opornego czynił, gdy przepowiadnię w ekstazie wykrzykiwał, a ręka jego grzmiące struny trącała. Nigdy wojny żadnej nie zaczęto, póki Camorak i jego ludzie harfy nie wysłuchali i muzyką jej upojeni, za nic pokój mieli. Raz, by rym zachować, Arleon wojnę wszczął z Estabonnem i obalając króla złęgo chwałę i honor zdobyto; bo czasem takich dziwnych trzeba przyczyn, by dobro z nich wypłynęło.

Ponad tarczami i harfami na ścianach wokół sali widniały wizerunki herosów, co w sławnych fantastycznych pieśniach żyli. Błahe wydawały się wszystkie na ziemi znane zwycięstwa, gdyż ludzie Camoraka zbyt łatwo je przewyższyli; spośród siedemdziesięciu bitew Camoraka żadne trofeum nie było wystawione, bo niczym one były dla niego lub jego wojowników w porównaniu z tym, o czym w młodości marzyli i co jeszcze dokonać zamierzali.

Nad malowidłami ciemność już tylko była, bo noc się zbliżała, a świec pod dachem wiszących jeszcze nie zapalono. Było tak, jakby kawałek nocy w gmach ten wbudowano lub jakby skała olbrzymia w niego wrosła. Siedzieli tam wszyscy wojownicy z Arn i podziwiający ich lud z Weald; żaden nie liczył więcej niż lat trzydzieści, a wszyscy w wojnie zaprawieni. Na głównym miejscu Camorak siedział, młodością swoją się upajając.

Musimy walczyć z Czasem przez jakieś siedem dziesiątków lat, w pierwszych trzech starciach lichym jest i słabym przeciwnikiem.

Na uczcie tej obecny był wróżbita, który znał koleje Losu.

Siedział wśród ludzi z Wealdu, miejscem swym się nie wyróżniając, gdyż Camorak i jego ludzie Losu się nie bali. Gdy mięso już zjedzono i kości na bok zostały odrzucone, król z miejsca swego powstał i wina wypiwszy, młodością swą promieniejąc i rycerzami swymi otoczony zawołał do wróżbity:

— Przepowiadaj!

Ten podniósł się i siwą swą brodę głaszcząc odezwał się wymijająco.

— Są pewne zdarzenia — rzekł — na drogach Losu, które nawet przed okiem wróżbity są skryte, lecz i wiele jest dla nas widocznych, które lepiej by innym wiadome nie były. Wiele znam spraw, których lepiej nie przepowiadać, są i takie, których nie wyjawię, choćby i wieki bolesnej kary mnie czekały. To jednak wiem i przepowiadam — że nigdy nie dotrzesz do Carcassonne.

Nagle też o Carcassonne wielu mówić poczęło — niektórzy pieśń lub opowieść o nim słyszeli, inni o nim czytali lub marzyli. Posłał król Arleona od Harfy, co po prawej jego ręce siedział, by wśród ludzi z Wealdu siadając posłuchał, co o Carcassonne mówią. Wojownicy zaś wspominali miejsca, które niegdyś zdobyli — warowne fortece, kraje odległe — przysięgając, że dojdą do Carcassonne.

Wrócił niebawem Arleon na swe miejsce po prawej ręce króla i harfę swą wznosząc o carcassonne śpiewnie opowiedział. Leży ono daleko, bardzo daleko — miasto lśniących wałów, wznoszących się kolejno nad sobą i marmurowych tarasów za nimi, fontann na tarasach szemrzących. Do Carcassonne właśnie po raz pierwszy od ludzi odeszli królowie elfów ze swymi wróżkami i w maju u schyłku dnia je zbudowali, dmąc w swe rogi czarodziejskie. Carcassonne! Carcassonne!

Czasem widzieli je podróżnicy niczym sen wyraźny, słońce odbijało się od cytadeli na szczycie odległego wzgórza stojącej, potem chmury nadchodziły czy też nagła mgła; nikt długo go nie oglądał i nikt do niego się nie zbliżył, choć razu pewnego znaleźli się śmiałkowie, co bardzo blisko podeszli i nagły podmuch dymem z domostw w twarze im wionął — i tyle tylko... Oni to twierdzili, że ktoś palił tam drewno cedrowe. Ludzie śnili, że mieszka tam

czarownica, która samotnie spaceruje poprzez zimne dziedzińce i korytarze marmurowych pałacy, piękna straszliwie mimo swych osiemdziesięciu stuleci, śpiewa najstarszą prawie pieśń, której od morza się nauczyła, nad samotnością swą rozpacza łyż lejąc z oczu, które armie całe do szaleństwa mogłyby doprowadzić, lecz nie wezwie swych smoków do domu — Carcassonne okropnie jest strzeżone. Czasem pływa w marmurowej łaźni, przez której głębiny rzeka nurty swe toczy, albo też na jej brzegu ranek cały leży w słońcu, nudząc się i przyglądając jak rzeka falowaniem swym głębiny łaźni burzy. Rzeka jaskiniami ziemi płynie dłużej niżli sama może mierzyć, w łaźni czarownicy na światło dzienne wypływa i zaraz znów pod ziemią znika, do swego dziwnego morza płynąc.

Jesienią czasem przypląwa czarna od śniegu, który wiosna roztopiła w górach przez wyobraźnię nieobjętych, a czasem tlesie ze sobą wspaniale wyschnięte kwiaty krzewów górskich.

Gdy w wodzie krew się pojawia, wtedy wie, że w górach wojna się toczy; nie wie jednak, gdzie są te góry.

Gdy ona śpiewa, z ciemnej ziemi fontanny w tańcu się wznoszą, a gdy włosy swe czesze, mówią, że morze jest wzburzone. Kiedy zła jest, wtedy wilki śmiałości nabierają i do owczarni podchodzą, a gdy smutna, smutne jest i morze, i oboje na zawsze są smutni. Carcassonne! Carcassonne!

Miasto to najpiękniejszym spośród cudów jest poranka; słońce okrzyk wydaje, gdy je widzi. Wieczór za Carcassonne tęskni, gdy odchodzi.

Opowiedział też Arleon, ileż to wielkich niebezpieczeństw wokół miasta czyhało, że nieznaną do niego jest droga i jakże rycerska jest to wyprawa. Wtedy wszyscy wojownicy powstali i pieśnią sławili blask tej wyprawy, a Camorak poprzysiągł na bogów, co Arn zbudowali i na honor swych wojów, że żywy lub martwy do Carcassonne dotrze.

Wróżbita zaś powstał i salę opuścił, wychodząc dłonią okruchy z siebie otrzepał i szatę swą wygładził. Wtedy Camorak rzekł:

— Wiele trzeba zaplanować, wielu rad trzeba wysłuchać i wiele paszy zabrać. Którego dnia wyruszymy?

— Teraz! — wojownicy w odpowiedzi okrzyk wydali.

Słyszając to uśmiechnął się Camorak, bo tylko ich próbował. Zdjęli więc ze ścian broń swoją, Sikorix, Kelleron, Aslof, Wole of the Axe, Huhenoht, Peace-breaker, Wolwuf, Father of War, Tarion, Lurth of the War-cry i wielu innych.

W zbroje odziani w szyku salę opuścili, a na przedzie, Carcassonne opiewając, szedł Amorak.

Tymczasem lud z Wealdu pożywiwszy się dobrze do owczarni swych wrócił. Nieskory był do wojen czy niebezpieczeństw. Wojnę zawsze tylko z głodem prowadził: jego bitwą była długa susza albo sroga zima. Gdy wilki do owczarni się wdaryły, to tak jakby fortecę stracili, a burza nad ich płonem była niczym zasadzka. Najadłszy się więc do syta, odeszli wolno do swoich owczarni, rozejm z głodem zawierając. Noc gwiazd pełna była...

Na tle nieba gwiazdzistego czarne były okrągłe hełmy wojów, gdy szli szczytami gór, a w dolinach co trochę iskrami sypali, gdy światło gwiazd w stali się odbijało.

Szli za Amorakiem, na południe zdążając, skąd wieści o Carcassonne dotąd przychodziły. Maszerowali więc w blasku gwiazd, a on szedł przed nimi śpiewając.

Gdy uszli tak daleko, że żadnego odgłosu z Arn już nie słyszeli i nie słychać już było kołyszących się dzwonów, gdy świece dopalając się w wysokich wieżach nie niosły im już powitania, wśród łagodnej nocy, która do snu kołysze wiejskie Okolice, zmęczenie ogarnęło Amoraka i zapął jego minął. Powoli to się stawało. Coraz mniej był pewny drogi do Carcassonne. Stanął na chwilę, by myśli zebrać i drogę sobie przypomnieć, lecz pewność jego inną była. Umysł jego usilnie pracował by przypomnieć sobie stare opowieści i przepowiednie, które mówiły o cudownym tym mieście. A gdy powtarzał uważnie pieśń, którą wędrowiec nauczył się od pastucha owiec strzegącego — gdzieś ponad niższym zboczem najwyższych gór południowych, wtedy zmęczenie opadło na jego utrudzony umysł niczym śnieg, który padając nocą na hałaśliwe drogi miejskie, wszystko ucisza.

Wojownicy wokół niego się zebrali. Długo szli mijając dęby, tu i tam samotnie stojące. Były one jak olbrzymy, co głęboko tchu nabierają wciągając nocne powietrze, zanim coś straszego uczynią.

Teraz zaś doszli na skraj czarnego lasu, pnie drzew stały tam, jak wielkie kolumny w sali egipskiej, gdzie Boga na dawny sposób ludzie wielbili. Wierzchołek lasu pochylał się, drogę robiąc dla boru pradawnego. Tutaj się zatrzymali i ogień rozpalili, iskry krzesząc z krzemienia na stos z paproci ułożony. Zbroje swoje zdjawszy, wokół ognia siedli, a Camorak powstał i zwracając się do nich, rzekł:

— Wojnę z Losem prowadzić będziemy, który to przesądził, że do Carcassonne nie dojdę. Gdy choć jeden z wyroków Losu zmienimy, wtedy do nas przyszłość świata będzie należała, a przyszłość przez Los wyznaczona — będzie jak suche koryto rzeki, która bieg swój zmieniała. Lecz jeśli tacy jak my, tak śmiali zdobywcy, nie zmienią jednego choćby z wyroków Losu, znaczy to, że ludzkość na zawsze już pozostanie niewolnikiem swego wyznaczonego i nieistotnego zadania. Wtedy wszyscy miecze wyciągnęli i w blasku ognia wysoko je trzymając, wojnę Losowi zaprzysięgli.

Nic się nie poruszyło, ani głos żaden się nie odezwał w mrocznym lesie: Zmęczeni ludzie nie śnią o wojnie. Gdy nad lśniącymi polami ranek zaświtał, reszta, która z Arn później wyruszyła, obóz wojowników odnalazła, przynosząc namioty i strawę. I zasiedli wojownicy do uczt, a ptaki w lesie im śpiewały. I wrócił zapał do Arleona.

Potem powstali i idąc za Arleonem, do lasu weszli i dalej na południe pomaszerowali. Niejedna niewiasta z Arn myśli swe ku nim słała, gdy samotnie jakąś smutną melodię grała, lecz ich własne myśli daleko przed nimi były, mknąc ponad łąznią, której głębiną rzeka nurty swe toczy w marmurowym Carcassonne.

Gdy motyle taniec swój rozpoczęły, a słońce w zenicie prawie stanęło, namioty rozbito i wojownicy na spoczynek się udali. Potem znowu ucztowali i rycerskie turnieje prowadzili, aż późnym popołudniem dalej pomaszerowali, o Carcassonne śpiewając.

Noc opadła las tajemnicą osnuwając i drzewom wygląd niesamowity nadając, a z mglistych dolin ukazał się księżyc olbrzymi i żółty.

Ludzie z Arn ogień zapalili i nagle ukazały się cienie podskakujące fantastycznie. Powstając niczym duch, zawiął wiatr

nocny, przemknął między pniami mknąc lśniącymi polanami, obudził bestie drapieżne wciąż o dniu śniące, ptaki nocy poniósł nad pola, by ściagały płochę stworzenie, kwiatem róży uderzył w okno wieśniaka, szeptał nowiny nocy przyjaznej, do ucha wędrowca poniósł pieśń dziewczęcą, splendoru dodał melodii lutnisty granej samotnie na odległych wzgórzach, a głębokie oczy ciem jarzyły się niczym latarnie galeonów, one same skrzydła rozkładając, żeglowały po znanym im morzu. Na tym wietrze nocnym unosiły się też do Carcassonne sny Camoraka.

Maszerowali cały ranek następny i cały wieczór wiedząc już, że do najgłębszych części lasu dochodzą. Razem trzymali się teraz mieszkańcy Arn i szli tuż za wojami. Nieznane im były głębie leśne, lecz znane opowieściom strasznym, których słucha się wieczorem w ciepłym i przytulnym domu. Noc się ukazała, a z nią księżyc olbrzymi. Ludzie Camoraka zasnęli. Czasem budzili się, lecz znów zasypiali, ci zaś, co długo zasnąć nie mogli, słyszeli wśród nocy ciężkie stapania dwunożnych stworów.

Gdy widno się zrobiło, ludzie z Arn nie będąc uzbrojonymi wymykać się zaczęli i grupami przez las wracali. Kiedy się zciemniło, nie zatrzymali się na odpoczynek, lecz wciąż uciekali, póki do Arn nie dotarli i do grozy leśnej swe własne opowieści dołączyli.

Gdy ucztę zakończono, Arleon powstał i na harfie grając dalej ich powiódł. Kilku zaledwie wiernych sług z nimi pozostało. Dzień cały maszerowali przez mrok równie stary jak i noc, a zapal Arleona płonął w umyśle jego niczym gwiazda. Wiódł ich aż do czasu, gdy ptaki sadowić się zaczęły na drzew wierzchołkach. Wtedy obóz rozbili. Jeden już tylko namiot im pozostał i obok niego ognisko rozpalili. Tam, gdzie blask ognia się kończył, Camorak strażnika z mieczem obnażonym postawił. Niektórzy z wojów w namiocie spali, inni wokół niego.

Gdy zmrok zapadł, coś strasznego zabiło i pożarło strażnika. Los i pogłoski pyszne o Carcassonne wyrok wydały, że nigdy tam nie dotrą, lecz zapal Arleona i jego harfa do przodu wojów gnały i przez cały dzień coraz głębiej w las się zanurzali.

Raz smoka ujrzeni, jak niedźwiedzia schwycił i bawił się nim,

uciec mu trochę pozwalając by potem znowu łapą go chytyać.

Wreszcie tuż przed nocą na polanę doszli. Zapach kwiatów niczym mgła z niej się unosił, a każda kropla rosy niebiosą w sobie zawierała.

Była to godzina, gdy zmierzch pocałunek Ziemi składa. Była to godzina, kiedy znaczenia nabierają rzeczy nieistotne i drzewa majestatem swym przepych królów przewyższają, zwierzęta płochliwe na żer wyruszają, bestie drapieżne śnią jeszcze niegroźnie, a Ziemia westchnienia wydaje. Wtedy jest noc.

W środku tej polany szerokiej ludzie Camoraka obóz rozłożyli, ciesząc się widokiem gwiazd na niebo wychodzących.

Tej nocy wreszcie zjedli coś ze swych zapasów i spali spokojnie nie napastowani przez czające się stworzenia, w mroku leśnym grasujące.

Dnia następnego niektórzy z nich na jelenie polowali, inni zaś w trzcinach się kryjąc, z łuku do ptactwa wodnego strzelali. Jednego ubili jelenia, parę gęsi i kaczek drobnych kilkanaście.

Tutaj podróżnicy pozostali, wdychając czyste i świeże powietrze, jakiego nie zna miasto. Za dnia polowali, nocą zaś ognisko palili, śpiewając i ucztując, o Carcassonne zapomnieli. Straszliwi mieszkańcy mroku nigdy ich nie molestowali, w bród było dziczyzny i wszelakiego ptactwa wodnego. Ukochali swe dzienne polowania i ulubione pieśni nocne. Mijał dzień po dniu i tydzień po tygodniu. Czas nad ich obozem księżycę garściami rzucał, złote i srebrne księżycy, z którymi rok przemija. Minęły Jesień i Zima, aż Wiosna nadeszła, a wojownicy wciąż uczta i polowaniem zajęci byli.

Pewnej nocy wiosennej przy ogniu ucztowali i opowieści myśliwskie snuli, a delikatne ćmy z ciemności się wynurzając, barwami swymi w blasku ognia się pyszniły, w ciemność później odlatując. Na szyjach swych woje chłodny wiatr nocny czuli, na twarzach ciepło obozowego ognia. Po którejś tam pieśni cisza między nimi zapadła, a Arleon zerwał się nagle o Carcassonne sobie przypominając. Dłoń jego po strunach przeleciała budząc głębsze akordy, niczym odgłos kroków zwinnych tancerzy na spiziu, a muzyka poleciała w nocną ciszę. Dał się słyszeć głos Arleona:

— Kiedy krew płynie w łaźnie, ona wie wtedy, że w górach wojna

się toczy i tęskni za okrzykiem wojennym ludzi królewskich.

Wszyscy nagle okrzyk wydali — Carcassonne!

Na dźwięk tego słowa odeszła ich beczynność, tak jak sen opuszcza śpiącego, który z krzykiem się budzi. Wkrótce dalej w marszu poszli, nie ociągając się już i nie zatrzymując. Żadną bitwą nie wstrzymani, nieposkromieni przez samotne przestrzenie i drapieżne lata niepokonane woje Camoraka szli przed siebie wiedzeni zapalem wodza. Muzyką harfy Arleona rozdarli mrok pradawnej ciszy; ze śpiewem na ustach bitwy ze straszliwymi dzikimi ludźmi rozpoczynali i wychodzili z nich śpiewając, choć mniej głosów było; przychodzili do wiosek w dolinach muzyką dzwonów rozbrzmiewających, albo widzieli o zmierzchu światła chat innych ostrzegające.

Przysłowiowy stał się ich marsz, legenda powstała o dziwnych, posepnych ludziach. Wśród ludu nocą przy ogniu o nich mówiono, gdy deszcz z dachu kapał lub gdy wiatr dał silnie. Małe dzieci bały się idących z klekotem wstecz. Dziwne opowieści krążyły o ludziach w stare, szare zbroje odzianych, o świcie wierzchołkiem gór kroczących i nigdy o schronienie nie proszących. Matki mówiły synom, którzy w domach się niecierpliwili, że ci siwi wędrowcy też kiedyś byli niecierpliwi, a teraz w odpoczynek już zwątpili i gdy tylko wiatr się gniewa, gna ich wraz z deszczem.

W wędrowce ich pociechą była nadzieja dojścia do Carcassonne, później złość przeciw Losowi, później zaś maszerowali, bo lepszy im się zdał marsz niż myślenie.

Wiele lat wędrowali i z niejednym plemieniem walczyli. W wioskach często legendy zbierali i słuchali leniwych śpiewaków pieśni śpiewających, a pogłoski o Carcassonne wciąż z Południa nadchodziły.

Pewnego dnia dotarli do krainy górzystej, w której legendę usłyszeli mówiącą, że o trzy doliny drogi w pogodny dzień można zobaczyć Carcassonne. Choć niewielu ich już zostało, zmęczeni byli i znużeni latami, które wojny im przyniosły, to ciągle naprzód parli, prowadzeni zapalem Arleona, który zmalał z wiekiem, wciąż grając na swej harfie.

Przez cały dzień do doliny schodzili, a przez dwa następne



wspinali się, aż pod szczytem góry dotarli do Miasta Które W Wojnie Nie Może Być Zdobyte. Bramy miasta zamknięte były i żadnej nie było drogi okrężnej. Przejście było tylko przez miasto, zaś po obu stronach przepaści strome jak daleko okiem sięgnąć. Camorak więc wojów swych w szyku bojowym ustawił, by ostatnią bitwę stoczyli, a oni do przodu ruszyli ponad kruchymi kośćmi starych armii nie pogrzebanych.

Żaden wartownik w bramie ich nie zatrzymał, ani jedna strzała z wież nie poleciała. Jeden tylko mieszkaniec wspiął się na szczyt góry, reszta zaś w bezpiecznych miejscach się skryła.

Na szczycie góry skalna pieczara była, na kształt pucharu, a w niej ognie wrzały powoli. Gdy ktoś głaz cisnął między ognie, a robiono tak, gdy wróg się zbliżał, wtedy góra to skały z siebie wyrzucała przez trzy dni, a płonące bryły spadały na miasto i jego okolice.

Gdy ludzie Camoraka bramy rozbijając zaczęli, huk na górze usłyszeli i wielka skała za nimi spadła w dolinę. Dwie następne przed nimi na żelazne dachy miasta upadły. Gdy do miasta wchodzili skała dosięgła ich w wąskiej ulicy stłoczonych, dwóch z nich roztrzaskując. Góra sapała i dymiała, a za każdym jej westchnieniem skały na ulicę spadały lub odbijały się od ciężkich żelaznych dachów. Dym unosił się coraz to wyżej.

Gdy długie i puste ulice miasta minęli, wreszcie do zamkniętej bramy doszli, która piętnastu tylko ich zastała. Po jej zburzeniu, dziesięciu już tylko żywych było. Trzech następnych zginęło, gdy po zboczach się wspinali, a potem dwóch, gdy straszliwą jaskinię mijali. Los pozostałym pozwolił zejść zboczem z drugiej strony góry, lecz jeszcze trzech zabrał. Już tylko Camorak i Arleon przy życiu pozostali. Noc zapadła w donnie, do której przyszli, rozświetlały ją błyski z groźnej góry, a ci dwaj noc całą oplakiwali swych towarzyszy.

Gdy nastał ranek, przypomnieli sobie o wojnie z Losem i o swym dawnym postanowieniu, by do Carcassonne dotrzeć. Powstał głos Arleona w drżącej pieśni i strzępy muzyki popłynęły z jego starej harfy. Wstał i pomaszerował z twarzą na południe zwróconą, tak jak od lat to czynił, a za nim szedł Camorak. Gdy wreszcie trzecią dolinę minęli i na szczycie góry stanęli w złocistym świetle wieczoru, ich

sędziwe oczy ujrzwały jedynie połacie lasu i ptaki do snu się szykujące.

Siwe były ich brody, a ich podróż ciężka i długa; dla nich był to czas, gdy mężczyzna do prac żadnych już się nie bierze, a w śnie lekkim marzy o latach minionych, a nie o tych, co nadejść mają.

Długo na południe spoglądali; słońce za odległym lasem zaszło, świetliki swe lampy zapaliły, a zapach Arleona wzniósł się i na zawsze uleciał, by umilić być może sny młodszych od niego.

— Mój Królu, nie znam już drogi do Carcassonne — rzekł Arleon. Camorak uśmiechnął się, tak jak starcy się śmieją, bo niewiele już może ich śmieszyć, i powiedział:

— Lata mijają nas niczym ptaki olbrzymie, które Los, Przeznaczenie i plany boże wystraszyły z jakichś starych, szarych moczarów. Tak być może, że przeciw nim nic zrobić nie można, że Los nas pokonał, a nasza wyprawa na nic się zdała.

Później już obaj milczeli.

Potem miecze swe wyciągnęli i ramię przy ramieniu w dół do lasu zeszli, wciąż Carcassonne szukając.

Myślę, że niezbyt daleko zaszli, bo w lesie tym były śmiertelne moczary i mrok, co dłuższy był od nocy, jak i bestie straszliwe, co w nim dobrze się czuły. Nie ma też i żadnej legendy, czy to wierszem pisanej, czy wśród pieśni ludzi z pól, o kimś kto dotarłby do Carcassonne.

## DZIEŃ NA KRAŃCU ŚWIATA A DAY AT THE EDGE OF THE WORLD

Są rzeczy wiadome tylko staremu odźwiernemu z Tong Tong Tarrup, siedzącemu w małym bastionie swojej bramy i mruczącemu pod nosem wspomnienia.

Wspomina wojnę w siedzibach gnomów i to, jak raz wróżki przybyły po opale Tong Tong Tarrup i kędy szli przez pola w dole giganci, których obserwował ze swej bramy. Pamięta czyny, które po dziś dzień budzą podziw bogów, lecz kto mieszka w tych domach zamaryłch na wysokim, nagim skraju świata nie powiedział mi nawet on, którego mają za gadatliwego. Pośród elfów — jedyne żywych istot jakie kiedykolwiek widziano na tym straszliwie wysokim, najwyższym szczycie Ziemi skąd dobywają turkusy, jego gadulstwo jest przysłowiowe.

Uraczy was swoją ulubioną historią jeśli ofiarujecie mu *bash* — narkotyk, który lubi najbardziej, i dla którego walczył na wojnie u boku elfów przeciw goblinom lub, vice versa, jeśli gobliny dały«nu więcej — historią, która, gdy lek ukoi mu ciało i gwałtownie pobudzi umysł, opowiada o dziele podjętym dawnymi czasy dla nagrody tak niewielkiej, jak pieśń starej kobiety.

Wyobraźcie sobie tę scenę. Stary człowiek, chudy i brodaty, niemal monstrialnie wysoki, rozparty w wartowni przy bramie miasta wzniesionego na skale, co ma z dziesięć mil; domy w większości zwrócone ku wschodowi, oświetlane przez Słońce i Księżyc oraz konstelacje znanych nam gwiazd, prócz jednego domu, z samego wierzchołka spoglądającego poza Kraniec Świata i oblewanego blaskiem tych nieziemskich przestrzeni, na których jeden długi wieczór trwa dłużej niż życie gwiazdozbiorów; kawałeczek *bashu*, który mu darowując; długi palec wskazujący i poplamiony kciuk, którymi go natychmiast pożądliwie porywa — oto pierwszy plan tego obrazu. W tle, tajemnica tych uśpionych domostw i ich nieznanym mieszkańców, którym stary odźwierny — nie wiadomo czy należący do grona śmiertelników — świadczy

jakieś usługi za nie wiedzieć jaką zapłatę.

Wyobraźcie go sobie w bramie tego niesamowitego miasta, jak w milczeniu połknąwszy *bash*, leniwie przeciąga swe długie ciało, opiera się o mur i zaczyna mówić.

Wydaje się, że pewnego pięknego poranka przed stu laty gość ze świata wspinał się do Tong Tong Tarrup. Przebył już śniegi i postawił stopy na stopnie schodów wiodących spośród skał ku ziemi, gdy ujrzał go stary odźwierny.

Z takim wysiłkiem piał się po tych szerokich stopniach, że posiwiały strażnik miał wiele czasu by się zastanawiać, czy przybysz przynosi mu *bash*, lek, co nadaje znaczenie gwiazdom i zdaje się wyjaśniać mrok. W końcu nie było ani szczypty *bashu*, a przybysz nie miał siwowłosemu człowiekowi nic lepszego do zaoferowania, jak tylko swoją opowieść.

Zdaje się, iż obcy nazywał się Gerald Jones i zawsze mieszkał w Londynie; jednak raz jako dziecko był na wrzosowiskach Pomocy. Było to tak dawno, że nie pamiętał jak się Jo stało, tyle że w taki czy inny sposób znalazł się sam na pustkowiu, gdzie kwitły wszystkie wrzosy. W zasięgu wzroku nie było niczego prócz wrzosów, traw i paproci. Tylko daleko na zachodzie, na stokach odległych wzgórz widać było dziwne smugi wyglądające jak uprawne pola. Z nadejściem wieczoru mgła uniosła się i zakryła wzgórze, a on wciąż szedł przez wrzosowiska. Nagle znalazł się w dolinie, dolince pośrodku pustkowia, której zbocza były niewiarygodnie strome. Położył się i popatrzył na to przez korzenie wrzosu. Tam daleko, daleko w dole, w ogródku przy chatce, wśród malw wyższych o głowę od niej, na drewnianym fotelu siedziała staruszka, śpiewając o wieczorze. Człowiekowi tak spodobała się ta piosnka, że zawiózł ją do Londynu i zawsze gdy ją sobie przypominał, rozmyślał o wieczorach — takich jakich nie masz w Londynie — i znów idąc beztrudnie przez wrzosowisko słyszał szum wiatru i brzęczenie krzątających się trzmieli. Zapominał o ulicznym zgiełku. Zawsze gdy słyszał jak ludzie mówią o Czasie, zazdrościł mu słów piosenki, które mu oddał.

Pewnego razu ponownie udał się na wrzosowisko i odnalazł dolinkę, lecz w ogrodzie nie było już starej kobiety i nikt pieśni nie

śpiewał. Może to tęsknota za piosnką śpiewaną przez staruszkę dręczyła go któregoś letniego wieczora dwadzieścia lat później, a może męcząca praca jaką wykonywał w Londynie; bowiem pracował dla wielkiej, nikomu niepotrzebnej firmy i wcześniej stał się stary, jak się to zdarza ludziom w miastach. W końcu, gdy melancholia przynosiła tylko żal, a bezsens pracy zwiększał się z wiekiem, postanowił zasięgnąć rady czarodzieja. Tak więc udał się doń i opowiedział o swoich kłopotach, a szczególnie o tym jak usłyszał pieśń.

— A teraz — rzekł — nie masz jej już nigdzie na Świecie.

— Oczywiście, że nie ma jej na Świecie — odparł czarodziej — lecz za Krańcem Świata łatwo możesz ją znaleźć.

Powiedział człowiekowi, że cierpi na upływ czasu i zalecił mu dzień na Krańcu Świata. Jones spytał go, do jakiej części Krańca Świata ma się udać. Czarodziej słyszał, że o Tong Tong Tarrup dobrze mówiono; tak więc Jones zapłacił mu jak zwykle, w opalach, i natychmiast wyruszył w drogę. Droga do tego miasta jest niełatwa; bilet kupił na Victoria Station, gdzie sprzedają go tylko tym, których dobrze znają; przebył jBleth; przemierzył wzgórze Neol — Hungar i dotarł do Przełęczy Poy. Wszystkie te miejsca należą do dziedzin znanego nam Świata. Za Przełęczą Poy, na tych zwyczajnych równinach, które tak bardzo przypominają Sussex, po raz pierwszy spotyka się Nieprawdopodobne. Z Przełęczy można dostrzec na skraju równiny łańcuch szarych Wzgórz Sneg; to tam zaczyna się Niewiarygodne — z początku sporadycznie lecz coraz częściej i częściej w miarę jak wchodzi się wyżej. Na przykład, pierwsze co ujrzałem, schodząc raz na równiny Poy, to zwyczajny pasterz pilnujący stada zwyczajnych owiec. Patrzyłem na nie przez jakiś czas i nic się nie działo, aż raptem, bez słowa, jedna z owiec podeszła do pasterza i pożyczwszy od niego fajkę zaczęła ją palić — wypadek, który uznałem za niezwykły. Jednak to na Wzgórzach Sneg spotkałem ucziwego polityka.

Jones szedł przez te równiny, i Wzgórze Sneg, spotykając najpierw rzeczy nieprawdopodobne, a później niewiarygodne, aż dotarł do długiego stoku wiodącego w górę, na Kraniec Świata, gdzie, jak podają wszystkie przewodniki, wszystko może się zdarzyć.

U stóp tego stoku można ujrzeć tu i ówdzie coś, co mogłoby się zapewne wydarzyć w znanym nam świecie. Niebawem jednak wszystko to znika i podróżny nie widzi nic prócz baśniowych zwierząt skubiących kwiaty równie zdumiewające jak one i głazy tak uformowane, że kształty ich mają swe wyraźne znaczenie: podobieństwo zbyt uderzające by mogło być przypadkowe. Nawet drzewa tam były dziwnie nieznajome: tyle miały sobie do powiedzenia, chyliły się do siebie mówiąc, przybierały groteskowe pozy szydząc z wędrowca. Jones widział jak walczyły ze sobą dwie sosny. Ten widok bardzo silnie podziałał mu na nerwy, jednak pisał się dalej, aż w końcu uradował się wielce widokiem jedynej znajomej rzeczy jaką tam widział od kilku godzin: pierwiosnka. Ten jednak gwizdnął i umknął w dal. Ujrzał też jednorożce w ich sekretnej dolinie.

Później noc złowieszczo zasłoniła niebo, które rozbłysło nie tylko gwiazdami, ale też mniejszymi i większymi księżycami, a w mroku słyszał człapiące kroki smoków.

Wraz ze świtem pojawiło się na górze miasto Tong Tong Tarrup, pośród swych ostrych turni, i oświetlone słońcem schody wiodące ku gromadce zamarłych domów wznoszących się wśród nieba. Jones znalazł się teraz przed wysoką skałą; gęste mgły opuszczały się z niej wolno, odsłaniając coraz bardziej zdumiewające widoki. Nim mgła zupełnie się rozwiała usłyszał całkiem blisko odgłos kopyt galopujących po murawie — choć sądził, że wokół ma litą skałę. Dotarł do płaskowyżu centaurów. Od razu ujrzał je we mgle; stały tam, te baśniowe istoty — pięć ogromnych centaurów. Przystanął zdjęty zdumieniem, którego do tej pory nie czuł. Potem wkroczył na płaskowyż i podszedł całkiem blisko do tych istot. Zauważać ludzi nie leży w ich zwyczaju; waliły kopytami w ziemię i pokrzykiwały do siebie po grecku, lecz do niego nie odezwały się ani słowem. Mimo to obróciły się i odprowadziły go spojrzzeniami kiedy od nich odchodził, a gdy przekroczył płaskowyż i poszedł dalej, cała piątka potruchtała za nim aż na skraj łąki. Powyżej zielonego płaskowyżu centaurów nie ma nic prócz nagiej skały i ostatnią zieloną rzeczą jaką widzi człowiek zdążający do Tong Tong Tarrup jest trawa, którą one depczą. Jones wszedł na pola śniegu niczym peleryną okrywające

nagość skał i piął się wyżej. Centaury spoglądały nań z rosnącym zdumieniem.

Teraz nie było już w pobliżu nawet tych baśniowych stworów, ani dziwnych, demonicznych drzew — nic prócz śniegu i nagiej skały powyżej, na której wznosiło się Tong Tong Tarrup. Wspinał się przez cały dzień i wieczór zastał go powyżej linii śniegów. Niebawem znalazł się przy wykutych w skale stopniach i w zasięgu wzroku tego posiwiąłego starca, odwiecznego furtiana Tong Tong Tarrup, który siedzi mamrocząc pod nosem przedziwne historie i daremnie oczekuje odrobiny *bashu* od przybysza.

Zdaje się, że gdy tylko obcy przybył do bramy miasta, mimo iż zmęczony, zażądał natychmiast pokoju zapewniającego dobry widok na Kraniec Świata. Jednak stary, posiwiąły odźwierny, rozczarowany brakiem *bashu*, nim pokazał mu drogę zażądał odeń opowieści, którą dołączył do swoich wspomnień. Oto ta opowieść właśnie, jeśli stary odźwierny powiedział mi prawdę i jeśli jego pamięć nadal jest taka jak niegdyś. Gdy tamten skończył, starzec wstał i podzwaniając pękiem swoich kluczy ruszył w górę, przez wiele drzwi i po wielu stopniach, aż zaprowadził przybysza do budynku stojącego najwyżej, pod dach najwyższy w Świecie, do komnaty i do okna. Tam zmęczony przybysz zasiadł w fotelu i spojrzał w okno wychodzące na Kraniec Świata. Okno było zamknięte, a w jego błyszczącej tafli płasał i jarzył się mrok Krańca Świata, trochę jak ogniki świetlików, trochę jak morze; rozchodził się falami, pełen cudownych księżyców. Jednak podróżny nie patrzył na cudowne księżyce, albowiem z tej otchłani wyrósł rząd malw, korzeniami sięgający odległych konstelacji, a pośród nich zielony ogródek falował i migotał jak obraz odbity w wodzie. Jeszcze wyżej przez mrok płynęły kwitnące wrzosi — więcej i więcej, aż mrok przeszedł w purpurę; pośród niej unosił się zielony ogródek. Zarówno ogród w dole, jak i wrzosi wokół niego zdawały się drzeć i płynąć w rytm melodii. Bo mrok był pełen pieśni rozbrzmiewającej i unoszącej się aż po krańce Świata, a zielony ogródek i wrzosi zdawały się drgać i falować wraz z nią, gdy śpiewała ją stara kobieta. Trzmiel nadleciał zza Krańca Świata i przemknął obok. Pieśń, która omywała brzegi Świata i w rytm której tańczyły gwiazdy, była tą samą, jaką słyszał dawno temu, śpiewaną

przez starą kobietę w dolinie zasnutej mgłą wrzosowiska.

Siwy mężczyzna, stary odźwierny, nie pozwolił przybyszowi zostać, ponieważ ten nie przyniósł mu *bashu*, i niecierpliwie wypchnął go precz, nie fatygując się nawet spoglądaniem przez najdalej wysunięte okno Świata, ponieważ ziemię, które Czas dotknie i przestrzenie, które Czas pozna, nie są wcale tym samym dla tego starego człowieka, a *bash*, który zażywa, wprawia go w znacznie większe zdumienie niż cokolwiek co mógłby zobaczyć zarówno w Świecie, który znamy, jak i poza jego Krańcem. Tak więc, gwałtownie protestując, wędrowiec odszedł i wrócił do Świata.

Mimo iż znając Krańiec Świata zwyczajny jestem rzeczy niewiarygodnych, opowieść ta wprawia mnie w zakłopotanie. Może jednak być tak, że spustoszenie czynione przez Czas jest zaledwie miejscowe, i że poza obszarem zniszczenia stare pieśni są wciąż śpiewane przez tych, których uznajemy za martwych. Próbuję mieć taką nadzieję — jednak im usilniej rozmyślam nad historią, którą stary furtian opowiedział mi w mieście Tong Tong Tarrup, tym bardziej przychylam się do innej możliwości — że ten siwowłosy człowiek jest kłamcą.



## BOHATER W ŚWIECIE MARZEŃ

Martwi bohaterowie starożytnego miasta Merimna raz jeszcze chromą je przed najazdem barbarzyńców. Pomysł zawarty w opowiadaniu „Miecz Wellerana” wielokrotnie wykorzystywany będzie przez pisarzy fantasy. Jeszcze większe znaczenie dla tej literatury posiada opowiadanie „Forteca nie inaczej zdobyta jak Sacnothem”. Po zapoznaniu się z tym opowiadaniem stanie się jasnym, jak wielu pisarzy zaciągnęło dług u Lorda Dunsany. Paradoksalnie — to bohaterowie i motywy tych opowiadań przeszły do historii fantasy, choć sam Lord Dunsany pisał je, by sławić miasto Merimne i wieś Allathurion.

## MIECZ WELLERANA THE SWORD OF WALLERAN

Gdzie wielka równina Tarphet rozlewa się niczym rzeka wpadająca do morza, w górach Cerery, których ostre szczyty rzucają opodal swój cień, wznosiło się niegdyś miasto Merimna. Nigdy i nigdzie w świecie nie widziałem miasta równie pięknego, jak zdała mi się Merimna, kiedy po raz pierwszy ujrzałem ją we śnie. Cudowne kopuły i posągi z brązu, marmurowe fontanny i trofea baśniowych wojen, szerokie ulice, na których królowało piękno. Przez sam środek miasta biegła aleja szeroka na pięćdziesiąt kroków, a po obu jej stronach stały odlane w brązie podobizny władców wszystkich krajów znanych mieszkańcom Merim — ny. Na końcu tej alei był olbrzymi rydwan z brązu zaprzężony w trzy konie, którym powoziła uskrzydłona Sława, a za nią, z mieczem w dłoni, stał olbrzymi Welleran, starożytny weteran Merimny. Tak sugestywny był wygląd oraz poza Sławy — i tak udatnie oddany cwał koni, że przysiągłbyś, iż rydwan zaraz na ciebie wpadnie, a kurz spod jego kół już okrywa całunem twarze królów.

W mieście była ogromna komnata, gdzie składano trofea herosów Merimny. Rzeźbiona była i kopułą nakryta, na chwałę sztuki dawno już umarłych kamieniarzy, a na jej szczycie Rollory siedział, spoglądając ku ziemiom leżącym za górami Cerery, ziemiom, które zaznały jego miecza. Obok Rollory'ego, niczym druh wierny, siedziało Zwycięstwo, przekuwając mu na wieniec laurowy złote korony obalonych królów.

Taka była Merimna, miasto rzeźbionych Zwycięstw i wojowników z brązu. W czasie, o którym tu piszę sztuka wojenna była tam zapomniana, a lud niemal pograżony we śnie. Mieszkańcy krążyli po marmurowych ulicach, spoglądając na posągi pamiętające to, co z mieczem w rękę wywalczyli ci, którzy dawno temu Merimnę ukochali. Żyjąc jakby we śnie, śnili o Welleranie, Soorenardzie, Mommolku, Rollorym, Akanaxie i młodym Iranie.

O ziemiach za rozciągającymi się ze wszystkich stron górami nie

wiedzieli nic, prócz tego, że były one sceną straszliwych czynów Wellerana, jakich swym mieczem dokonał. Dawno już ziemie te wpadły znów w ręce narodów, którym wydarły je armie Merimny. Nic już nie pozostało ludowi Merimny prócz ich nietkniętego miasta i wspomnień minionej chwały. Nocami wysyłali wartowników daleko w głąb pustyni, lecz ci zawsze spali na swych posterunkach, śniąc o Rollorym. Co noc odziana w purpurę straż trzykrotnie obchodziła mury, niosąc światło i śpiewając pieśni o Welleranie. Straże nigdy nie miały broni, lecz gdy dźwięk ich pieśni niósł się po równinie ku mającym w dali górcom, pustynni rabusie słysząc imię Wellerana chyłkiem zmykali do swych komyszy. Często świt nadchodzący na równinę rozświetlał migotliwie wieżycę Merimny, przyćmiewając blask gwiazd i zastawał strażę wciąż śpiewające pieśń o Welleranie, zmieniał kolor ich purpurowych szat, gasił światła, które nieśli.

Podobnie wartownicy na pustyni budzili się ze snów o Rollorym i jeden po drugim wlekli z powrotem w chłód murów miasta. Wtedy łagodniał nieco groźny wyraz skalnych oblicz gór Cerery, które wznosiły się na północy, zachodzie i południu, a o poranku posągi i kolumny wstawały na nowo w starym, niezdobytym mieście.

Dziwnym mogłoby się wydawać, że nieuzbrojone strażę i śpiący wartownicy mogli obronić miasto pełne wszelakich dzieł sztuki, bogate w złoto i brąz, pyszny gród, którego mieszkańcy niegdyś ciemnieżyli swych sąsiadów, a teraz zapomnieli jak wojować. Oto przyczyna — już dawno odebrano jej wszystkie ziemie. Merimna była bezpieczna. Dziwna opowieść ponadto znajdowała posłuch wśród dzikich plemion za górami, które wierzyły, że blanki miasta są nadal bronione przez Wellerana, Soorenarda, Mommolka, Rollory'ego, Akanaxa i młodego Iraina. A przecież sto lat minęło od kiedy Irain, najmłodszy z herosów Merimny, stoczył swoją ostatnią bitwę z plemionami zza gór.

Czasami istotnie znajdowali się wśród tych plemion młodzieńcy, którzy wątpili i powiadali:

— Jakże człowiek może wiecznie unikać śmierci?

Starszyzna odpowiadała im na to:

— Słuchajcie, o wy, którzy wszystko potraficie wytłumaczyć, i

wytlumaczcie nam, jak może uniknąć śmierci człowiek atakowany mieczami przez dwa tuziny jeźdźców, z których każdy Npoprzysiągł sobie go zabić, a przysięgał na bogów swego kraju, bowiem Welleran nieraz tego dokonał. Wyjaśnijcie nam też, jak dwóch ludzi samopas może wejść w mury miasta i porwać jego władcę, co Soorenard i Mommolek uczynili. Zaiste, ludzie, którzy uniknęli ostrzy tyłu mieczy i tyłu żywych strzał, nie dadzą się też latom i Czasowi.

Młodzi pokornie i milkli. Mimo to, nabierali podejrzeń i gdy Słońce zachodziło za góry Cerery, mieszkańcy Merimny dostrzegali na tle nieba czarne sylwetki dzikich, spoglądających ku miastu.

Wszyscy w Merimnie wiedzieli, że postacie stojące na blankach są jedynie posągami z kamienia, lecz mimo to wielu żyło nadzieją, że pewnego dnia dawni herosi powrócą, bowiem nikt nie widział jak umarli. Albowiem gdy któryś z tych sześciu dawnych wojowników otrzymał ranę, o której wiedział, że jest śmiertelna, odjeżdżał w dal, by rzucić się do głębokiego parowu. (Czytałem gdzieś, że tak czynią wielkie słońce, skrywając swe kości przed mniejszymi zwierzętami). Parów ten był głęboki i u wylotu wąski: wielka rozpadlina, do której żaden człowiek żadną ścieżką dojść nie zdoła. Tam właśnie samotnie pojechał Welleran, dysząc ciężko. Tam pojechali później Soorenard i Mommolek: Mommolek raniony śmiertelnie, zaś Soorenard by pożegnać drogiego przyjaciela, spoczywającego obok białych kości Wellerana. Niedługo potem udał się tam Soorenard.

Tak zbiełały w ziemi wrogów kości tych pięciu bohaterów, których imiona budziły lęk miast całych. Nikt nie wiedział gdzie spoczywają prócz Iraina, młodego wodza, który miał ledwie dwadzieścia pięć lat gdy Mommolek, Rollory i Akanax odjechali. Ich siodła i uzdy oraz wszelki ekwipunek rozdzielono tak, aby żaden człowiek nie mógł ich nigdy znaleźć i rzec: „Patrzajcie! Oto uprząż wodzów Merimny, wzięta na wojnie!”

Czterdzieści lat później, w godzinie wielkiego zwycięstwa, Irain otrzymał swą ostatnią ranę. Ostatni z wodzów odjechał samotnie... Jadąc często zapadał w sen i śnił o minionych dniach, o czasach gdy po raz pierwszy wyruszył z Welleranem na wielką wojnę, o tym jak Welleran pierwszy raz doń przemówił i o twarzach towarzyszy

Wellerana kiedy wiedli armie do boju. Za każdym razem gdy się ocknął, wielka tęsknota budziła się w jego duszy, duszy, która chciała już opuścić ciało by spocząć obok kości dawnych herosów. U czarnej szramy parowu przecinającego równinę, dusza Iraina wyślizgnęła się przez wielką ranę i rozłożyła skrzydła do lotu. Ból opuścił biedne okaleczone ciało...

Był w Merimnie chłopiec imieniem Rold. Ujrzałem go po raz pierwszy — marzyciel śniący przy ognisku — gdy jego matka zaprowadziła go do wielkiej sali, gdzie stały trofea herosów Merimny. Rold miał pięć lat, stojąc przed wielką szklaną szkatułą.

— Oto miecz Wellerana — rzekła doń matka.

— Cóż człek winien uczynić z mieczem Wellerana — spytał Rold.

Matka odparła:

— Ludzie patrzą na miecz i wspominają Wellerana. Poszli dalej i stanęli przed wielkim, czerwonym płaszczem.

— Czemu Welleran nosił ten wielki czerwony płaszcz? — spytało dziecko.

— Taki był obyczaj Wellerana — odrzekła matka.

Kiedy Rold był nieco starszy wymykał się nocami z matczynego domu. Cały świat i całe miasto pogrążone były wtedy we śnie, śniąc o Welleranie, Mommolku, Rollorym, Akanaxie i młodym Irainie. Chłopiec szedł na blanki, by posłuchać pieśni o wielkim wodzu, śpiewanych przez strażę. Odziani w purpurę wojownicy nadchodzili paląc światła i śpiewając w zalegającej ciszy. Ciemne sylwetki na pustyni czmychały w popłochu, a Rold wracał do domu swej matki tęskniąc za imieniem Wellerana jak za świętością.

Przyszedł czas, gdy Rold poznał wszystkie blanki otaczające miasto i wszystkie posągi jeźdźców, które tam stały. Posągi te nie były podobne do innych, gdyż tak zręcznie wykuto je z wielobarwnych marmurów, że nikt nie mógł być pewien czy nie ma przed sobą żywych ludzi, dopóki nie podszedł całkiem blisko.

Marmurowy wierzchowiec Wellerana był czarny: na nim siedział wódz, patrząc dumnie ku zachodowi. Zimny kark jego konia Rold najbardziej lubił głaskać. To Wellerana właśnie widzieli zwiadowcy

spoglądający o zachodzie z gór na miasto. Rold kochał czerwone nozdrza wielkiego rumaka i jaspisowy płaszcz jeźdźca.

Plemiona za górami coraz bardziej nabierały przekonania, że herosi Merimny nie żyją. Uknuto plan, by jeden człowiek podkraść się nocą do postaci na blankach i zobaczyć, czy rzeczywiście stoją tam Welleran, Mommolek, Rollory, Akanax i młody Irain. Wymieniano wiele imion tych, którzy powinni pójść: plan dojrzewał przez kilka lat. To właśnie w tym czasie zwiadowcy często pojawiali się w górach o zachodzie słońca. W końcu postanowiono, że dwaj mężczyźni, którzy akurat zostali skazani na śmierć będą ulaskawieni, jeśli zejdą nocą na równinę i wyjaśnią zrodzone wątpliwości. Jeden z nich, Seejer, rzekł do swego kompana, Sajar–Ho:

— Czy Welleran razi nas swym mieczem, czy katowski miecz spadnie na człowieczą szyję — śmierć jednaka.

Sajar–Ho pomyślał przez chwilę, po czym rzekł:

— Jednak królewskiego kata zawieść może wzrok lub ramię, gdy będzie zadawał cios, a Wellerana nigdy jeszcze wzrok nie zawiódł, ni ramię nie odmówiło posłuszeństwa. Lepiej tutaj czekać stosownej chwili.

— Może ten Welleran nie żyje i ktoś inny zajął jego miejsce na blankach, a może i kamienny posąg tam stoi — rzekł Seejer.

— A jeśli Welleran uniknął śmierci od mieczy dwóch tuzinów jeźdźców, z których każdy poprzysiągł go zabić, a przysięgał na bogów swego kraju? — zastanawiał się Sajar–Ho.

Seejer rzekł:

— Oto opowieść o Welleranie, jaką memu dziadowi opowiedział jego ojciec: Tego dnia, gdy przegrano bitwę na równinach Kurlistanu ujrzał on w pobliżu rzeki zdychającego konia, który żałośnie patrzył na wodę, nie mogąc jej dosięgnąć. Ojciec mego dziada zauważył, jak Welleran schodzi na brzeg rzeki i zaczerpnąwszy wody dłońmi, podaje ją koniowi. Teraz jesteśmy w równie oplakany położeniu jak ów koń i tak samo bliscy śmierci. Welleran może się nad nami ulitować, podczas gdy królewski kat tego nie uczyni, gdyż musi spełnić wolę króla.

Tedy rzekł Sajar–Ho:

— Tyś zawsze był górą w sporach. Tyś to sprowadził na nas

kłopoty swymi pomysłami i urządzeniami. Zobaczymy czy zdołasz nas od nich uwolnić. Pójdziemy!

Tego samego wieczora zwiadowcy zaprowadzili ich na skraj wzgórz i skazani zeszedli głębokim parowem na równinę. Zmrok całkiem skrył ich sylwetki — nadeszła noc, głęboka i cicha, z rozległych bagien na wschodzie, z nizin i z morza. Aniołowie strzegący ludzi przez dzień cały, zamknęli swe wielkie oczy i posnęli. Ci natomiast, którzy pilnowali ludzi w nocy zbudzili się i stanęli na straży. Mimo to równina zamieniła się w tajemniczą krainę pełną strachu.

Dwaj szpiedzy chyłkiem przemknęli przez równinę. Niebawem dotarli do śpiących na piasku wartowników, z których jeden poruszył się przez sen, wzywając Rollory'ego. Wielka trwoga ogarnęła szpiegów, lecz wspomnienie królewskiego kata zwalczyło niepewność.

Dotarli do wielkiego, odlanego z brązu posągu Strachu, ukazanego przez jakiegoś rzeźbiarza z dawnych, świetnych czasów, jak umyka ku góróm, głośno nawołując swoje dzieci. Dzieci Strachu wyrzeźbione były na podobieństwo plemion z gór Cerery. Za ich plecami wznosiła się postać Wellerana na koniu, grożącego mieczem. Szpiedzy uklękli na piasku i ucałowali stopy posągu. Klęcząc, spostrzegli światła zbliżające się wzdłuż murów i doszedł ich śpiew straży. Purpurowi wojownicy podeszli blisko i po chwili zniknęli w oddali za załomem murów. Przez cały ten czas szpiedzy obejmowali stopy posągu, mamrocząc: „Och, Strach, Strach”. Kiedy jednak przestali już słyszeć imię Wellerana niesione pieśnią, podnieśli się zbliżając do murów. Wspiąwszy się na nie, napotkali posąg herosa i skłonili się do ziemi. Seejar powiedział:

— O Welleranie, przybyliśmy tu zobaczyć czyś zaprawdę żyw jeszcze. Długą chwilę czekali leżąc twarzami do ziemi. W końcu Seejar spojrział w górę na straszliwy miecz Wellerana, a ten wciąż wyciągnięty był ku rzeźbionym armiom, uciekającym ze Strachem. Seejar ponownie skłonił się do ziemi i dotknąwszy końskiej podkowy poczuł, że jest zimna. Przesunął dłoń wyżej i pomacał nogę konia, która również zdawała mu się chłodna. Na koniec dotknął stopy Wellerana — była twarda i sztywna... Ponieważ wódz nie

poruszył się i nie przemówił, Seejar wdrapał się wyżej i dotknął jego ramienia. Okazało się być z marmuru... Wówczas szpieg roześmiał się na głos i razem z Sajar–Ho popędzili ku następnej figurze. Odnaleźli posąg Rollory’ego. Przekonali się, że ten również jest z marmuru, po czym prędko opuścili się na dół, kierując z powrotem na równinę, z pogardą już patrząc na posąg Strachu. Usłyszeli straż okrążającą blanki po raz trzeci i śpiewającą o Welleranie. Seejar rzekł:

— Tak, możecie śpiewać o nim, lecz Welleran nie żyje! Zguba czeka to miasto! Poszli dalej ponownie mijając wartownika wciąż rzucającego się we śnie i wzywającego Rollory’ego.

— Tak, możecie wzywać Rollory’ego, lecz on nie żyje i nic już nie ocali tego miasta — mruknął Sajar–Ho.

Szpiedzy powrócili w góry, gdy pierwszy czerwony promień słońca padł na pustynię za Merimną, zapalając błyski na kopułach dachów. Była to godzina, gdy purpurowe straże zwykły wracać do miasta, zziębnięci wartownicy przerywali drzemki wśród piasków, a pustynni rabusie umykali chyłkiem do swych jaskiń. Wtedy to rodzą się mgielkoskrzydłe owady, co żyją jeden dzień, a ludzie skazani na śmierć umierają.

W teje godzinie wielkie niebezpieczeństwo, nowe i straszliwe, zawisło nad Merimną, lecz nikt w mieście o tym nie wiedział.

— Patrz jak czerwona jest ta jutrzienka i jak czerwone są wieże Merimny. W Raju zagniewani są na Merimnę i zguba jest jej pisana — rzekł Seejar.

Przez następnych kilka dni gromadzono siły. Pewnego wieczora wojska czterech królów zebrały się u wejścia do głębokiego parowu i skryte za wzniesieniem, czekały zachodu słońca. Na każdej twarzy malowało się zdecydowanie i odwaga, każdy modlił się do bogów.

Niezadługo zaszło słońce i nadeszła godzina, gdy budzą się nietoperze i stwory mroków: gdy lwy wychodzą ze swych legowisk, a pustynni, rabusie wracają na równiny: gdy febry unoszą się i rozchodzą z wilgotnych bagien. Godzina, w której zagrożone są trony i zmieniają się dynastie. Na pustynię, jak zwykle, purpurowa straż wyszła z Merimny by śpiewać o Welleranie, a wartownicy ułożyli się do snu.



Choć żadne troski nie mają wstępu do Raju i mogą tylko bębnić jak deszcz o jego kryształowe ściany, jednak dusze bohaterów Merimny były na w pół świadome jakiegoś nieszczęścia, tak jak śpiący czuje czasem, że ktoś zziębnięty jest i chory, chociaż we śnie nie wie, iż to on sam.

W promieniach zachodzącego słońca niezauważone spłynęły na ziemię dusze Wellerana, Soorenarda, Mommolka, Rollory'ego, Akanaxa i młodego Iraina. Ciemno już było nim dotarły nad blanki Merimny. Od strony parowu dał się słyszeć szcęk oręża kroczących armii.

Gdy sześciu wojowników znów ujrzało swe miasto, tak niewiele zmienione mimo upływu lat, spoglądali nań z tęsknotą, która bliższa była łzom niż jakiegokolwiek uczucie znane ich duszom przedtem.

W te słowa przemówili:

— Jakżeś piękne ze wszystkimi swymi wieżami, Merimno. Dla ciebie porzuciliśmy ziemię, jej królestwa i kwiecie, dla ciebie opuściliśmy na chwilę Raj. Bardzo trudno oddalić się sprzed oblicza Boga: ono jest jak ciepło ogniska, jak kojący sen i hymn wzniosły: roztacza się wokół niego cisza, cisza pełna światła.

Kochaliśmy wiele kobiet, Merimno, lecz tylko jedno miasto. Spójrz teraz, cały nasz ukochany lud śpi. Jakże piękne są sny! W snach żyją umarli, nawet ci, którzy są martwi od dawna i zupełnie cisi. Twe światła ledwie się palą, a teraz wszystkie już zgasły i cisza zapadła wśród murów. Sza! Tyś jest jak panna co zamknąwszy powieki zapada w sen, a oddech ma równy i spokojny, nie znając twogi ni niepokoju.

— Spójrz na te stare blanki. Czy lud broni ich nadal, jak my broniliśmy? Są nieco powykruszane te mury — mówili spływając niżej i pozierając niespokojnie. — To nie ludzka ręka je skruszyła. Uczyniły to lata i Czas niepokromiony. Twe blanki są jak przepaska panny, przepaska opasująca jej ciało. Teraz, gdy rosa je pokryła, są niczym przepaska wysadzana klejnotami.

W wielkim tyś niebezpieczeństwie, Merimno, albowiem jesteś piękną. Czyż masz dziś zostać zniszczoną? My cię już nie bronimy, a choć krzyczymy, nikt nas nie słyszy — tak jak krzyczą przydeptane lilie i nikt nie słyszy ich głosu.

Tak rzekli swemu miastu wodzowie, których gromowe głosy do boju wzywały, choć nie były głośniejsze od głosów nietoperzy, co o wieczornej porze szybują przez mroki. Wtedy nadeszły purpurowe straże, po raz pierwszy tej nocy okrążając mury, i starzy wojownicy krzyknęli do nich:

— Merimna w niebezpieczeństwie! Jej wrogowie już zbierają się w ciemnościach!

Nikt jednak ich słów nie słyszał, ponieważ byli jedynie duchami. Straże przeszły obok, wciąż śpiewając o Welleranie. Rzekł tedy Welleran do swych towarzyszy:

— Nasze dłonie nie mogą już dźwżyć mieczy, naszych głosów nikt nie słyszy, nie jesteśmy już krzepkimi wojownikami. Jesteśmy tylko snem, zatem między sny pójdźmy. Pójdźcie wszyscy, i ty także młody Irainie, by niepokoić sny wszystkich śpiących i nakłonić ich by chwycili miecze swych dziadów wiszące na ścianach i zebrali się u wylotu parowu. Ja znajdę przywódcę i każę mu wziąć mój miecz.

Wodzowie przepłynęli nad blankami do swego ukochanego miasta. Dusze Wellerana i jego towarzyszy, a pośród nich duch młodego Iraina, spłynęły na miasto niepokojąc sny wszystkich śpiących ludzi. Każdemu szeptały:

— W mieście jest gorąco i parno. Udaj się zaraz na pustynię, w chłodny cień gór, weź tylko ze sobą ten stary miecz swych dziadów co wisi na ścianie, by cię przed pustynnymi rabusiami bronił.

Bóg miasta zesłał na nie skwar, zar zawisł nad nim rozpalając ulice, a wszyscy, którzy spali, budzili się myśląc jak chłodno i miło byłoby tam, gdzie wietrzyk spływa parowem z gór. Chwyтали więc stare miecze swych dziadów by, wedle snu, przed pustynnymi rabusiami się bronić. Dusze towarzyszy Wellerana przechodziły ze snu do snu, a z nimi młody Irain w wielkim pośpiechu, gdyż noc upływa szybko. Niepokojono poprzez sny wszystkich mieszkańców Merimny, jednego po drugim, sprawiając, że wszyscy wstawali i zbrowszy się, szli na pustynię. Wszyscy prócz purpurowych straży, które, nieświadome niebezpieczeństwa, wciąż śpiewały o Welleranie. Maszerujący ludzie bowiem nie słyszą głosów umarłych.

Welleran poszybował nad dachami domów, aż znalazł Rolda śpiącego głęboko. Rold wyrósł już na silnego młodzieńca: miał

osiemnaście lat, był jasnowłosy i rosły jak Welleran, którego duch uniósł się nad nim i wszedł w jego sny niczym motyl przelatujący przez ogrodzenie do kwitnącego ogrodu. Duch wodza rzekł Roldowi przez sen:

— Pójdź i raz jeszcze obacz miecz Wellerana: ten wielki, wygięty miecz. Pójdź więc i pojrzyj nań nocą, gdy oblewa go światło księżyca.

Pragnienie zobaczenia miecza sprawiło, że śpiący wciąż Rold wyszedł z domu matki i poszedł do sali, gdzie były trofea bohaterów. Duch Wellerana kazał mu stanąć przed wielkim czerwonym płaszczem.

— Zziębniętyś w chłodzie nocy: zarzuć ten płaszcz na ramiona — rzekł śpiącemu.

Rold owinał się wielkim płaszczem. Wtedy jego sny kazały mu podejść do miecza, zaś duch rzekł:

— Tyś pragnął dzierżyć miecz Wellerana: weź go więc w dłonie.

— Cóż człek winien uczynić z mieczem Wellerana? — spytał Rold.

Duch starego wodza powiedział:

— To dobry miecz, weź go w dłonie.

— Nie wolno mi tego zrobić: nikt nie może dotykać miecza.

Odwrócił się by odejść. Wtedy przeraźliwy krzyk zrodził się w duszy Wellerana, tym okropniejszy, że nie mógł znaleźć ujęcia. Wirował bez końca niczym okrzyk wywołany jakimś morderczym czynem, który przez wieki rozbrzmiewa echem w nawiedzonej komnacie, nie słyszany przez nikogo.

Duch Wellerana zakrzyknął do śpiącego Rolda:

— Twe stopy są spętane! Twe nogi tkwią w bagnie! Nie możesz zrobić kroku.

— Twe stopy są spętane, twe nogi tkwią w bagnie — powtórzył śpiący.

Rold dalej stał przed mieczem, a dusza starego wojownika zawodziła w snach młodzieńca.

— Welleran płacze za swym mieczem. Biedny wódz, który nigdy walczył za Merimnę, płacze co noc za swoim mieczem. Nie pozwól Welleranowi zostać bez miecza — on umarł i nie może

przybyć by go wziąć.

Rold jednym ruchem rozbił kryształową szkatułę i ujął oręż. Duch wojownika rzekł:

— Welleran czeka w parowie.

Rola poszedł przez miasto, wspiął się na blanki i z szeroko otwartymi oczyma, wciąż spać, ruszył przez pustynię ku góróm.

Przed parowem zebrali się już mieszkańcy Merimny, trzymający w dłoniach stare miecze. Gdy Rold minął ich, ludzie krzyknęli zdumieni:

— Rold dzierży miecz Wellerana!!!

Młodzieniec zaś doszedł do wylotu parowu, a tam ludzkie głosy go obudziły. Nie wiedział o niczym co zrobił we śnie. Spojrzał ze zdumieniem na miecz w swojej dłoni.

— Czymże jesteś, o piękny? Światłem błyszczysz, boś niespokojny. To miecz Wellerana, wielki miecz Wellerana! — zawołał.

Młodzieniec ucałował rękojeść i poczuł na wargach sól bitewnego potu.

— Co człek winien uczynić z mieczem Wellerana? — zapytał.

Milczący tłum z uwagą spoglądał na Rolda.

— Co człowiek winien uczynić z mieczem Wellerana? — powtórzył.

W końcu do uszu Rolda dobiegł szcęk dochodzący z parowu. Lud, który o wojnie nic nie wiedział, usłyszał odgłosy ruchu wrogiego wojska. Cztery armie ruszyły na Merimnę nie spodziewając się oporu. Rold ścisnął rękojeść wielkiego miecza, a ten jakby się nieco poruszył. Nowa myśl pojawiła się w umysłach ludu Merimny, gdy ujęli miecze swych pradziadów. Coraz bliżej podchodziły niczego nie spodziewające się armie, a dawne wspomnienia zaczęły odzywać w myślach ludu Merimny. Nagle wszyscy wartownicy zbudzili się, bo Rollory przegnał ich sny: Rollory, który niegdyś przegnał wrogie armie, teraz był tylko snem walczącym z drugimi snami.

Wkrótce cztery armie podeszły bardzo blisko. Nagle Rold zerwał się, krzycząc:

— Welleran i miecz Wellerana!

Żądny i spragniony od stu lat krwi miecz, uniósł się w dłoni Rolda i przeszył pierwszego napastnika. Wraz z ciepłem wytoczonej krwi radość wypełniła duszę potężnego oręża, niczym radość pływaka wynurzającego się z ciepłego morza, po długim marszu przez pustynię. Gdy wszyscy ujrzeli czerwony płaszcz i ten straszliwy miecz, głośny krzyk rozległ się we wrogich szeregach: „Welleran żyje!!!”

Dały się słyszeć okrzyki triumfu, dyszenie uciekających, a zbuczony miecz śpiewał cicho do siebie ze świstem tnąc powietrze. Ostatnią rzeczą jaką widziałem nim walczących skryły ściany parowu i mrok, był właśnie miecz Wellerana, unoszący się i opadający w sinym blasku gwiazd, by pod koniec rozbłysnąć czerwono i zniknąć w ciemnościach. O świcie słońce dające światu nowe życie, miast tego, ukazało okropny widok, który był dziełem miecza Wellerana. Rzekł Rold:

— Och, mieczu! Jakże jesteś straszliwy! Okropne twe dzieło między ludźmi. Ileż oczu za twoją przyczyną już nigdy nie spojrzy na kwitnące ogrody? Ileż pól stanie się ugorom? Ileż dolin, co mogły piastować przytulne sioła, musi zostać pustkowiec, bowiem zabiłeś ludzi, którzy mogli je wybudować? Słyszę wiatr zawodzący za twoją przyczyną, o mieczu! Nadciąga on z pustych dolin. Nadciąga z ugorów, niesie głosy dzieci. Dzieci nienarodzonych. Śmierć kładzie kres płaczom tych, co niegdyś cieszyli się życiem. O, mieczu, mieczu! Czemu bogowie zesłali cię między ludzi? Łzy Rolda padły na dumny miecz, lecz nie zdołały go obmyć. Teraz zaś, gdy bitewny zapał opadł, lud Merimny, tak jak ich przywódca, upadł trochę na duchu ze zmęczenia i porannego chłodu. Spoglądając na miecz Wellerana spoczywający w ręku Rolda, mówili:

— Nigdy więcej, już nigdy więcej nie wróci Welleran, bo miecz jego jest w ręku innego. Zaprawdę, teraz wiemy, że on umarł. O Welleranie, tyś był naszym słońcem i księżycem, i wszystkimi gwiazdami. Oto i słońce zaszło, i księżyc zniknął, a wszystkie gwiazdy rozsypały się jak diamenty naszyjnika zerwanego z szyi ofiary.

Zapłakał lud Merimny w godzinie wielkiego zwycięstwa. W oddali ich stare, niezdobyte miasto drzemało bezpiecznie. Tylko nad

blankami, nad górami i ziemiami, które niegdyś podbili, poza kraniec świata, z powrotem do Raju odeszły duchy Wellerana, Soorenarda, Mommelka, Rollory'ego, Akanaxa i młodego Iraina.

## FORTECA NIE INACZEJ ZDOBYTA JAK SACNOTHEM THE FORTRESS UNVANQUISHABLE, SAVE FOR SACNOTH

Pośród lasów, których żadne kroniki nie pomną i pośród wzgórz równie starych, leżała wioska Allathurion. Pokój panował między jej mieszkańcami a tymi, którzy cienistymi ścieżkami chadzali. Czy ludzie to byli czy zwierzęta, czy też wróżki lub elfy, albo święte duszki drzew i strumieni?

Tak samo i między sobą mieszkańcy wioski w przyjaźni żyli, jak i z panem swoim, imieniem Lorendiac.

U wejścia do wioski rozciągała się równina szeroka, trawą pokryta, a za nią znowu las wielki. Z tyłu natomiast drzewa tuż do domostw podchodziły, tak że domy drewniane — z belek wielkich i o dachach słomianych, od mchu pozieleniałych — częścią lasu się nieomal wydawały.

W czasach, o których mówię, takie oto nieszczęście na Allathurion spadło.

Wieczorną porą do wioski tej spokojnej sny straszliwe chyłkiem między pniami drzew się podkradały i umysły ludzkie biorąc we władanie na bezsenne nocy godziny, wiodły je przez spalone równiny Piekła. Tedy czarownik z wioski urok rzucił na sny straszliwe, lecz one wciąż chyłkiem się zakradały z nastaniem ciemności i wiodły umysły ludzkie w miejsca okropne, kusząc ich by Szatana głośno wielbiły.

Bali się wszyscy spać w Allathurionie, byli bladzi i zmęczeni, jedni ze snu niedostatku, inni z obawy przed tym, co na spalonych równinach Piekła ujrzeli.

Kiedyś czarownik z wioski zamknął się w swojej wieży i ci, którym strach sen odebrał, długo w noc widzieli światło w jego oknie wysokim. Następnego dnia, gdy mrok daleko już odszedł, a noc nadejść dopiero miała, poszedł na skraj lasu i zaklęcie wymówił, które wcześniej zgotował. Zaklęcie to, ponure i straszne, moc miało nad snami złymi i duchami złego. Był to werset z czterdziestu wierszy złożony, w różnych językach pisany, zarówno martwych jak

i żywych. Było tam słowo, którym ludzie z równin wielbłądy swe przeklinają i okrzyk, którym wielorybnik z północy wieloryba do brzegu wabi by go zabić, oraz słowo, które słoniom trąbić każe. Każdy z tych czterdziestu wierszy rymem do słowa „osa” się kończył.

Niestety, sny wciąż się do wioski wkradały i wiodły dusze na równiny Piekła. Czarownik poznał, że od Gaznaka przychodziły. Zebrał tedy lud cały z wioski i oznajmił, że użył już swego najpotężniejszego zaklęcia — zaklęcia, co to miało moc nad wszystkim co z ludzi czy zwierząt się wywodzi. Skoro i ono na nic się nie zdało, sny te zsyłane muszą być przez Gaznaka, największego pod gwiazdami czarnoksiężnika. Czytał im przy tym z Księgi Magów, która mówi o przejściach komety i kolejne jej przyjścia przepowiada. Powiedział im jak to Gaznak na komecie jeździ i Ziemię odwiedza raz na lat dwieście i trzydzieści, po czym, zbudowawszy sobie fortecę ogromną i niezdobytą, sny wysyła, by na ludzkich umysłach żerować, i że inaczej go pokonać nie można jak tylko mieczem Sacnoth.

Strach błdy padł na wieśniaków, bowiem wiedzieli już, że czarownik ich zawiódł.

Wtedy przemówił Leothric, syn Lorda Lorendiaca, a miał on lat dwadzieścia.

— Mądry Mistrzu, cóż o mieczu Sacnoth powiedzieć mi możesz? A czarownik tak mu powiedział:

— Panie mój, nikt jak dotąd miecza takiego nie wykuł. Jest on skryty Tharagaweruga skórą, która grzbiet jego chroni.

Tedy rzecze Leothric:

— Kim jest ów Tharagawerug i gdzie spotkać go można? Czarownik z Allathurionu tak mu na to odpowiedział:

— To pół smok, pół krokodyl, co nawiedza moczary Pomocy i domostwa na ich skraju pustoszy. Skóra na jego grzbiecie jest ze stali, brzuch jego z żelaza, a przez środek grzbietu, nad kręgosłupem, wąski pas stali nieziemskiej biegnie. Pas ten to Sacnoth; nie sposób go rozszczepić ni przetopić i nic w świecie złamać go nie zdoła czy choćby rysę na nim pozostawić. Ma długość solidnego miecza i takiegoż szerokość. Gdybyś Tharagaweruga zwyciężył, skórę jego w



piecu stopić by można, lecz jedna tylko rzecz krawędź Sacnotha ostrą może uczynić, a jest to jedno z Tharagaweruga oczu stalowych. Drugie zaś oko do rękojeści Sacnotha przymocować musiałbyś, aby na cię baczyło. Lecz trudne to zadanie Tharagaweruga pokonać, gdyż żaden miecz skóry jego przebić nie zdoła. Grzbietu jego złamać nie można, ani zniszczyć ogniem czy wodą. W jeden tylko sposób Tharagaweruga zwyciężyć można: głodem go zamorzyć.

Smutek zagościł w sercu Leothrica, lecz czarownik mówił dalej.

— Jeśli kto kijem zdoła przez dni trzy odgonić go odjadła, wtedy Tharagav — verug zginie z głodu o zachodzie słońca dnia trzeciego. I choć nie ma on miejsc słabych na swym ciele, to w jedno można go zranić. Otóż nos jego z ołowiu jest tylko. Miecza cios jedynie twardą stal pyska by odsłonił, lecz gdy kijem weń uderzać bezustannie, to Tharagawerug za każdym razem z bólu cofać się będzie i w ten sposób od jadła można go odpędzić.

Spytał wtedy Leothric:

— A czym się ów Tharagawerug żywi? Czarownik z Allathurionu odrzekł:

— Ludzie są jego strawą.

Poszedł więc Leothric przed siebie, z leszczyny wielki kij uciął i wcześniej tego wieczora spać się położył. Następnego ranka, ze snu niespokojnego się zbudziwszy, wziął zapasy na dni pięć i przed świtem jeszcze na północ, ku moczarom przez las wyruszył. Przez czas jakiś szedł przez leśny mrok, a gdy z niego wyszedł, słońce już wysoko nad horyzontem stało, światło jego w kałużach jałowej krainy lśniło. Niebawem ujrzał ślady pazurów Tharagav — veruga głęboko w ziemi odcisnięte, a między nimi znak ogona, również głęboko niczym bruzda w polu wyorany. Szedł więc za śladem Leothric, aż usłyszał przed sobą dźwięczenie spizowego serca Tharagaweruga, jako dzwon bijącego.

Tharagawerug, że była to pora jego pierwszego w tym dniu posiłku, z sercem głośno bijącym ku wiosce właśnie zdążał. Wszyscy na spotkanie mu wyszli jak to zwykle czynili, gdyż znieść nie mogli napięcia na Tharagaweruga oczekiwania i słuchać jego węszenia głośnego, gdy od drzwi do drzwi szedł wolno, w swym mózgu metalowym rozważając, kogo wybrać powinien. Nikt uciec nie

próbował, bo gdy niegdyś przed Tharagawerugiem uciekli, ten, ofiarę swą wybrawszy, zdążył za nią niez mordowanie niczym przeznaczenie. Nic ich przed Tharagawerugiem uchronić nie mogło. Kiedyś na drzewa się wspinali gdy nadchodził, lecz on podszedł do jednego, grzbiet swój wygiął i nachyliwszy się nieco napierał na pień tak długo, aż drzewo obalił.

Kiedy tak Leothric bliżej podszedł, Tharagawerug dojrzał go jednym ze swych oczu stalowych i ruszył ku niemu wolno, a serce dudniło mu echem w pysku otwartym. Leothric zaś z drogi mu się usunął i stanawszy między nimi a wioską w nos go uderzył, wgniecenie w ołoiwu miękki czyniąc. Tharagawerug zatoczył się w tył, wydając skowyt straszliwy niczym wielki dzwon co duszę posiadał, która nocą z grobu uleciała — duszę złą, która dzwonowi głosu użyczyła. Zaraz też warcząc Leothric ją zaatakował, lecz ten znów uskoczył i w nos go uderzył. Głos Tharagaweruga był niczym dzwonu łoskot. Za każdym razem gdy ów smokokrokodyl atak swój ponawiał lub ku wiosce się zwracał, Leothric znowu kijem go uderzał.

I tak przez dzień cały odganiał Leothric potwora coraz dalej od żeru, aż serce Tharagaweruga wściekle jak dzwon biło, zaś głos jego jeszcze donośniejszy był i bólu pełen.

Gdy wieczór nastał nie próbował już Tharagawerug zębami Leothrica chwycić, lecz biegł przed nim by kija uniknąć, a nos jego lśniący był i obolały. O zmierzchu wieśniacy wyszli i tańczyli przy dźwiękach czyneli i psalterionu, a gdy Tharagawerug czynele i psalterion usłyszał, głód i złość wielką poczuł i był jak pan jakiś, którego siłą od uczyty na zaniku własnym powstrzymano, a który słyszał zgrzyt różna mięsiwo obracającego. Przez noc więc całą wściekle Leothric atakował, często już prawie chwytając go w ciemności, gdyż płonące oczy jego ze stali równie dobrze w dzień widziały jak w nocy. W miarę jak świt się zbliżał, Leothric powoli ustępował, a gdy dzień zaczęło znowu blisko wioski byli, lecz dalej niż wtedy, gdy pierwszy raz się spotkali, gdyż Leothric w ciągu dnia dalej Tharagaweruga odparł niż ten nocą wrócić zdołał.

Leothric uporczywie kijem go odpędzał, aż nadeszła godzina, w której potwór zwykle kogoś do pożarcia wybierał. Wtedy jedną

trzecią człowieka zjadał, resztę zaś w południe i z wieczora. Gdy więc nadeszła pora posiłku, wielka srogość Tharagaweruga ogarnęła i rzucił się gwałtownie na Leothrica, lecz schytać go nie mógł i długo żaden z nich nie zaznał spoczynku. Wreszcie ból od kija na nosie ołowianym przemógł głód potwora, który cofnął się z wyciem. Od tej chwili Tharagawerug słabnąć począł. Cały ten dzień Leothric odganiał go swym kijem, a w nocy ataki jego odpierał. Gdy nadszedł świt dnia trzeciego, słabiej i wolniej biło serce Tharagaweruga, jakby dzwonił kto zmęczony. Raz Tharagawerugowi niemal udało się żabę schwycić, ale Leothric w porę mu ją odebrał. Gdy zbliżało się południe smokokrokodyl leżał nieruchomo, a Leothric stał w pobliżu na swym wiernym kiju wsparty. Zmęczony był bardzo i śpiący, lecz miał teraz czas by zjeść coś ze swych zapasów. Koniec Tharagaweruga szybko się zbliżał i po południu oddech jego stał się chrapliwy, zgrzytając w spiżowym gardle. Ku wieczorowi zaś oddech ten stał się szybszy, ale słabszy, jakby myśliwi dęli w swe rogi, jak odgłos nagonki mknącej przez las i zamierającej w dali. Jeszcze rozpaczliwie do wioski dostać się próbował, ale Leothric wciąż uwijał się wokół, godząc w nos ołowiany. Teraz ledwie słyhać już było bicie serca ze spiżu. Brzmiało ono jak dźwięk dzwonu gdzieś daleko za wzgórzami śmierć obwieszającego. Nareszcie słońce zaszło i zapłonęło w oknach wioski. Chłód świat ogarnął i jakaś kobieta zaśpiewała w ogrodach. Tharagawerug podniósł łeb i zdechł z głodu; życie uszło z jego żelaznego cielska, a Leothric przy nim się położył i zasnął.

Gdy rozbłysły gwiazdy, nadeszli wieśniacy i śpiącego do wioski zanieśli, chwając szeptem jego dzieło. W pościeli go położywszy, w milczeniu tańczyli na zewnątrz bez psalterionu i czyneli. Dnia następnego radośnie smokokrokodyla do Allathurionu zaciągnęli. Leothric z nimi poszedł dzierżąc kij swój zniszczony. W Allathurionie kowal potężny piec postawił i Tharagaweruga stopił całego z wyjątkiem miecza Sacnoth, który wśród popiołów lśniący pozostał. Wziął też jedno oko małe, co je dłutem wylupił i ostrzył nim krawędź miecza. Kawalek po kawałku ubywało oka stalowego, lecz nim całkiem się starło ostrości groźnemu Sacnothowi użyczyło. Drugie zaś oko na końcu rękojeści umieścił, by lśniło tam

niebieskawo.

Onej nocy wstał Leothric i miecz wzięwszy na zachód poszedł by Gaznaka szukać. Świt minął, ranek i wieczór się zbliżał, a on szedł przez las ciemny. Gdy wieczór nastał, z lasu wyszedł i w samym sercu Krainy Gdzie Żaden Człowiek Nie Bywał ujrzał fortecę Gaznaka, niczym góra na milę przed nim wyrastająca.

Wiedział Leothric, że kraj ten bezludny jest i bagnisty. Tu zaś wznosiła się forteca biała, z wieloma przyporami, u spodu szeroka, ku górze zwężona, z mnóstwem okien światłem jaśniejących. Wokół jej szczytu kilka chmur białych płynęło, lecz i nad nimi widać było jeszcze parę wieżyczek. Ruszył Leothric ścieżką wśród bagien, a oko Tharagaweruga z Sacnotha rękojeści drogi pilnie baczyło, gdyż potwór dobrze znał bagna. Tak więc miecz wiódł Leothrica to w prawo, to znów w lewo między miejscami niebezpiecznymi i tak do murów fortecy szczęśliwie go doprowadził.

W murze wiele drzwi było do stalowych przepaści podobnych, żelazem nabijanych, każdego zaś okna strzegła chimera kamienna, zaś na ścianie lśniła, wielkimi literami z brązu wypisana nazwa grodu: „Forteca Nie Inaczej Zdobyta Jak Sacnothem”.

Gdy Leothric miecz obnażył wszystkie chimery kły wyszczerzyły, a ich ponury uśmiech przepłynął od twarzy do twarzy, aż po szczyt w chmurach skryty.

Kiedy Sacnoth się ukazał i chimery kły wyszczerzyły, to jakby księżyc zza chmur się wyłonił, by po raz pierwszy spojrzeć na krwawe żniwo i jakby szybko przechodził nad mokrymi twarzami zabitych leżących pospołu w straszliwej poświacie. Zbliżył się Leothric do drzwi potężniejszych niż zerwy Sacremony, z której to olbrzymie bloki marmuru wykuwano, aby Opactwo Świętych Łez zbudować. Dzień po dniu wnętrzości wzgórza wrywano, aż Opactwo powstało, piękniejsze niż cokolwiek w kamieniu ciosano. Później kapłani pobłogosławili Sacremonę, którą w spokoju już pozostawiono i więcej ani jeden kamień nie został już stamtąd zabrany, by ludziom do budowy ich domów służyć. Odtąd wzgórze samotnie stało na południe zwrócone swą twarzą z bliźną ogromną, tak wielkie były te wrota stalowe. Zwały się one Porte Resonant — Ku Wojnie Wiodące.

Leothric mieczem swym w te wrota uderzył, a echo dźwięcznie przeleciało przez korytarze budząc wszystkie smoki w fortecy. Gdy wściekle ujadanie najdalszego z nich do reszty się dołączyło, gdzieś wysoko w górze okno się otwarło wśród chmur światłem zmierzchu oblanym i jakaś kobieta krzyknęła przeraźliwie. Gdzieś daleko w Piekle ojciec ją usłyszał i poznał, że jej czas nadszedł.

Leothric tymczasem dalej mieczem swym rąbał straszliwie, aż stał Porte Resonant — Ku Wojnie Wiodących, którą tak hartowano by wszystkie miecze świata wstrzymała, puściła teraz, brzęczącymi kawałami odpadając.

Sacnoth w rękę dierząc, wszedł Leothric przez dziurę, którą mieczem we wrotach wyrąbał, do mrocznego, przepastnego holu.

Jakiś słoń umknął z donośnym trąbieniem. Stał Leothric bez ruchu, Sacnoth trzymając. Gdy tupot słonia ucichł w odległych korytarzach, nic się już nie poruszało i hol ciszy był pełen.

Teraz ciemności długich korytarzy muzyką dzwonów rozbrzmiały, coraz to bliżej zdających się dzwonić.

Czekał w ciemności Leothric, a dzwony brzmiały coraz głośniej i głośniej, niosąc się echem poprzez korytarze, aż ukazała się karawana jeźdźców. Po dwóch na wielbłądach jadąc, z wnętrza fortecy się wyłonili, a uzbrojeni byli w bułaty asyryjskie i w zbroje odziani, stalowe misiurki zwisały z okapów ich hełmów w rytm wielbłądzych kroków się kołysząc. Gdy stanęli wszyscy przed Leothricem w holu przepastnym, dzwonki po raz ostatni zabrzmiały i umilkły. Dowódca straży rzekł do Leothrica:

— Władca Gaznak pragnie ujrzeć cię umierającego. Zechciej iść z nami, a po drodze omówimy sposób w jaki zadość uczynisz Jego życzeniu.

i oznajmił, że użył już swego najpotężniejszego zaklęcia — zaklęcia, co to miało moc nad wszystkim co z ludzi czy zwierząt się wywodzi. Skoro i ono na nic się nie zdało, sny te zsyłane muszą być przez Gaznaka, największego pod gwiazdami czarnoksiężnika. Czytał im przy tym z Księgi Magów, która mówi o przejściach komety i kolejne jej przyjścia przepowiada. Powiedział im jak to Gaznak na komecie jeździ i Ziemię odwiedza raz na lat dwieście i

trzydzieści, po czym, zbudowawszy sobie fortecę ogromną i niezdobytą, sny wysyła, by na ludzkich umysłach żerować, i że inaczej go pokonać nie można jak tylko mieczem Sacnoth.

Strach błady padł na wieśniaków, bowiem wiedzieli już, że czarownik ich zawiódł.

Wtedy przemówił Leothric, syn Lorda Lorendiaca, a miał on lat dwadzieścia.

— Mądry Mistrzu, cóż o mieczu Sacnoth powie mi możesz?

A czarownik tak mu powiedział:

— Panie mój, nikt jak dotąd miecza takiego nie wykuł. Jest on skryty Tharagaweruga skórą, która grzbiet jego chroni.

Tedy rzecze Leothric:

— Kim jest ów Tharagawerug i gdzie spotkać go można?

Czarownik z Allathurionu tak mu na to odpowiedział:

— To pół smok, pół krokodyl, co nawiedza moczary Północy i domostwa na ich skraju pustoszy. Skóra na jego grzbiecie jest ze stali, brzuch jego z żelaza, a przez środek grzbietu, nad kręgosłupem, wąski pas stali nieziemskiej biegnie. Pas ten to Sacnoth; nie sposób go rozszcześcić ni przetopić i nic w świecie złamać go nie zdoła czy choćby rysę na nim pozostawić. Ma długość solidnego miecza i takiegoż szerokość. Gdybyś Tharagaweruga zwyciężył, skórę jego w piecu stopić by można, lecz jedna tylko rzecz krawędź Sacnotha ostrą może uczynić, a jest to jedno z Tharagaweruga oczu stalowych. Drugie zaś oko do rękojeści Sacnotha przymocować musiałbyś, aby na cię baczyło. Lecz trudne to zadanie Tharagaweruga pokonać, gdyż żaden miecz skóry jego przebić nie zdoła. Grzbietu jego złamać nie można, ani zniszczyć ogniem czy wodą. W jeden tylko sposób Tharagaweruga zwyciężyć można: głodem go zamorzyć.

Smutek zagościł w sercu Leothrica, lecz czarownik mówił dalej.

— Jeśli kto kijem zdoła przez dni trzy odgonić go odjadła, wtedy Tharagav — verug zginie z głodu o zachodzie słońca dnia trzeciego. I choć nie ma on miejsc słabych na swym ciele, to w jedno można go zranić. Otóż nos jego z ołowiu jest tylko. Miecza cios jedynie twardą stal pyska by odsonił, lecz gdy kijem weń uderzać bezustannie, to Tharagawerug za każdym razem z bólu cofać się będzie i w ten sposób od jadła można go odpędzić.

Spytał wtedy Leothric:

— A czym się ów Tharagawerug żywi? Czarownik z Allathurionu odrzekł:

— Ludzie są jego strawą.

Poszedł więc Leothric przed siebie, z leszczyny wielki kij uciął i wcześniej tegowieczora spać się położył. Następnego ranka, ze snu niespokojnego się zbudziwszy, wziął zapasy na dni pięć i przed świtem jeszcze na północ, ku moczarom przez las wyruszył. Przez czas jakiś szedł przez leśny mrok, a gdy z niego wyszedł, słońce już wysoko nad horyzontem stało, światło jego w kałużach jałowej krainy lśniło. Niebawem ujrzał ślady pazurów Tharagaweruga głęboko w ziemi odcisnięte, a między nimi znak ogona, również głęboko niczym bruzda w polu wyorany. Szedł więc za śladem Leothric, aż usłyszał przed sobą dźwięczenie spiżowego serca Tharagaweruga, jako dzwon bijącego.

Tharagawerug, że była to pora jego pierwszego w tym dniu posiłku, z sercem głośno bijącym ku wiosce właśnie zdązał. Wszyscy na spotkanie mu wyszli jak to zwykle czynili, gdyż znieść nie mogli napięcia na Tharagaweruga oczekiwania i słuchać jego węszenia głośnego, gdy od drzwi do drzwi szedł wolno, w swym mózgu metalowym rozważając, kogo wybrać powinien. Nikt uciec nie próbował, bo gdy niegdyś przed Tharagawerugiem uciekli, ten, ofiarę swą wybrawszy, zdązał za nią niezmordowanie niczym przeznaczenie. Nic ich przed Tharagawerugiem uchronić nie mogło. Kiedyś na drzewa się wspinali, gdy nadchodził, lecz on podszedł do jednego, grzbiet swój wygiął i nachyliwszy się nieco napierał na pień tak długo, aż drzewo obalił.

Kiedy tak Leothric bliżej podszedł, Tharagawerug dojrzał go jednym ze swych oczu stalowych i ruszył ku niemu wolno, a serce dudniło mu echem w pysku otwartym. Leothric zaś z drogi mu się usunął i stanąwszy między nimi a wioską w nos go uderzył, wgniecenie w ołowi miękkiem czyniąc. Tharagawerug zatoczył się w tył, wydając skowyt straszliwy niczym wielki dzwon co duszę posiadał, która nocą z grobu uleciała — duszę złą, która dzwonowi głosu użyczyła. Zaraz też warcząc Leothrica „zaatakował, lecz ten znów uskoczył i w nos go uderzył. Głos Tharagaweruga był niczym

dzwonu łoskot. Za każdym razem gdy ów smokokrokodyl atak swój ponawiał lub ku wiosce się zwracał, Leothric znowu kijem go uderzał.

I tak przez dzień cały odganiał Leothric potwora coraz dalej od zera, aż serce Tharagaweruga wściekle jak dzwon biło, zaś głos jego jeszcze donośniejszy był

i bólu pełen.

Gdy wieczór nastał nie próbował już Tharagawerug zębami Leothrica chwycić, lecz biegł przed nim by kija uniknąć, a nos jego lśniący był i obolały. O zmierzchu wieśniacy wyszli i tańczyli przy dźwiękach czyneli i psalterionu, a gdy Tharagawerug czynele i psalterion usłyszał, głód i złość wielką poczuł i był jak pan jakiś, którego siłą od uczty na zamku własnym powstrzymano, a który słyszał zgrzyt różna mięsivo obracającego. Przez noc więc całą wściekle Leothrica atakował, często już prawie chwytając go w ciemności, gdyż płonące oczy jego ze stali równie dobrze w dzień widziały jak w nocy. W miarę jak świt się zbliżał, Leothric powoli ustępował, a gdy dzień zaczęło znowu blisko wioski byli, lecz dalej niż wtedy, gdy pierwszy raz się spotkali, gdyż Leothric w ciągu dnia dalej Tharagaweruga odparł niż ten nocą wrócić zdołał. Leothric uporczywie kijem go odpędzał, aż nadeszła godzina, w której potwór zwykle kogoś do pożarcia wybierał. Wtedy jedną trzecią człowieka zjadał, resztę zaś w południe i z wieczora. Gdy więc nadeszła pora posiłku, wielka srogość Tharagaweruga ogarnęła i rzucił się gwałtownie na Leothrica, lecz schytać go nie mógł i długo żaden z nich nie zaznał spoczynku. Wreszcie ból od kija na nosie ołowianym przemógł głód potwora, który cofnął się z wyciem. Od tej chwili Tharagawerug słabnąć począł. Cały ten dzień Leothric odganiał go swym kijem, a w nocy ataki jego odpierał. Gdy nadszedł świt dnia trzeciego, słabiej i wolniej biło serce Tharagaweruga, jakby dzwonił kto zmęczony. Raz Tharagawerugowi niemal udało się żabę schwycić, ale Leothric w porę mu ją odebrał. Gdy zbliżało się południe smokokrokodyl leżał nieruchomo, a Leothric stał w pobliżu na swym wiernym kiju wsparty. Zmęczony był bardzo i śpiący, lecz miał teraz czas by zjeść coś ze swych zapasów. Koniec Tharagaweruga szybko się zbliżał i po południu oddech jego stał się



chrapliwy, zgrzytając w spiżowym gardle. Ku wieczorowi zaś oddech ten stał się szybszy, ale słabszy, jakby myśliwi dęli w swe rogi, jak odgłos nagonki mknącej przez las i zamierającej w dali. Jeszcze rozpaczliwie do wioski dostać się próbował, ale Leothric wciąż uwijał się wokół, godząc w nos ołowiany. Teraz ledwie słysząc już było bicie serca ze spiżu. Brzmiało ono jak dźwięk dzwonu gdzieś daleko za wzgórzami śmierć obwieszczającego. Nareszcie słońce zaszło i zapłonęło w oknach wioski. Chłód świat ogarnął i jakaś kobieta zaśpiewała w ogrodach. Tharagawerug podniósł łeb i zdechł z głodu; życie uszło z jego żelaznego cielska, a Leothric przy nim się położył i zasnął.

Gdy rozbłysły gwiazdy, nadeszli wieśniacy i śpiącego do wioski zanieśli, chwając szeptem jego dzieło. W pościeli go położywszy, w milczeniu tańczyli na zewnątrz bez psalterionu i czyneli. Dnia następnego radośnie smokokrokodyla do Allathurionu zaciągnęli. Leothric z nimi poszedł dzierżąc kij swój zniszczony. W Allathurionie kowal potężny piec postawił i Tharagaweruga stopił całego z wyjątkiem miecza Sacnoth, który wśród popiołów lśniący pozostał. Wziął też jedno oko małe, co je dłutem wylupił i ostrzył nim krawędź miecza. Kawalek po kawałku ubywało oka stalowego, lecz nim całkiem się starło ostrości groźnemu Sacnothowi użyczyło. Drugie zaś oko na końcu rękojeści umieścił, by lśniło tam niebieskawo.

Onej nocy wstał Leothric i miecz wzięwszy na zachód poszedł by Gaznaka szukać. Świt minął, ranek i wieczór się zbliżał, a on szedł przez las ciemny. Gdy wieczór nastał, z lasu wyszedł i w samym sercu Krainy Gdzie Żaden Człowiek Nie Bywał ujrzał fortecę Gaznaka, niczym góra na milę przed nim wyrastającą.

Wiedział Leothric, że kraj ten bezludny jest i bagnisty. Tu zaś wznosiła się forteca biała, z wieloma przyporami, u spodu szeroka, ku górze zwężona, z mnóstwem okien światłem jaśniejących. Wokół jej szczytu kilka chmur białych płynęło, lecz i nad nimi widać było jeszcze parę wieżyczek. Ruszył Leothric ścieżką wśród bagien, a oko Tharagaweruga z Sacnotha rękojeści drogi pilnie baczyło, gdyż potwór dobrze znał bagna. Tak więc miecz wiódł Leothrica to w prawo, to znów w lewo między miejscami niebezpiecznymi i tak do

murów fortecy szczęśliwie go doprowadził.

W murze wiele drzwi było do stalowych przepaści podobnych, żelazem nabijanych, każdego zaś okna strzegła chimera kamienna, zaś na ścianie lśniła, wielkimi literami z brązu wypisana nazwa grodu: „Forteca Nie Inaczej Zdobyta Jak Sacnothem”.

Gdy Leothric miecz obnażył wszystkie chimery kły wyszczerzyły, a ich ponury uśmiech przepłynął od twarzy do twarzy, aż po szczyt w chmurach skryty.

Kiedy Sacnoth się ukazał i chimery kły wyszczerzyły, to jakby księżyc zza chmur się wyłonił, by po raz pierwszy spojrzeć na krwawe żniwo i jakby szybko przechodził nad mokrymi twarzami zabitych leżących pospołu w straszliwej poświacie. Zbliżył się Leothric do drzwi potężniejszych niż zerwy Sacremony, z której to olbrzymie bloki marmuru wykuwano, aby Opactwo Świętych Łez zbudować. Dzień po dniu wnętrzości wzgórze wrywano, aż Opactwo powstało, piękniejsze niż cokolwiek w kamieniu ciosano. Później kapłani pobłogosławili Sacremonę, którą w spokoju już pozostawiono i więcej ani jeden kamień nie został już stamtąd zabrany, by ludziom do budowy ich domów służyć. Odtąd wzgórze samotnie stało na południe zwrócone swą twarzą z bliźną ogromną, tak wielkie były te wrota stalowe. Zwały się one Porte Resonant — Ku Wojnie Wiodące.

Leothric mieczem swym w te wrota uderzył, a echo dźwięcznie przeleciało przez korytarze budząc wszystkie smoki w fortecy. Gdy wściekle ujadanie najdalszego z nich do reszty się dołączyło, gdzieś wysoko w górze okno się otwarło wśród chmur światłem zmierzchu oblanym i jakaś kobieta krzyknęła przeraźliwie. Gdzieś daleko w Piekło ojciec ją usłyszał i poznał, że jej czas nadszedł.

Leothric tymczasem dalej mieczem swym rąbał straszliwie, aż stał Porte Resonant — Ku Wojnie Wiodących, którą tak hartowano by wszystkie miecze świata wstrzymała, puściła teraz, brzęczącymi kawałami odpadając.

Sacnoth w rękę dzierżąc, wszedł Leothric przez dziurę, którą mieczem we wrotach wyrąbał, do mrocznego, przepastnego holu.

Jakiś słoń umknął z donośnym trąbieniem. Stał Leothric bez ruchu, Sacnoth trzymając. Gdy tupot słonia ucichł w odległych

korytarzach, nic się już nie poruszało i hol ciszy był pełen.

Teraz ciemności długich korytarzy muzyką dzwonów rozbrzmiały, coraz to bliżej zdających się dzwonić.

Czekał w ciemności Leothric, a dzwony brzmiały coraz głośniej i głośniej, niosąc się echem poprzez korytarze, aż ukazała się karawana jeźdźców. Po dwóch na wielbłądach jadąc, z wnętrza fortecy się wyłonili, a uzbrojeni byli w bułaty asyryjskie i w zbroje odziani, stalowe misiurki zwiślały z okapów ich hełmów w rytm wielbłądzych kroków się kołysząc. Gdy stanęli wszyscy przed Leothricem w holu przepastnym, dzwonki po raz ostatni zabrzmiały i umilkły. Dowódca straży rzekł do Leothrica:

— Władca Gaznak pragnie ujrzeć cię umierającego. Zechciej iść z nami, a po drodze omówimy sposób w jaki zadość uczynisz Jego życzeniu.

Gdy to mówił łańcuch żelazny rozwinął, który przy siodle trzymał. Leothric zaś tak mu odpowiedział:

— Chętnie z wami pójdę, gdyż przybyłem tu by zabić Gaznaka.

Wtedy cała straż Gaznaka, co wielbłądów dosiadała, wybuchnęła śmiechem szkaradnym płosząc wampiry pod niebotycznym sklepieniem śpiące. Rzekł dowódca:

— Nieśmiertelnym jest Władca Gaznak i tylko Sacnoth może go ranić, lecz nosi on zbroję, która i cios Sacnotha wytrzyma. Miecz też posiada drugi co do mocy w świecie.

Zaś Leothric rzekł:

— Jam jest panem miecza Sacnoth.

Postąpił ku straży wielbłądziej Gaznaka, a Sacnoth uniósł się w jego dłoni i w dół opadł, jakby czymś poruszany pulsem. Straże do ucieczki się rzuciły; pochyleni do przodu jeźdźcy wielbłądy batami smagali i wielki hałas batami czyniąc, oddalali się przez korytarze, arkady i sale wysoko sklepione, aż rozpierzchli się po ciemnym wnętrzu fortecy. Kiedy ucichły kroki ostatniego Leothric nie wiedział, którą drogę obrać, gdyż w różnych rozpierzchli się kierunkach. Poszedł więc prosto przed siebie, aż do wielkich schodów pośrodku ogromnej sali doszedł. Postawił stopę na stopniach i przez chwilę wolno w górę się wspinał. Niewiele było światła w ogromnej wieży, którą Leothric na górę wchodził, a ta

odrobina przez wąskie strzelnice się wdzierała z zewnątrz, gdzie zmrok szybko zapadał. Schody zaprowadziły go do drzwi szerokich, które uchylone były. Prześliznął się przez nie Leothric dalej iść pragnąc, lecz nie mógł, gdyż cała sala zdała się być pełna girland z lin plecionych, które pętłą u dołu zakończone, kołysały się od ściany do ściany. Czarno było od nich w komnacie. Miękkie były w dotyku i lekkie jak najlepszy jedwab, a jednak żadnej Leothric przerwać nie zdołał. Choć łatwo ustępowały gdy w przód się przeciskał, to ledwie trzy jardy uszedł, ciasno go otuliły niczym płaszcz ciężki. Tedy Leothric odstąpiwszy miecz wyciągnął i pociął nim liny hałasu najmniejszego nie czyniąc, zaś odcięte kawałki na podłogę jak deszcz spadły. Powoli szedł Leothric naprzód, na prawo i lewo Sacnothem wywijając. Gdy do środka komnaty dotarł i przeciął swym mieczem olbrzymi pęk włókien, ujrzał przed sobą pająka większego niżli baran. Ten popatrzył nań oczami, które były małe, lecz grzechu pełne, i rzekł:

— Kimże jesteś, ty, który niszczysz pracę lat całych na cześć Szatana uczynioną?

Leothric tak mu powiedział:

— Jam jest Leothric, syn Lorendiaca. A pająk na to:

— Zaraz linę splotę, na której cię powieszę.

Wtedy Leothric następny zwój przeciął i zbliżył się do pająka gdy ten linę swą wysnuwał, pająk zaś wzrok znad swego dzieła podnosząc zapytał:

— Cóż to za miecz, co liny moje przecinać potrafi?

Leothric odparł:

— To Sacnoth.

Wtedy włosy czarne, co twarz pająka porastały, rozchyliły się na lewo i prawo, a pająk zmarszczył się. Po chwili zaś włosy na miejsce opadły zakrywając wszystko prócz grzesznych ślepi, pożądliwie w ciemnościach pobłyskujących. Nim Leothric chwycić go zdołał, wymknął mu się z rąk i na krokiew wysoką się wspiąwszy, pozostał tam mrużąc. Sacnothem drogę sobie torując, Leothric przez komnatę przeszedł i do kolejnych drzwi dotarł, lecz te zamknięte były, a rygle zbyt wysoko by ich dosięgnąć. Wyrąbał więc w nich otwór i przeszedł, tak samo jak przez Porte Resonant — Ku Wojnie

Wiodące. Wszedł do jasnej komnaty, gdzie Królowe i Książęta przy ogromnym stole razem biesiadowali. Tysiące świec wokół płonęło, a ich blask lśnił w winie przez Książąt pitym i na wielkim, złotym świeczniku. Blask bił też z twarzy królewskich i z białego obrusa, i z talerzy srebrnych, i klejnotów we włosach Królowych, a każdy klejnot swojego miał historyka, który przez całe życie o nim tylko pisał. Między stołem a drzwiami dwustu lokai stało, w dwóch rzędach, po stu w każdym, twarzą do siebie zwróceni. Nikt nie spojrzał na Leothrica, gdy przez dziurę w drzwiach wkroczył, lecz jeden z Książąt zadał pytanie, które przez sto ust przeszedłszy dotarło do lokaja najbliższego Leothrica stojącego, a ten nie patrząc na przybyłego rzekł:

— Czego tu szukasz? Leothric odparł:

— Chcę zabić Gaznaka.

Kolejno lokaje powtórzyli do stołu:

— Chcę zabić Gaznaka.

Nowe pytanie wróciło przez lokai:

— Jak się zowiesz?

Rząd naprzeciw stojący zaniósł z powrotem odpowiedź. Wtedy jeden z Książąt tak się odezwał:

— Zabierzcie go tam, gdzie nie będziemy wrzasków jego słyszeli.

Lokaje powtórzyli to kolejno aż wieść dotarła do dwóch ostatnich, którzy wystąpili by Leothrica pochwycić, lecz Leothric miecz im pokazał mówiąc:

— Oto Sacnoth.

A oni sąsiadom swym powtórzyli:

— Oto Sacnoth.

Z krzykiem trwogi uciekli, tak że dwaj ostatni wiadomość do stołu podali i też zbiegli. Powstali w popłochu Książęta i Królowe, w popłochu z komnaty umykając. Kiedy wszyscy uciekli, stół, co tak zasobnym dotąd się wydawał, w nieładzie pozostał i ruinie. Leothric, dumający w opuszczonej komnacie, którymi dalej udać się drzwiami, dźwięki muzyki w oddali usłyszał i pojął, że to magiczni muzykanci do snu Gaznakowi grający. Za dźwiękiem odległej muzyki podążając, przeszedł Leothric przez drzwi znajdujące się na wprost tych, w których otwór wyrąbał, i tak znalazł się w równie wielkiej

komnacie, niewypowiedzianej piękności kobiet pełnej. Wszystkie pytały go o cel jego wizyty, a gdy dowiedziały się, iż przybył aby Gaznaka zabić, błagały go by wśród nich pozostał mówiąc, że Gaznak nieśmiertelnym jest i nie ima się go nic prócz Sacnotha, i że pragną mieć rycerza, co by je przed wilkami bronił, które za ogrodzeniem nocą krążą i co raz do nich się wdzierają przez dąb zmurszały. Zostałyby może Leothric, gdyby ludzkimi były istotami, lecz dziwnej były urody, miast oczu widział płomyki w ich oczodołach migoczące i wiedział, że to sny gorączkowe Gaznaka. Rzekł więc:

— Mam coś do załatwienia z Gaznakiem i Sacnothem — po czym przez komnatę przeszedł.

Imię Sacnotha słysząc, kobiety krzyknęły ze zgrozą i płomyki w ich oczach przygasyły, zmieniając się w nikłe iskierki.

Leothric zostawił je i przez następne drzwi przeszedł, Sacnothem rąbiąc.

Gdy na zewnątrz się znalazł, nocne powietrze na twarzy poczuł i odkrył, że na wąskiej ścieżce między dwiema przepaściami stoi. Na lewo i prawo jak okiem sięgnąć ściany fortecy w głęboką otchłan opadały, chociaż dach nad jego głową dalej się rozciągał. Przed nim zaś przepaści dwie leżały, obie gwiazd pełne gdyż ich blask poprzez Ziemię całą przeszedł, drugą stronę nieba ukazując. Tak to między tymi zboczami wiodła droga kręta i w górę się pnąca. W oddali, gdzie droga do kolejnych otchłani wiodła, usłyszał Leothric muzykantów magicznych melodię swą grających. Wszedł więc na drogę na trzy stopy ledwie szeroką i z mieczem obnażonym w dłoni, naprzód kroczył. W każdej otchłani trzepot skrzydeł wampirów słyszał, które pod nim w dół lub w górę polatywały, Szatana wielbiąc. Nagle smoka Thok ujrzał jak na drodze leży i sen udaje, a ogon mu do jednej z otchłani zwisa.

Ruszył Leothric na smoka, a gdy był już blisko, Thok też nań się rzucił. Syn Lorendiaca mocno się zamachnął i Thok z wyciem w otchłan się stoczył, a spadając kończynami machał. Tak leciał aż jego wycie nie było głośniejsze od szeptu i wreszcie zupełnie ustało. Raz czy dwa Leothric gwiazdę ujrzał co mruga przez chwilę i znów się ukazuje. Te chwilowe zaćmienia były wszystkim, co ze smoka Thok

pozostało.

Nieco dalej leżący Lunk, brat Thoka, zobaczył to i poznał, iż musi to być Sacnoth i uciekł tupiąc ciężko. Przez cały ten czas gdy między otchłaniami kroczył, miał nad głową Leothric potężne sklepienie fortecznego pułapu mroku pełne. Teraz, kiedy drugi brzeg przepaści mógł dojrzeć, dostrzegł Leothric komnatę, która niezliczonymi arkadami na bliźniacze otchłanie się otwierała, a na prawo i lewo kolumny tych arkad dalej biegingy, w mroku ginącing.

Na dnie przepaści mrocznej, nad którą kolumny stały, widział okna małe kratami zamknięte, zaś między kratami ukazywały się i znikwały rzeczy, o których nie będę mówił.

Nie było tu żadnych światel prócz wielkich, południowych gwiazd w otchłani świecących, czy też światełek tu i tam pod arkadami błyskających, które poruszały się ukradkiem, odgłosów stapania nie dając.

Zboczył więc Leothric z drogi i wszedł do wielkiej komnaty.

Nawet sam sobie wydawał się malutkim karzełkiem, gdy przechodził pod tymi potężnymi łukami.

Resztki wieczornego światła migotały za oknami na ciemno pomalowanymi, co przypominać miały dzieło Szatana na Ziemi. Wysoko w murze okno było, a niżej płomyki świec chyłkiem w dal odpływały.

Nie było innego światła prócz niebieskiego, nikłego blasku stalowego oka Tharagaweruga, które niestrudzenie z rękojeści Sacnotha spojrzeniem toczyło. Wszędy wisiał ciężki i wilgotny odór jakby wielkiej, niebezpiecznej bestii.

Leothric ruszył wolno naprzód, ostrze Sacnotha trzymając przed sobą i wroga szukając, zaś oko z rękojeści w tył spoglądało. Nic się nie poruszyło.

Jeśli coś się kryło za kolumnadą filarów, co dach podtrzymywały, to ani oddychało, ani ruszało się.

Gdzieś bardzo blisko słyhać było muzykę czarodziejskich grajków. Nagle drzwi po przeciwnej stronie komnaty na oścież się rozwarły. Przez chwil kilka nic się nie ruszało i Leothric czekał Sacnotha w dłoni ściskając. Wtedy nadszedł dysząc ciężko Wong Bongerok.

A był to ostatni i najwierniejszy strażnik Gaznaka. Właśnie skończył łąsić się do pana swego i na obchód ruszył. Bardziej jak własne dziecko niżli smoka, zwykł Gaznak go traktować, z ręki go karmiąc delikatnymi i dymiącymi jeszcze kawałkami ludzkiego mięsa.

Długi i płaski był Wong Bongeroke, a w jego oczach czaiła się chytrłość.

Nadszedł wydychając złośliwe opary ze swej wiernej piersi i ciągnąc za sobą swój ogon ciężki, tak jak żeglarze brzęczący łańcuch kotwicy po pokładzie ciągną.

Wiedział dobrze Wong Bongeroke iż Sacnotha napotkał, albowiem przez lat wiele leżąc u stóp Gaznaka zwinięty, miał zwyczaj przyszłość przepowiadać.

Postąpił Leothric w zasięg jego trującego oddechu i wzniosł Sacnotha by cios tęgi zadać. Gdy Sacnoth był w górze, oko Tharagaweruga w rękojeści umieszczone smoka zobaczyło i chytrłość jego dostrzegło.

On zaś szeroko paszczękę otworzył ukazując rzędy kłów niczym szable ostrych i dziaśła skórzaste do góry unosząc. Gdy Leothric zamierzał się by w głowę cios mu zadać, ten niczym skorpion wyrzucił ku niemu ogon swój ciężki. Wszystko to dostrzegło oko w Sacnotha rękojeści umieszczone i miecz nagle z boku uderzył. Nie ostrzem jednak Sacnoth cios zadał, bo gdyby tak uczynił to odcięty koniec ogona i tak Leothrica by trafił niczym sosna, którą lawina z półki skalnej w powietrze rzuciła pierś alpinisty przebijając. Tak zostałby Leothric przebity, lecz Sacnoth z boku płazem uderzył ogon świszczący nad Leothrica lewym ramieniem odbijając i o pancierz ogona zgrzytnąwszy, bruzdę na nim zostawił. Potem uderzył Leothric w ogon Wong Bongeroka, Sacnothem cios parując, zaś ogon smoczy przeleciał mu nad głową, celu chybiwszy. Później miecz Leothrica przeciw zębom Wong Bongeroka walczył i uderzał, jak tylko Sacnoth potrafi i wierne, choć złe, życie Wong Bongeroka uszło przez ranę głęboką.

Potem Leothric dalej poszedł mijając martwego potwora, którego ciało drgało jeszcze. Przez chwilę było tak, jakby wszystkie w tym kraju lemieszce po jednym polu ciągnione były przez zmęczone i



miotające się konie, lecz niebawem drzenie ustało i Wong Bongerek legł bez ruchu rdzy oczekując.

Leothric poszedł dalej ku otwartym bramom, a z Sacnotha krople wolno na podłogę kapały.

Przez bramę, którą wcześniej przybył Wong Bongerek, wszedł Leothric do korytarza muzyką dźwięczącego. Pierwsze to było miejsce, w którym cokolwiek nad głową swoją widział, gdyż do tej pory dach wszędy na wielką wysokość się wznosił i ginął w pomroce. Wzdłuż wąskiego korytarza, tuż nad głową Leothrica, ogromne dzwony z brązu wisiały. Szerokością każdy od ściany do ściany sięgał, a wszystkie w jednym rzędzie. Gdy pod którym przechodził, ten odzywał się głosem niskim i ponurym, jakby po raz ostatni mówił do kogoś, kto właśnie umarł. Kiedy Leothric pod dzwonami przechodził, każdy jeden raz się odezwał, a głosy ich niezwykle uroczyście brzmiały. Bowiem gdy szedł wolno, wtedy dzwony bardziej do siebie się zbliżały, a gdy kroku przyspieszał, wtedy od siebie się odsuwały. Echo zaś każdego przed nim biegło, do innych dzwonów szeptając. Raz, gdy się zatrzymał, wszystkie ze złością dzwonić poczęły, tak że znowu iść musiał.

Śród tej powolnej i złowrogiej muzyki znów czarodziejskich muzykantów usłyszał. Teraz pieśń żalobną grali, smutną niezwykle.

Doszedł wreszcie Leothric do końca Korytarza Dzwonów, tam zaś małe, czarne drzwi spostrzegł. Cały korytarz za nim żalobnego grania dzwonów był pełen, a wszystkie śmierć jego rychłą głosiły. Pośród tego pieśń muzykantów przewijała się niczym korowód strojnych gości — a wszyscy źle Leothricowi życzyli.

Drzwi czarne ustąpiły pod jego ręką i znalazł się na zewnątrz, na dziedzińcu szerokim, marmurem wykładanym. Wysoko w górze świecił księżyc, ręką Gaznaka tam posłany. Tam też spał i Gaznak, a wokół niego muzykanci czarodziejscy na harfach swych grali. Gaznak nawet we śnie w zbroję był przyodzian i tylko nadgarstki, twarz i szyję miał odsłonięte.

Czar tego miejsca sny Gaznaka stanowiły, bo za dziedzińcem szerokim czarna otchłań ziała i ku tej otchłani płynęła biała kaskada schodów marmurowych, rozszerzających się niżej w tarasy i balkony białych postaci pełne. Potem dalej w ciemność schodziła szerokimi

stopniami na jeszcze niższe tarasy dochodząc, gdzie mroczne i niewyraźne postacie tam i z powrotem chodziły. Wszystkie one Gaznaka snami były, w jego umyśle się rodziły i w marmur zamienione mijały krawędź otchłani przy grajków muzyce. Tą przedziwną kołysane melodią, nieustannie z Gaznaka umysłu się dobywały jak smukłe i piękne iglice ku niebu strzelając. Wolno w rytmie muzyki te sny się ruszały. Kiedy zaś dzwony zadźwięczały żalobnie, muzycy pieśń swą zagrali, a chimery obrzydłe zza iglic i wież wyskoczyły, w otchłani szept cichy rozchodzić się począł.

Gdy Leothric od drzwi czarnych krok postąpił, Gaznak oczy otworzył. Nie spojrział ni w prawo, ni w lewo, lecz wstając prosto ku Leothricowi twarz swoją zwrócił.

Muzykanci śmiertelne zakłęcie zagrab i wzdłuż ostrza Sacnotha brzęczenie słyszeć się dało, gdy odparł zakłęcie. Gdy zaś Leothric nie upadł, słysząc Sacnotha brzęczenie, czarownicy z wyciem uciekli, harfy swe porzucając.

Wtedy Gaznak z krzykiem miecz swój z pochwy wy dobył, którego nic prócz Sacnotha pokonać nie mogło i wolno do Leothrica podchodził. Idąc uśmiechał się, chociaż własne sny los mu już przepowiedziały. Zbliżywszy się popatrzyli na siebie, lecz żaden słowa nie wymówił, i uderzyli jednocześnie, i miecze ich poznały się i wiedziały skąd pochodzą. Za każdym razem gdy miecz Gaznaka w ostrze Sacnotha uderzał, odbijał się niczym grad od dachówek na dachu, lecz gdy sięgał Leothrica zbroi, odcinał ją po kawałku. Również Sacnoth często i gwałtownie na zbroję Gaznaka opadał, jednak zawsze z warkotem powracał żadnego nie czyniąc śladu. Gaznak walcząc, lewą rękę tuż nad głową trzymał. Wreszcie Leothric wściekle i celnie w szyję wroga uderzył, lecz Gaznak głowę swą za włosy chwyciwszy w górę ją uniósł i Sacnoth tylko powietrze przeciął, krzywdy mu nie czyniąc. Zaraz też Gaznak głowę swą na szyi z powrotem umieścił i dzielnie walczył dalej. Choć Leothric raz po raz mieczem uderzał chcąc Gaznakowi szyję nieosłoniętą przeciąć, zawsze lewa ręka Gaznaka szybsza była niżli cios i miecz w próżnię trafiał.

Ciągnęła się ta walka aż cała zbroja Leothrica na podłogę opadła, a marmur krew jego schlapała, zaś miecz Gaznaka do piły był

podobny od nacięć ostrzem Sacnotha uczynionych. Lecz Gaznak stał wciąż nietknięty i wciąż się uśmiechał.

Spojrzał wreszcie Leothric na gardło Gaznaka i mieczem wymierzył. Znowu Gaznak głowę swą za włosy podniósł, lecz nie ku gardłu pomknął teraz Sacnoth, bo Leothric w rękę uniesioną wymierzył i Sacnoth z furkotem ją odciął, tak jak kosa łodygę kwiatu ucina.

Odcięta ręka na podłogę upadła i natychmiast z ramienia Gaznaka krew trysnęła. Kapiała też z głowy po podłodze się toczącej. Runęły nagle wieżycy wysokie i zapadły się rozległe tarasy, dziedzińiec rozwiął się jak mgła, a wiatr powiał kolumnady unosząc. Rozpadł się cały potężny Gaznaka zamek. Zamknęły się nagle otchłanie, niczym usta człowieka, który opowieść swą skończywszy, więcej już mówić nie będzie.

Spojrzał Leothric wokół siebie na bagna, które nocna mgła spowijała. Nie było już żadnej fortecy, ni smoczycz ryków, ni żywej duszy. Tylko obok pomarszczony starzec leżał, martwy i zły, z ręką i głową od ciała odciętą.

Z wolna nad rozległą krainą świt zaczął wstawać, piękno swe ukazując niczym narastającą organów muzykę ręką mistrza grana, coraz mocniejszą i piękniejszą, razem z duszą mistrza ciepłem wzbierającą, by wreszcie chwałę pełną mocą ogłosić.

Wreszcie ozwały się ptaki, a Leothric do domu się udał. Moczary opuściwszy wszedł do lasu ciemnego, a światło poranka drogę mu rozświetlało. Przed południem był już w Allathurionie, złą i pomarszczoną głowę ze sobą przynosząc, a lud radował się, gdyż niespokojne noce minęły.

Oto opowieść o zdobyciu Fortecy Nie Inaczej Zdobytej Jak Sacnothem i jej końcu, którą opowiadają i w którą wierzą ci, co chwałę dawnych dni kochają.

Inni twierdzą, daremnie starając się tego dowieść, że to gorączka jakaś Allathurion nasza, a później ustąpiła. Ta sama gorączka Leothrica na moczary powiodła i sprawiła, że śniąc tam mieczem dzielnie walczył.

Inni jeszcze utrzymują, że Allathurionu nie było, a Leothric nigdy nie istniał.

Pokój im. Ogrodnik zebrał już jesienne liście. Któż je jeszcze zobaczy i kto je spamięta? Kto wie, co wydarzyło się w dniach dawno minionych?

## W KRAINIE CZASU IN THE LAND OF TIME

Karnith, król Alatty, rzekł do swego najstarszego syna:

— Przekazuję ci miasto moje, Zoon, gród o złotych dachach, pod którym uwijają swe ule pszczoły. Przekazuję ci też Alatta i inne krainy, gdyż godzien jesteś nimi władać. Moje trzy potężne armie, które także tobie zostawiam, mogą bez trudu zająć Zindarę, podbić Istahn, odeprzeć najazd Onin, czy też obalić mury Yan. Panowanie swoje rozciągnąć możesz na pomniejsze kraje: Hebith, Ebon i Karidę. Lecz pamiętaj, nie wolno ci wojsk tych przeciwko Zeenarowi zwrócić, ani też rzeki Eidis przekraczać.

Wkrótce potem w mieście Zoon, w kraju Alatta, zmarł król Karnith. Dusza jego podążyła tam, gdzie już wcześniej dusze jego poprzedników odeszły, zarówno dawnych władców, jak i ich sług. Nowy król, Karnith Zo, gdy koronę żelazną władcy Alatty założył, zszedł na równiny, które otaczają Zoon. Stały tam trzy jego armie, które głośno się domagały, by wiódł je przeciw Zeenarowi, prowadząc je za rzekę Eidis.

Król jednak zostawił armie i całą noc spędził nad wojną dumając. Tuż przed świtem przez okno pałacowe na wschód wychodzące wyrzwał na miasto Zoon, na pola Alatty, dalej jeszcze, kędy dolina ku Istahnowi się otwierała. Tak dumając ujrzał dym unoszący się nad małymi domami na równinie i ponad polami, gdzie owce się pasły.

Później weszło słońce jaśniejące nad Alatta, tak jak i jaśniało nad Istahnem. Zaczęła się krzątanina wokół domostw Alatty i Istahnu. Zapiały koguty w mieście, a ludzie wyszli na pole między owce beczące.

Król rozmyślał, czy ludzie w Istahnie inaczej żyją. Kobiety i mężczyźni spotykali się zdążając do pracy, radosny śmiech dobiegał z ulic i pól, dym nad małymi domkami unosił się prosto i wysoko. Słońce zaś wyżej jeszcze weszło oblewając swym blaskiem i Alattę, i Istahn, nakłaniając kwiaty by płatki swe szeroko rozwierały, ptaki do śpiewu zachęcając. Głosy kobiet i mężczyzn niosły się szeroko

wśród pól.

Z targowiska Zoon wyruszały już nowe karawany, by zawieźć towary do Istahnu, mijając po drodze wielbłądy do Alatty zdążające, licznymi dzwonekami dźwięczące. Król widział to wszystko głęboko zadumany.

Na zachodniej stronie, w oddali, piętrzyły się góry Agnid rzeki Eidis strzegące: za nimi to, w niegościnnym kraju, dziki lud Zeenar zamieszkiwał.

Później król przez włości swoje jadąc, do świątyni bogów Przeszłości dotarł. Tam znalazł dach zniszczony, a marmurowe kolumny rozbite, zaś wewnątrz kaplicy wysokim chwastem zarosłe: oto bogowie Przeszłości trwali w opuszczeniu i niepamięci, z czci i ofiary wyzuci.

Spytał król doradców kim był ten, który świątynię zniszczył i sprawił, że bogowie w takim zapomnieniu zostali.

— Czas tego dokonał — tak mu na to rzekli.

Później król spotkał człowieka zgarbionego i ułomnego, o twarzy pomarszczonej i pooranej bruzdami. Monarcha, który na dworze ojca swego nigdy widoku takiego nie widział, odezwał się doń w te słowa:

— Któż ci to uczynił?

Starzec zaś odpowiedział:

— Czas to sprawił bezlitośnie.

Król i doradcy jadąc dalej spotkali gromadę ludzi wóz żałobny ciągnących. Król doradców swych o śmierć szczegółowo pytał, albowiem rzeczy tych nigdy przedtem mu nie objaśniono, a najstarszy z nich tak mu odpowiedział:

— O królu nasz! Śmierć jest darem, który bogowie zesłali nam ręką sługi swego Czasu. Jedni chętnie go przyjmują, innych przymuszać trzeba by go wzięli, jeszcze innym niespodzianie wręczony zostaje. Z darem tym — który Czas od bogów przyniósł — iść musi człowiek przed siebie, w ciemność, nic więcej nie posiadając tak długo, jak długo będzie to bogów wola.

Gdy król do pałacu swego powrócił, zebrawszy najznacniejszych spośród doradców i proroków, zadawał im więcej pytań śmierci dotyczących. Oni prawili mu o tym, że Czas jest niczym potężny posąg

w półmroku stojący lub niewidocznie kroczący przez świat, że był bogów niewolnikiem i ich wykonywał rozkazy, wciąż jednak panów zmieniając, a ci, których opuścił martwi już są, a groby ich zapomniane. A jeden tak mu powiedział:

— Widziałem go niegdyś, gdy wspomnienia przywiodły mnie do ogrodu dzieciństwa. Świt się właśnie zbliżał niosąc blade światło. Ujrzałem Czas przy małej furtce stojący, równie jak światło blade, i stojąc między mną a ogrodem skradł mi moje wspomnienia, bo był silniejszy niż ja.

Inny zaś rzekł:

— I ja także widziałem Wroga Domu Mego. Widziałem go jak kroczył polami, które dobrze znałem i wiódł za rękę obcego, aby w domu moim zamieszkał i miejsce mych przodków zajął. I widziałem jak trzykrotnie dom mój obchodzi i pochyliwszy się użątek ze stodoł zagarnia, a rozgarniając maki wysokie w ogrodzie, zielsko rozsiewa na ścieżce, którą kroczył przez znane mi zakątki.

Trzeci zaś rzekł:

— Razu pewnego na pustynię zaszedł i w ziemi jałowej życie zbudził, i kazał mu gorzko płakać, i znów pustynią je przykrył.

Inny zaś rzekł:

— I ja również raz go widziałem, jak siedząc z dzieckiem jakimś w ogrodzie kwiaty wyrывał. Stamtąd dalej się udał i przez liczne lasy wędrując, schylał się i jeden po drugim liście z drzew obrywał.

Jeszcze inny rzekł:

— Widziałem go kiedyś w księżycowym blasku, gdy stał wysoki i ponury na ruinach świątyni w prastarym królestwie Amarny, knując coś złego po nocy. Zajęty był przykrywaniem czegoś ziemią i zielskiem, a twarz jego miała wyraz jaki mają mordercy. Wtedy to lud Amarny, tego prastarego królestwa, utracił swojego boga, w którego to świątyni widziałem czający się nocą Czas.

Przez całą ich rozmowę z odległego krańca miasta dobiegał tumult przez trzy armie czyniony w żądaniu, by wieść je przeciw Zeenarowi. Posłyszawszy to, zaszedł do nich król i rzekł swym wodzom te słowa:

— Nie chcę ja nad innymi ziemiami panować w szaty mordercy odziany. Widziałem tego ranka jak słońce nad Istahnem wschodzące

jednako Alattę uradowało i słyszałem jak Pokój między kwiaty opadał. Nie będę domostw pustoszył, aby nad ziemię osieroconą czy owdowiałą królować. Wszelako poprowadzę was przeciw wrogowi zawziętemu, który wieże Zoonu kruszy, i który wiele już uczynił by bogów naszych obalić. On to jest wrogiem Zindary, Istahnu i warownego Yan; nie zdoła go pokonać Hebith ni Ebnon, a i Karida bezpieczna być nie może pośród ponurych, górskich szczytów. Wróg ten jest potężniejszym niżli Zeenar, a granice jego trwalsze od brzegów Eidis. Drwiąc popatruje na ludy co na ziemi mieszkają i z bogów ich szydząc łakomie spogląda na ich kamienne grody. Tedy wyruszymy by Czas pokonać i bogów Alatty z jego szponów wyrwać, a gdy jako zwycięzcy wracać będziemy, zobaczymy, że śmierci już nie ma, a z nią odeszły choroby i starość. Na zawsze żyć będziemy tu, pod złotymi dachami Zoon, których nie zniszczy rdza; śród wież, które nigdy nie runą i brzęczenia uwijających się pszczół. Nie będzie więcej śmierci ni zapomnienia i przemijanie nikogo już w smutku nie pograży, gdy ludzi i miłe im ziemie od nieubłaganego Czasu uwolnimy. Poprzysięgły armie, iż pójdą za królem by świat i ludzi ocalić. Zatem nazajutrz wyruszył w drogę król na czele trzech armii. Wiele rzek przebyli i przez wiele państw przeszli, a wszędy gdzie dotarli o Czas pytali.

Pierwszego dnia spotkali kobietę o twarzy pooranej bruzdami. Rzekła im, że niegdyś była piękną, lecz Czas swymi pięcioma szponami w twarz ją ugodził.

Wielu jeszcze starców spotkali, gdy szli Czasu szukając. Wszyscy go widzieli, lecz nikt nic więcej powiedzieć nie potrafił niżli to, któredy przeszedł — ręką na ruiny wieży lub na stare i złamane drzewo wskazując.

Tak dzień po dniu i miesiąc po miesiącu parł naprzód król ze swymi armiami w nadziei, że wreszcie z Czasem się spotkają. Niekiedy obóz rozbijali w pobliżu pałaców przepięknych lub ogrodów kwiecia pełnych, wierząc, że wroga schwytają gdy w ciemnościach nadejdzie by niszczyć. Czasem znajdowali pajęczynę, łańcuchy rdzą pokryte, domy z zapadniętymi dachami i sypiące się mury. Wtedy zwawiej naprzód ruszali w przekonaniu, iż na ślad Czasu wpadli.



I tak tygodnie w miesiące urosły, a oni wciąż o Czasie słyszeli, lecz dotąd go nie znaleźli. Zmęczyły się wojska marszem długim; król jednakowoż naprzód parł i żadnemu wrócić nie pozwolił, mówiąc, że wróg jest blisko.

Miesiąc po miesiącu prowadził król swe niechętne już teraz armie, aż rok już prawie byli w pochodzie i do wioski Astarma na dalekiej północy dotarli. Wielu strudzonych żołnierzy zdezerterowało i osiadło w Astarmie, tamtejsze dziewczęta za żony wzięwszy. Przez nich to spisana kronika marszu do chwili, gdy do Astarmy przybyli, po bez mała roku pochodu.

Armia opuściła wioskę. Żegnana przez dzieci odeszła drogą i pięć mil dalej górski grzbiet pokonawszy, z oczu zniknęła. Niewiele prócz tego wiadomo. Dalsza część kroniki powstała z opowieści, które później, w Zoón, snuli ci co przy życiu zostali, a które przechował w pamięci lud Zeenar.

Uważa się dziś, że armie co z królem dalej poszły, powróciły wreszcie (choć nie wiedzieć po jak długim czasie) i minęły grzbiet górski tam, gdzie ziemia cała ku północy stokiem zielonym się kłoni. Niżej ciągną się pola zielone, a dalej morze pieśń swą zawodzi. Tam oko brzegu ni wyspy nie ujrzy. Śród tych pól zielonych wioska leży, na którą zwrócił oczy król i jego wojska, w dół schodząc. Leżała ona tam w swej zatechłej starości i stare jak świat szczyty jej domów zniszczone były i pogięte przez minione lata, a kominy krzywe. Pokryte niegdyś płaskimi kamieniami dachy teraz grubym mech porastał, a każde okienko spoglądało miriadem dziwnie przyciętych szybek na osobliwie ukształtowany ogród chwastem zarosły. Na skrzypiących zawiasach kołysały się drzwi zbite z niepomiernie starych, dębowych bali, których czarne sęki ziały pustką oczodołów. Nad wszystkim puch ostowy się unosił, wszędy wspinał się bluszcz lub kołysały chwasty. Z pokrzywionych kominów unosiły się proste i wysokie kolumny niebieskiego dymu, zaś między kamieniami bruku wymarłej ulicy żdzbla trawy wyzierały. Pomiedzy tą brukowaną ulicą a ogrodami wznosiły się ogrodzenia z gęstych krzaków ciernistych, przed okiem jeźdźca je zasłaniających, po których wspinał się powój by z góry na drugą stronę zajrzeć. Przed każdym domem przejście w płocie wycięto, a w nim furtka drewniana wisiała

z drewna jak mech zielonego i miękkiego od deszczu i lat. Nad wszystkim zawisł posepny całun starości i głębokie milczenie rzeczy minionych i zapomnianych. Długo wpatrywał się król i jego armie w to miejsce bezużyteczne, które lata na brzeg przeszłości wyrzuciły. Zatrzymał król armie na zboczu, z jednym tylko wodzem do wioski się udając.

W jednym z domostw poruszenie jakoweś nastąpiło i na światło dzienne nietoperz przez drzwi przeleciał, a za nim trzy myszy przez próg przebiegły i pomknęły po stopniu, którym był kamień wiekowy na dwoje pęknięty i mchem tylko spojony. Za nimi ukazał się starzec na kiju wsparty, z brodą do ziemi długą i w wyświechtanym ubraniu. Wreszcie i z innych domów inni ludzie wyszli — równie starzy i schorowani. Byli to najstarsi ludzie jakich król widział kiedykolwiek. Spytał kim są i jak zowie się ich wioska, a jeden z nich tak mu odpowiedział:

— To Miasto Starców w Państwie Czasu. Król zapytał:

— Czyż więc Czas jest tutaj?

Jeden ze starców wskazał zamek wielki, na stromym zboczu stojący i rzekł:

— Tam oto mieszka Czas, a my wszyscy jesteśmy jego ludem.

Z ciekawością na króla Karnith Zo spojrzeli, najstarszy zaś raz jeszcze przemówił:

— Skąd przybywasz, o ty, który jesteś tak młody?

Karnith Zo powiedział mu, że przyszedł by Czas pokonać, świat uratować i bogów, a potem zapytał skąd oni przybyli. Oni zaś powiedzieli:

— Starsi jesteśmy niż wieczność i nie wiemy skąd przybyliśmy, ale jesteśmy ludem Czasu, który stąd, z Krańca Wszechrzeczy godziny swe śle by świat zniszczyć. Ty zaś go nie pokonasz...

Król do swych wojsk powrócił i zamek na wzgórzu im wskazując oznajmił, że wreszcie znaleźli Krainę Wroga. Ci, co starsi byli niżli wieczność wolno do swych domostw wrócili, skrzypiąc drzwiami przeszłości. Armia, wieś mijając, przez pola ruszyła, a Czas przyglądał im się z jednej ze swych wież. Gdy tak siedział bez ruchu w swej wielkiej wieży, oni w bojowym szyku wzgórze otoczyli.

Gdy tylko stopa pierwszego skraju wzgórza dotknęła, Czas pięć

lat przeciw nim cisnął. Lata te przeleciały nad nimi, a armia ciągnęła dalej, armia starszych już ludzi. I już wzgórze bardziej strome wydało się królowi i jego ludziom, ciężiej też oddychali. A Czas, więcej jeszcze' lat zebrawszy, rzucał je kolejno przeciw królowi i jego armii. Zesztywniały im kolana, a brody porosły i posiwiały. Godziny, dni, miesiące przemykały ze świstem nad ich głowami, które szybko pokryły się siwizną. Tak przeminęła godzina zwycięstwa, a lata pędziły, młodość wojsk przeganiając, aż pod murami zamku Czasu twarzą w twarz z ciżbą wyjących lat stanęli, sam szczyt zbyt stromy dla starców się okazał. Febrycznymi dreszczami nękany, wolno zebrał król armię swą postarzałą, która chwiejnymi krokami ze wzgórza zesła.

Powiódł więc z powrotem swych wojowników, a nad ich głowami wyły lata triumfujące. Rok po roku w kierunku Zoon, na południe kroczyli, z włóczniami rdzą pokrytymi i długimi brodami znów do Astarmy dotarli, lecz nikt ich tam nie poznał. Miasta i wioski minęli, w których niegdyś tak skwapliwie o Czas rozpytywali, ale i tam ich nie poznano. Znowu stanęli wśród pałaców i ogrodów, gdzie kiedyś nocą na Czas czekali, i spostrzegli teraz, że Czas tam był.

Mimo to wciąż nie tracili nadziei, że do Zoon powrócą i dachy złote zobaczą. Nikt nie wiedział, że przez nikogo nie zauważony, skrada się za nimi posępny Czas wciąż nowych maruderów godzinami swymi pokonując. Coraz mniej było weteranów, którzy z królem Karnith Zo podążali.

Wreszcie, po wielu miesiącach, gdy maszerowali przez półmrok kolejnej nocy, świt zajaśniał nagle na złotych dachach Zoon i donośny okrzyk z piersi wszystkich się dobył:

— Alatta, Alatta!

Zbliżając się odkryli, iż bramy rdzą pokryte, mury wysokim chwastem porosłe, krokwie przegniłe, szerniałe i wygięte, a dachy złociste już nie lśnią dawnym blaskiem. Żołnierze wkraczający do miasta i spodziewający się znaleźć siostry swe i narzeczone sprzed lat kilku, ujrzeni jedynie staruchy ze starości pomarszczone i wcale im nie znane.

I rzekł ktoś nagle:

— I tutaj on był.

Teraz wiedzieli już, że gdy oni Czasu szukali, Czas przeciw ich miastu wyruszył i — latami swymi je oblegając — zwyciężył, podczas gdy oni w dalekich stronach byli. Później wziął w niewolę ich kobiety i dzieci, jarzmo starości im nakładając. Tak więc ci, którzy z trzech armii Karnith Zo pozostali, w podbitym mieście się osiedlili, a lud Zeenar rzekę Eidis przekroczył i bez trudu armię starców pokonawszy, zajął Alattę. Odtąd jego królowie w mieście Zoon rządy sprawować poczęli. Tylko czasem lud Zeenar słuchał dziwnych opowieści starych mieszkańców Alatty o tym, jak walkę z Czasem toczyli. Podania te, które zdołali zapamiętać, dalej przekazali. Tyle więc można rzec o tamtych dzielnych armiach, które na wojnę z Czasem ruszyły, by świat i bogów ratować, a które klęskę poniosły, przez godziny i lata pokonane.